

SIECI

**W OBRONIE PRAWDY
O SMOLEŃSKU.
ODPOWIADAMY
NA KŁAMSTWA**

**POLSKA PREZYDENCJA W UE:
TUSK MARNUJE SZANSĘ**

**HOŁOWNIA
- TRZECIA NOGA REŻIMU**

**TAK ŻYŁA
WARSZAWA
W 1945 r.**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

2 (632) 2025
7-12 stycznia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

UKRYWANA PRAWDA O NIEWIERNYM RAFALE

**SZOKUJĄCE LENISTWO
I PORĄŻAJĄCA
HIPOKRYZJA TRZASKOWSKIEGO
- TAKI OBRAZ WYLANIA SIĘ
Z ŻYCIORYSU ZASTĘPCY TUSKA**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

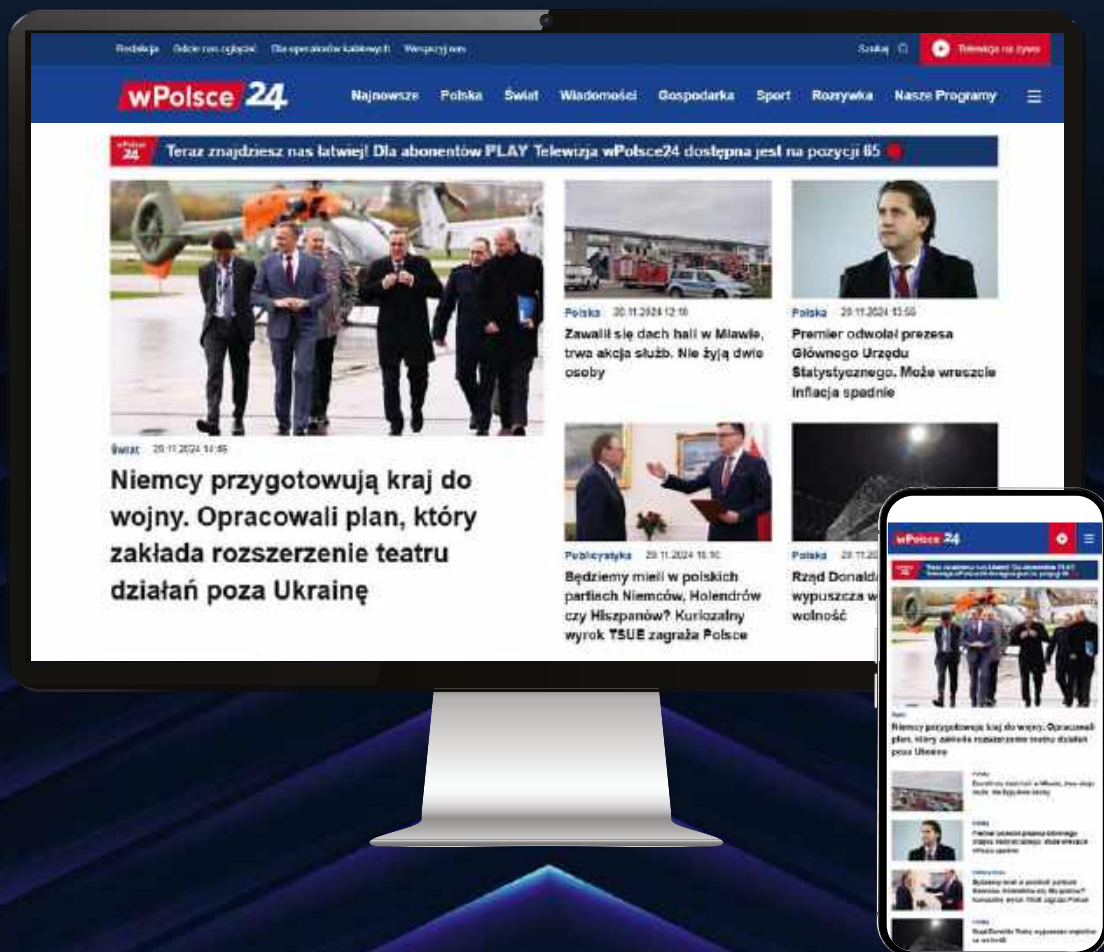


Numer w sprzedaży do 13 I 2025 r.

eprasa.pl/5b1be85f

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24



Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka
>> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

Wybór Domańskiego

W polskim systemie ustrojowym subwencje oraz dotacje dla partii politycznych nie są sprawą błahą. W istocie to kluczowy element systemu demokratycznego, bez którego nie ma mowy o równości szans rywalizujących partii. Jeśli pod byle pretekstami, depcząc ustawy oraz werdykty sądów, pozbawia się środków którąś z dużych partii, a zwłaszcza gdy dotyczy to jedynego rzeczywistego konkurenta obozu władzy, to jest to równoważne z niszczeniem demokracji. Pozostaje fasada, pozornie demokratyczna, ale treść jest już białorusko-rosyjska. Stawka rozgrywki, którą obserwujemy, jest więc nie do przeszacowania. Być może to właśnie ten moment, który zdecyduje, czy ocalone zostaną choćby najbardziej zasadnicze ramy polskiej demokracji.

Decyzja dwóch członków Państwowej Komisji Wyborczej, którzy wstrzymali się od głosu i tym samym umożliwili przyjęcie sprawozdania finansowego Prawa i Sprawiedliwości, ma więc znaczenie zasadnicze. Nie ukrywajmy: to jednak zaskoczenie. Co sprawiło, że Ryszard Balicki i Konrad Skłodowski, a więc członkowie rekomendowani do PKW przez Koalicję Obywatelską, nagle zmienili zdanie i umożliwili Sylwestrowi Marciniakowi – człowiekowi prawemu i rzetelnemu – dokończenie sprawy? Według nieoficjalnych informacji obaj już od dłuższego czasu mieli świadomość, że ignorowanie decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego jest bezprawne i oznacza ordynarne łamanie prawa. Wiedzieli, iż trwanie przy blokadzie środków dla PiS oznacza naukową i prawniczą kompromitację nie do odwrócenia. Możliwe, że ten czynnik miał znaczenie, ale czy to on przesądził?

Być może kluczowa okazała się presja zewnętrzna. Według informacji telewizji w Polsce24 ośrodki związane z przyszłą administracją Donalda Trumpa, który przejmie władzę 20 stycznia, stawiają sprawę jednoznacznie: odebranie pieniędzy PiS zaważy na ocenie uczciwości wyborów prezydenckich oraz parlamentarnych, ponieważ zniszczy elementarną równość szans kandydatów i partii politycznych. W takiej sytuacji wybory nie będą mogły zostać uznane za demokratyczne. Podobne sygnały w sprawie subwencji dla PiS nieoficjalnie wysłały także Rada Europy oraz OBWE. Dla obserwatorów długoterminowych wyborów (Long Term Observers) są to sprawy zasadnicze. Zamykanie konkurentów politycznych w aresztach i więzieniach oraz pozbawianie rywali finansowania są klasycznymi posunięciami reżimów i tak są traktowane przez tych, którzy oceniają i klasyfikują wybory.

Donald Tusk na razie ignoruje decyzję PKW, stwierdzając: „»Pieniądzy nie ma i nie będzie«. Na moje oko tyle wynika z uchwały PKW”. To oczywiście manipulacja. Dodany do uchwały pkt 2, w którym mowa o nieprzesądzaniu o tym, czy izba spraw publicznych SN jest sądem, ma znaczenie jedynie publicystyczne, o czym doskonale wiedzą wszyscy członkowie PKW. Premier Tusk także ma tego świadomość. Pozostają mu środki nielegalne, takie jak presja na ministra finansów Andrzeja Domańskiego, który, jak sam deklarował, jest jedynie wykonawcą decyzji PKW. Sam minister nie zabrał dotąd głosu, co dobrze o nim świadczy; jeśli nie wypłaci pieniędzy, przełamie swoją karierę na pół, stając po stronie bezprawia, a w przyszłości narazi się na oczywistą odpowiedzialność karną. Pozostaje mu zwlekanie, które też nie może trwać wiecznie, ponieważ ustawa określa, że kwotę należy wypłacić „niezwłocznie”. W takiej sytuacji lepsza jest dymisja niż podpisanie się pod represyjnym działaniem godnym Łukaszenki. Bo życie jest długie. A jeśli Donald Tusk chce uwierzytelnić brak wypłaty pieniędzy należnych PiS, niech sam obejmie tękę ministra finansów i firmuje swoją twarzą własny zamach na demokrację. 

Jacek Karnowski





26 Pierwszy wstrząs Konrad Kołodziejcki



38 Pięć punktów zapalnych, które wpłyną na nasze bezpieczeństwo Marek Budzisz



59 Magiczny guzik od losu Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 5 **WEZWANIE DO REFLEKSJI**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **PIŁOWANIE GAŁĘZI**
Krzysztof Feusette
- 9 **KTO ZABIŁ OPTYMIZM POLAKÓW?**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT?**
Daniel Obajtek
- 13 **URZEKAJĄCY REALIZM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA GRZEGORZA STANKIEWICZA**
Michał Korsun
- 16 **PRZEŁOM 24 NA 25...**
Jan Pietrzak
- 16 **2025 – ROK NADZIEI DLA POLSKI**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 **BODNAR, PAMIĘTASZ JESZCZE,
CO PRZYSIĘGAŁEŚ?**
Samuel Pereira
- 18 **NA DWOJE BABKA WRÓŻYŁA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 20 **TRZASKOWSKI TO LEŃ!**
Piotr Gursztyn
- 24 **W CO WIERZY RAFAŁ?**
Goran Andrijanić

KRAJ

- 26 **PIERWSZY WSTRZĄS**
Konrad Kołodziejcki
- 29 **PREZYDENCJA NA KOLANACH**
Stanisław Janecki
- 32 **BEZPIECZNIK SYSTEMU TUSKA**
Maciej Walaszczyk
- 35 **ŚLADY UTRACONE**
Marek Pyza

ŚWIAT

- 39 **UKRAINIE NIE BRAKUJE OBRONCÓW**
Z Wiktorem Czaławaniem
rozmawia Andrzej Skwarczyński
- 42 **5 PUNKTÓW ZAPALNYCH,
KTÓRE WPŁYNĄ NA NASZE
BEZPIECZEŃSTWO**
Marek Budzisz

45 BITWA O SUKCESJĘ

Aleksandra Rybińska

48 DOBRY CZŁOWIEK NA CZELE IMPERIUM

Jan Rokita

51 TRUMP KUPUJE ŚWIAT

Dariusz Matuszak

OPINIE

54 FRIEDRICH MERZ I EUROPA

Jan Parys

HISTORIA

56 TAK ŻYŁA WARSZAWA W 1945 r.

Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

59 MAGICZNY GUZIK OD LOSU

Jolanta Gajda-Zadworna

62 WARSZAWSKA PAMIĄTKA PO NIDERLANDZKIEJ ATLANTYDZIE

Przemysław Barszcz

65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

66 DUCHOWY GLOBALIZM

Robert Tekieli

67 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

68 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: JUSTYNA SIENIAWSKA

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

73 NAJ, NAJ, NAJ POLSKIEGO SPORTU A.D. 2024

Ryszard Czarnecki

74 CZEGO NIE WIDZI UTALENTOWANA FEI-FEI LI?

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wezwanie do refleksji

Liberalizm był wytworem zachodniego monoteizmu, a liberalne wolności elementem cywilizacji, którą monoteizm zapoczątkował. Dwudziestopiętnastowieczni liberalowie odrzucają tę cywilizację, jednocześnie zapewniając o uniwersalnym charakterze jej wartości w zredukowanej wersji. W tej ultraliberalnej wizji wszystkie społeczeństwa są skazane na dekonstrukcję, która dokonuje się na Zachodzie.

Głównym celem ultraliberalnych społeczeństw zachodnich jest umożliwienie ludziom definiowania własnej tożsamości. Z jednej strony jest to logiczny punkt końcowy indywidualizmu [...]. Z drugiej strony jednak – to projekt tworzenia nowych kolektywów i preludium do stanu nieustającej wojny między tożsamościami, które one ucieleśniają.

Ludzie nigdy nie mogą być w pełni samookreśleni. Jeśli ich tożsamość ma być czymś więcej niż osobistą fantazją, muszą w jakiś sposób skłonić innych do jej zaakceptowania.

„Nieograniczone samostanowienie jest zwykłą mrzonką. Istoty ludzkie nie mogą stworzyć swego życia z niczego, mogą jednak zniszczyć życie, które mają, i pozostać z niczym”.

„Liberalny Zachód jest opętany ideą wolności. Każde ograniczenie ludzkiej woli potępiane jest jako forma represji. Jeśli ludzie wyrządzają krzywdę innym, dzieje się tak dlatego, że społeczeństwo ich skrzywdziło. Kiedy krzywdy te zostaną naprawione, każdy będzie mógł żyć tak, jak mu się podoba, tworząc świat, w którym chce żyć. Z konieczności wolność ta wymaga, by każdy aspekt życia był monitorowany i kontrolowany. Należy oczyścić język z wszelkich śladów myślo-zbrodni. Umysł musi przestać być sferą prywatną i przejść kontrolę pod kątem ukrytych błędów oraz wypaczeń. Jak przewidywał Dostojewski w »Biesach«, logiką nieograniczonej wolności jest nieograniczony despotyzm”.

„Ideologia ultraliberalna ma wiele funkcji. Działa jako uzasadnienie upadającej odmiany kapitalizmu i jako narzędzie, za pomocą którego nadmiarowa elita walczy o zapewnienie sobie dominującej pozycji w społeczeństwie. W zakresie, w jakim wyraża ona spójny system idei, stanowi antyzachodnie credo inteligencji antynomicznej, która w rzeczywistości jest niesłuchanie zachodnia. Z psychologicznego punktu widzenia dostarcza namiastki wiary tym, którzy nie mogą żyć bez nadziei na powszechne zbawienie, zaszczipionej przez chrześcijaństwo”.

To cytaty z „Nowych lewiatanów”, ostatniej książki angielskiego filozofa Johna Graya. Zaczynał on jako piewca liberalizmu, odwołując się do myśli Herberta Spencera oraz Friedricha Hayeka, a rozwój kultury traktując jako paralelny

do ewolucyjnego procesu doboru naturalnego. Szybko jednak przeistoczył się w krytyka tego nurtu. Dowodził, jak złudne są jego uniwersalistyczne aspiracje i jak prowadzą do odwrotnych od deklarowanych rezultatów. Gray kontynuuje tę krytykę w „Nowych lewiatanach”, których błyskotliwe analizy odwołują się do „Lewiatana” Tomasza Hobbesa i pokazują rozwój liberalizmu na tle historii epoki i stanu naszego świata dziś.

Zdaniem Graya człowiek to wprawdzie byt wspólnotowy, ale jego egoistyczna i agresywna natura powoduje nieustającą konkurencję, a nawet walkę pomiędzy zbiorowościami, z którymi identyfikuje się jednostka. Wszystkie utopijne marzenia, które rywalizacji tej mają położyć kres, przekształcają się w próbę narzucenia wszystkim partykularnych porządków dążącej do dominacji grupy i obracają się w swoje przeciwieństwo. Jesteśmy skazani na politykę, która polega na nieustannych negocjacjach dopuszczalnych dla zbiorowości rozwiązań. Wyobrażenie, że możemy zastąpić ją prawem, które raz na zawsze rozstrzygnie nasze problemy, stanowi kolejne liberalne prowadzące do katastrofy złudzenie: „Jeśli teoretycznym wyobrażeniem nowego liberalizmu jest wyparcie polityki przez prawo, to jego praktycznym rezultatem było wypranie życia z argumentów merytorycznych i polityczna korupcja prawa”.

Liberalizm stał się ideologią władzy produkowanych na współczesnych uczelniach elit, które pod hasłem walki z populizmem odbierają podmiotowość reszcie społeczeństwa.

„Nowe lewiatany” wydane zostały przez... „Kulturę liberalną”, instytucję propagującą to wszystko, co stanowi obiekt krytyki ze strony Graya. Można by to uznać za chwalebny przykład otwarcia i pluralizmu jego animatorów, ale... Jarosław Kuisz, twórca i szef ośrodka, pisze na okładce książki: „Autor niezmiennie wytrąca nas z utartych przekonań. Drażni, oczarowuje, wreszcie – przekonuje”.

Niestety, nie widać tego w tekstach i wystąpieniach „KL”. Rozumiem, że proces „wytrącania z utartych przekonań” musi trwać. Chciałbym jednak zobaczyć chociaż ślad refleksji, którą Gray powinien wywołać. Nie musi przekonywać, wystarczy, aby sprowokował do myślenia.



Sygnalista nadaje

🔊 Jak udał się państwu ten sylwester? Według nas był całkiem dobry. Bo najlepszy sylwester to **Sylwester Marciniak!** Kto by pomyślał, że ten łysy nudziarz z instytucji, która przez lata składała się z „leśnych dziadków”, potrafi zrobić takie show. Dużo lepsze niż tegoroczne wieczory sylwestrowe ze wszystkich stacji telewizyjnych razem wziętych (ze szczególnym uwzględnieniem tej w likwidacji).

🔊 Na każdym występie Sylwestra szaleją Silni Razem, mecenas Romek i Tomek Lis, Tomek Wiejski i Tomek Piątek, nawet Agnieszka Kublik z „Wyborczej”. Widać więc, że to rozrywka elitarna. Ale na kolejny stand-up Marciniaka czekają też prawacy, i to ci najbardziej ciemni, zacofani i zaściankowi. Także oni doskonale się bawią, choć z zupełnie innych powodów niż Silni Razem i cała reszta ich miłych przyjaciół.

🔊 Jest jednak osoba, której nie cieszą występy Sylwestra. Chodzi o młodego człowieka, o którym jeszcze niedawno mówiono, że dobrze się zapowiada i czeka go obiecująca przyszłość. Teraz już nie zapowiada się dobrze i nie czeka go nic milego. To **Andrzej Domański**, nadworny kasjer Donalda Tuska. Cokolwiek teraz zrobi, i tak będzie źle. Jeśli posłucha swojego pryncypała i nie wypłaci pieniędzy kaczystom, to za jakiś czas trafi do pudła. A co gorsza kaczyści mogą mu wejść na prywatne konto. A jeśli wypłaci, czyli złamie polecenia swojego pana, to wyleci z roboty i będzie miał kłopot, żeby znaleźć nową. A 13 grudnia roku pamiętnego tak wszystko pięknie wyglądało...

🔊 Tak więc, kochani czytelnicy, ta smutna historia ma też jaśniejszą

stronę. Oczywiście nie dla Domańskiego, bo jemu już nic nie pomoże, ale dla całej reszty ludzkości. Popatrzcie tylko: gdy jest wam beznadziejnie ciężko, gdy macie myśli samobójcze, gdy straciliście wszelką nadzieję... Pomyślcie wtedy o Andrzeju Domańskim i jego losie. Od razu zrobi się wam lepiej, bo nie można być w położeniu gorszym niż on. Młody człowiek, 43 lata, całe życie przed nim było.

🔊 Rzeczywiście, w temacie subwencji dla PiS dzieją się zadziwiające rzeczy. Autorytety nie są słuchane w tej sprawie. Nie pomagają ani prośby, ani groźby. Dwie wybitne polityczki, czołowe intelektualistki PO, panie Leszczyna i Gasiuk-Pihowicz, nazwały łysiego Marciniaka „pisowskim sługusem”, a on nic! Nie pokajał się, nie przeprosił. Charyzmatyczny przywódca polskiej lewicy Włodek Czarzasty zagrzmiał, że Państwowa Komisja Wyborcza funduje kampanię wyborczą Nawrockiemu. I też nic! Jego dramatyczny apel również pozostał bez echa. Doszło nawet do tego, że zawiedli ludzie, którym zaufała sam Tusk, czyli jego przedstawiciele w PKW. Słusznie nazwała ich tchórzami niezapomniana minister szkolnictwa wyższego z czasów pierwszej PO Barbara Kudrycka. Czy jakoś tak się nazywała ta wybitna polityczka.

🔊 Bo na odcinku zabierania pieniędzy PiS jest naprawdę źle. Jak tak dalej pójdzie, to demokracja walcząca nie przywróci żadnej praworządności. Pół biedy, że ujawnił się jako agent kaczynizmu Marcin Wiącek, czyli Rzecznik Praw Obywatelskich. Niedawno sprawił sporo przykrości uśmiechniętej Polsce, czepiając się tego, że ks. Olszewski i dwie urzędniczki byli źle traktowani podczas aresz-

towania. A jak mieli być traktowani? Przecież to jakieś pisiory. Teraz Wiącek domaga się, aby minister Domański wypłacił kasę dla PiS.

🔊 Niestety także ludzie George'a Sorosa nie stanęli na wysokości zadania. Krzysztof Izdebski, człowiek z Fundacji Batorego (tak się pisze, ale czyta się – Sorosa), też głosi, że trzeba dać pieniądze kaczystom. Domykanie systemu naprawdę może się nie udać, jeśli uśmiechnięta Polska będzie tolerowała kaczystowskich agentów wpływu, którzy niewątpliwie za pieniądze ziobrystowskiego Funduszu Sprawiedliwości sieją tę szkodliwą propagandę.

🔊 Teraz czas na dobre wiadomości. Kampania **Rafała Trzaskowskiego** zadziwia cały świat pomysłowością i nowatorskimi rozwiązaniami. Bardzo dobry był noworoczny występ Rafała ubranego w ciemny garnitur, który z poważną miną mówił o jakichś poważnych rzeczach. Fajnie wyglądał, prawie jak nasz ukochany Elwood Blues z „Blues Brothers”. Obrazek super, a jeśli chodzi o słowa, to Rafał mówił coś o ks. Tischnerze i innych takich rzeczach, które na pewno zainteresują młodzież i wyborców z Jagodna.

🔊 A teraz jeszcze lepsza sprawa. Sztab Rafała zrobił mema! Rzecz epokową, wręcz Wunderwaffe, która zniszczy tego mięśniaka Nawrockiego, bo demaskuje go jako pisiora. Jeśli nie widzieliście, to popatrzcie oczami wyobraźni: Nawrocki się ukazuje, a razem z nim Macierewicz i Czarnek. Genialne, bo jak ludzie zobaczą ich razem, to na pewno nie zagłosują na Nawrockiego. Tylko na Rafała!

🔊 **Radek Sikorski** ma problem. Finansowy. Jako polska wersja Siergieja Ławrowa zarabia bardzo mało. Ok. 9 tys. zł. W przeliczeniu na ruble wygląda lepiej, bo ponad 200 tys., ale i tak słabo w porównaniu z tym, co dostaje Ławrow. Radek poskarżył się publiczności na swój trudny los, ale gawędź go wyśmiała. Nie będziemy komentować tego typu zachowań, bo wszyscy ludzie na poziomie wiedzą, co myśleć o tym prawackim motłochu. Zastanówmy się jednak, jak zaradzić problemom Radka. Podwyżki chyba nie będzie, bo sam Donald mówi, że „piniendzy ni ma i nie będzie”. Wprawdzie to było o PiS, ale może też być o Radku. Po ostatnich rewizjach w Brukseli dalsze doradzanie szejkom stało się trochę ryzykowne. Zostaje, panie Radku, zbiórka na jakimś patronajcie albo bajkofi. Albo nieśmiertelne hasło: „Zmień pracę, weź kredyt”.

🔊 Jest też wiadomość, z którą nie potrafimy dać sobie rady. Wiemy, że najważniejsze jest to,



że PiS już nie rządzi. Powtarzamy to sobie codziennie przy każdym zakupach. Wiemy też, że to niewidzialna ręka Glapińskiego odpowiada za to, że wszystko zrobiło się takie drogie. Możliwe, iż rząd znajdzie jakiś sposób i przerzuci na niego winę także za to, że autostrada nad morze znowu będzie płatna. Bardzo czekamy na jakieś chwytliwe argumenty, bo mamy tu mieszane uczucia.

🔊 Z jednej strony cieszymy się, że mniej pisowskich pięćsetplusów pojedzie nad Bałtyk kłać nasze wydmy, ale z drugiej strony nas, mieszkańców Jagodna i Wilanowa, też już nie stać na te wyjazdy i defekację na wydmach. I nie przekonał nas Borys Budka, że to dobrze, że trzeba płacić. Boria napisał, że nie może być tak, że „samotna emerytka spod Lublina płaciła za przejazd nad morze milionerów z Wilanowa”. Ale co nas, milionerów z Wilanowa, obchodzi emerytka spod Lublina? To po co głosowaliśmy na uśmiechniętą Polskę?

🔊 Poza tym jeśli teraz, przed wyborami, zabierają te pieniądze, to po co sięgną po wyborach? Ten kraj i tak nie zasłużył na premiera takiego jak Donald Tusk. Aż 52,9 proc. niewdzięczników uważa, że życie stało się trudniejsze po zmianie rządu z Morawieckiego na Tuska. A aż 59,8 proc. wystawiło Donaldowi negatywne oceny, jakby do nich nie docierało, że jest on nadzieją demokratów z całego świata i przywódcą cenionym w Berlinie, Brukseli, a nawet Strasburgu.

🔊 Na koniec o bolesnym problemie, czyli zwolnieniach grupowych. Oczywiście nie ma nic złego w zwalnianiu pisowców z jakiegos PKP Cargo, bo kogo oni obchodzą, skoro bardzo fajny przewoźnik jest w Niemczech? Sprawa jednak dotyczy „Gazety Wyborczej”, gdzie w każde Boże Narodzenie (lub Chanukę) już od ponad 20 lat zwalniany jest personel. Tym razem na bruku wylądowali tak wybitni felietoniści, jak Żakowski Jacek, Olejnik Monika i Środa profesor. Żakowskiego nie żałujemy, bo zdarza mu się czasem krytykować rząd premiera Tuska, a poza tym jest teściem symetrysty Sroczyńskiego. Ale Moniki i pani profesor nie możemy odżalować. Zwłaszcza że ich felietony były cenną inspiracją dla naszej rubryki. Wielkie nam uczyniła pustki „GW”. Jedna Kublik Agnieszka i jej cudowne publikacje tego już nie naprawią.

🔊 Może coś jeszcze o **Szymonie Hołowni**? Ale czy warto? Może to, że wszyscy mają go w nosie. Nawet Włodek Czarzasty, który wyśmiał pomysł Szymka w sprawie jego pomysłu, czyli „ustawy incydentalnej”. Cóż, każdemu może się zdarzyć incydent. Teraz się zdarzył Szymkowi.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Piłowanie gałęzi

Tusk: Meldujcie.

Siemoniak: No więc przestępca...

Tusk: Ja tak mogę mówić, wy nie. Ja mam... jak to się nazywa...

Kierwiński: Immunitet.

Tusk: No, dobrze. Im – munitet, a mnie?

Siemoniak: Chyba też munitet?

Tusk: Śmieszne to brzmi. Jak junajted. Menczester, znaczy się.

Kierwiński: Siti.

Tusk: To są dwa różne miasta. Jak Zagłębie Lubin i Zagłębie Sosnowiec. Nie ważne, meldujcie. Aha, żebym nie zapomniał, panie Czesławie, bo oglądają nas miliony alkoholików – czy alkotubki zniknęły?

Siekierski: Oczywiście.

Kierwiński: Kierwa jego twarz...

Tusk: Teraz wy. [szturcha ministra finansów]

Domański: Ja?

Tusk: A kto?

Domański: Teraz?

Tusk: A kiedy? No, szybciej...

Domański: No więc ja... chciałem...

Tusk: Poprawcie mikrofon. Co tak nieśmiało?

Domański: Ja chciałem...

Tusk: Do brzegu, kolego!

Domański: ...powiedzieć, że mówili mi ludzie... totalnie zalani... to znaczy... z terenów zalanych...

Tusk: Most tam ostatnio oddaliśmy. Odbudował miejscowy biznesmen, ale most jest most. Ludzie myślą, że to z rządowej pomocy.

Domański: No i właśnie ci ludzie... na moście... to znaczy pod mostem... prosili, żeby osobiście przekazać panu premierowi...

Tusk: Może lepiej nie?

Domański: ...że jest pan wielki.

Tusk: Dosyć! Prosiłem, żeby tego nie robić! Co z tym Romanowskim?

Siemoniak: No więc byliśmy w klasztorze.

Tusk: I co?

Siemoniak: I nic. Drony filmowały mnichów, ale żaden nie uciekał. Ktoś nas zrobił w ciula. Konkretnie prokuratura.

Bodnar: Chwileczkę, chwileczkę, a czy każdego sprawdziliście dokładnie? Nie słyszeliście, co mówił europoseł Halicki? To, że teraz go tam nie ma, nie oznacza, że nigdy go tam nie było!

Siemoniak: Mamy sprawdzać każde miejsce, w którym był? Do Sejmu też mam wpuścić drony i gości w kominiarkach?

Bodnar: Oczywiście, że tak. To znaczy, gdyby jeszcze tam był. Ale jest na Węgrzech. Chyba.

Tusk: Chyba?

Bodnar: No chyba, bo sygnalista sygnalizował, że Romanowski mógł zmienić wygląd.

Tusk: Jak teraz wygląda?

Bodnar: Nie wiemy. To może być każdy. Nawet rudy.

Tusk: Słucham?!

Bodnar: Sorry, nie o to mi chodziło. Po prostu nie wiemy, czy nie bywa w kraju.

Tusk: Coś jeszcze mówił ten sygnalista?

Bodnar: Że będzie w klasztorze.

Tusk: To może pomyliliście klasztory?

Siemoniak: Właśnie. Musieli pomylić, bo moi ludzie by go znaleźli. Oni nawet chcieli rozbierać ołtarze. Jak piłować, to piłować.

Bodnar: Mówił, że w Lublinie.

Tusk: A może w Lubinie? Bo to jest trochę tak jak z tym zagłębiem. Jest Zagłębie Lubin i Zagłębie Sosnowiec. A jesteście pewni, że to nie sam Romanowski zrobił was w Giertycha? Jak ten sygnalista się nazywał?

Bodnar: Roman.

Tusk: „Koń” was zrobił w konia?

Bodnar: Nie „Koń”. Roman Marcinowski.

Tusk: Aha. To teraz przeczytajcie to sobie odwrotnie.

Bodnar: Namor?

Tusk: Jaki namor?

Bodnar: Roman odwrotnie to będzie namor.

Tusk: Odwrotnie, nie od tyłu! To nie jest to samo! A Roman Marcinowski to Marcin Romanowski. Zakpił sobie z was. **Siemoniak:** Mówiliśmy, że nie ma go w kraju.

Bodnar: Dla was nikogo nie ma.

Siemoniak: A ciekawe, od kogo media usłyszały o Hiszpanii?

Bodnar: Mieliliśmy przeciek.

Siemoniak: Z czego? Z biura podróży?

Bodnar: Nie mogę ujawnić.

Tusk: Będę strzelał: pewnie Roma Marcinia?

Bodnar: Być może. Pan ją zna?

Tusk: Ech, z was taki inspektor, jak z Kierwińskiego pełnomocnik. Domański jeszcze jest, czy już uciekł?

Domański: Tutaj jestem. Za firanką. Bałem się, że pan premier będzie krzyczał albo że mnie z tym Rymanowskim pomylą...

Tusk: Doskonały pomysł! Kolego Bodnar, nie moglibyście aresztować Rymanowskiego? To tylko jedna literka różnicy, a zanim się ludzie zorientują, sukces pójdzie w świat.

Siemoniak: Że aresztujemy dziennikarza Polsatu, naszej strategicznej spółki?

Tusk: A nie słyszałeś, co mówił sygnalista? Że mógł zmienić wygląd. Więc tym bardziej nazwisko. Ja się nawet boję, że upodobił się do kogoś z naszych. Poza Lubnauer wszyscy są podejrzani.

Siemoniak: Mnie się wydaje, że może się ukrywać w PKW. Nagle większość zaczęła tam głosować zgodnie z prawem? Przypadek?

Tusk: Na szczęście PKW mamy tam, gdzie TK, SN, NBP, CBA i IPN razem wzięte. Prawda jest banalna: albo my ich teraz zagłodzimy na śmierć, co najmniej polityczną, albo wrócą do władzy i nas posadzą. Kwestię pisowską musimy rozwiązać ostatecznie i po europejsku. Na wszelki wypadek wydaję jutro dekret o nadrzędności dekretów nad uchwałami, które na czas wyjątkowy zastępują konstytucję. Czy to jasne?

Bodnar: Jak słońce piaru.

Tusk: No i fajnie. To teraz szybkoitko koleda...

Kierwiński: Zaleska?

Siemoniak: Za jakiego Leska?

Tusk: Śpiewać!

Bodnar: O radości, iskro bogów, kwiecie Elizejskich Pól, święta... święta...

Tusk: ...i po świętach. Do roboty, nie-robry.

Tylko 4 proc. Polaków rozpoczyna 2025 r. z pełnym optymizmem i niczego się nie obawia. Tak wynika z sondażu Ogólnopolskiego Panelu Badawczego Ariadna dla Wirtualnej Polski.

Uczestnicy badania odpowiadali na pytanie: „Czego najbardziej obawiasz się w 2025 r.?”. Najwięcej z nich (22 proc.) obawia się w br. wysokich rachunków. 19 proc. ankietowanych przyznało, że boi się pogorszenia stanu zdrowia. 16 proc. wskazało obawę przed wojną. Na kolejnych pozycjach znalazły się obawy przed wysokimi cenami w sklepach (14 proc.) oraz sytuacją polityczną w Polsce (12 proc.). Odpowiedź: „Niczego się nie obawiam” wybrało tylko 4 proc. ankietowanych, a 11 proc.: „Trudno powiedzieć”.

A jeszcze trzy lata temu Polacy należeli do niemal największych optymistów w Unii Europejskiej. We wrześniu 2021 r. agencja Eurofound opublikowała sondaż dotyczący poziomu optymizmu i pesymizmu wśród obywateli poszczególnych krajów UE. Każdemu ankietowanemu zadano pytanie, czy przyszłym pokoleniom obywateli Unii będzie żyło się lepiej. Najwięcej optymistów było wśród Portugalczyków (42 proc.). Polacy uplasowali się na drugim miejscu (40 proc.), a na trzecim Łotysze (38 proc.).

Optymizm najwyraźniej gdzieś przysł. Przyczyny spadku nastrojów ciężko nie dopatrywać się w poczynaniach obecnej władzy. „Jak ci się żyje rok od objęcia władzy przez rząd Donalda Tuska?” – takie pytanie zadano w sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu”. 44 proc. badanych odpowiedziało, że gorzej niż przed zmianą władzy.

Trudno się dziwić. Jak wynika z danych Komisji Europejskiej za II kwartał br., ceny energii elektrycznej w Polsce są jednymi z najwyższych na rynku hurtowym w Europie. Drożej mają tylko Irlandczycy i Włosi. Ale to nie wszystko. Coraz więcej firm zgłasza do urzędów pracy zamiar przeprowadzenia zwolnień grupowych. Zdaniem ekspertów są one konsekwencją pogarszającego się otoczenia gospodarczego dla firm. W końcu roku spadła też konsumpcja. Na początek 2024 r. ekonomiści oczekiwali, że będzie ona kołem zamachowym polskiej gospodarki. Jednak od kilku miesięcy odczyty dynamiki wzrostu sprzedaży detalicznej

Kto zabił optymizm Polaków?

*„Demokracja walcząca” Tuska
wojuje nie tylko z opozycją,
lecz także z obywatelami*

okazywały się niższe od prognozowanych. Prawdziwe zaskoczenie przyszło w październiku, kiedy Główny Urząd Statystyczny podał dane za wrzesień. Ku rozczerzaniu obserwatorów sprzedaż detaliczna zamiast wzrosnąć rok do roku o 2,1 proc. (w cenach stałych), niespodziewanie spadła, i to o 3 proc. Był to pierwszy spadek w ujęciu rocznym w 2024 r. Wówczas minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kłoska cieszyła się, że Polacy wydają mniej na odzież, bo tym samym chronią klimat. W listopadzie prezes GUS stracił pracę. Na nastroje Polaków mogła też wpłynąć zapaść w NFZ i odwolywanie planowych zabiegów medycznych. Ale to nie koniec złych informacji. Zdolność kredytowa naszych rodaków w 2024 r. niemal się nie zmieniła, a mieszkania podrożały w tym czasie średnio o kilkanaście procent. W ub.r. średnia zdolność kredytowa wzrosła jedynie w przypadku rodziny 2+2 z dochodem 12 tys. zł – o 26 tys. zł. W przypadku singli i par zmiany były marginalne. Tymczasem według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego w 2024 r. w grupie 17 największych miast ceny mieszkań na rynku wtórnym wzrosły o 18 proc., a na rynku pierwotnym o 14 proc. w porównaniu z 2023 r. Oznacza to, że siła nabywcza Polaków na rynku mieszkaniowym zmalała, jak wynika z raportu Metrohouse i Credipass. W grudniu maksymalna zdolność kredytowa singla z dochodem 6,5 tys. zł netto wynosiła 481 tys. zł. Singiel z dzieckiem rozporządzający takim samym dochodem mógł liczyć na kredyt hipoteczny do 488 tys. zł. Para zarabiająca 8 tys. zł na rękę miała zdolność kredytową na poziomie 567 tys. zł, a para ze wspólnym dochodem w kwocie 12 tys. zł mogła uzyskać 888 tys. zł kredytu mieszkaniowego. Małżeństwo z dzieckiem dysponujące dochodem 8 tys. zł mogło ubiegać się o kredyt wysokości 476 tys. zł, a zarabiające 12 tys. zł – 931 tys. zł. Z kolei rodzina 2+2 z dochodem 12 tys. zł miała zdolność kredytową na poziomie 889 tys. zł.

A i to nie koniec złych informacji. O północy 1 stycznia 2025 r. został wznowiony pobór opłat dla samochodów osobowych i motocykli korzystających z autostrady A1. A przecież to, co było dane, miało nie być odebrane. Najwyraźniej „demokracja walcząca” Tuska walczy nie tylko z opozycją, lecz także z obywatelami, a „pieniędzy nie ma i nie będzie”.

Dorota Łosiewicz



Podwójna gra Elona Muska

 **Wielka Brytania**

Tesla lobbowała w Wielkiej Brytanii na rzecz zaostrzenia przepisów dotyczących emisji dwutlenku węgla przez samochody osobowe i ciężarowe. Słynny amerykański producent samochodów elektrycznych, którego dyrektorem generalnym jest Elon Musk, naciskał bowiem na brytyjski rząd, by ten nałożył wyższe podatki na samochody z silnikami na benzynę i diesla. Z tak uzyskanych wpływów państwo miałoby dofinansować sprzedaż samochodów elektrycznych produkowanych m.in. przez Teslę.

Sprawę ujawniły media. Chodzi o list od Tesli skierowany do minister ds. dróg Lilian Greenwood, w którym firma namawiała rząd Partii Pracy do zaostrzenia wymogu posiadania pojazdów bezemisyjnych (ZEV) w przypadku samochodów osobowych i wprowadzenia podobnych przepisów dla pojazdów ciężarowych (HGV). Za sprawą stoi Elon Musk, główny zwolennik Donalda Trumpa i nadzieja dla prawicowych populizmów także w Europie.

Jednak realia okazują się bardziej skomplikowane. W liście do lewicowej minister wiceszef Tesli pochwalił jej partię za do-



tychczasowe działania w sprawie dekarbonizacji i jej dążenia do osiągnięcia zerowej emisji netto już w 2030 r. Oczywiście stanowisko Tesli kontrastuje z interesami motoryzacyjnej konkurencji.

Zgodnie z nakazem ZEV producenci są zobowiązani co roku zwiększać sprzedaż samochodów elektrycznych, ale okazuje się, że na brytyjskim rynku nie ma wystarczającego popytu na takie auta. Co ciekawe, po skargach złożonych przez producentów Forda, Land Rovera i Peugeota, że obowiązujące wymogi szkodzą ich interesom, rząd poinformował, że złagodzi część obostrzeń dotyczących samochodów osobowych. Z kolei Tesla argumentowała, że „konieczny jest dalszy postęp i wzmocnienie obowiązku stosowania pojazdów bezemisyjnych”. Firma stara się bowiem sprzedać swój pierwszy model elektrycznej ciężarówki. Jej produkcja ma się rozpocząć w 2026 r., a jedna z firm kurierskich testowała prototypy w Kalifornii.

Elon Musk prowadzi więc podwójną grę na polach polityki i biznesu. Świadczy o tym także fakt, że Donald Trump stanął po stronie swojego głównego zwolennika w publicznym sporze na temat przyszłości wiz H-1B w USA, stwierdzając, że w pełni popiera utrzymanie programu dla zagranicznych pracowników branży technologicznej. Musk opowiedział się bowiem za kontynuacją programu wizowego, z którego korzysta również jego firma. Jednak Steve Bannon, wieloletni powiernik Trumpa, skrytykował „oligarchów wielkich firm technologicznych” za wspieranie imigracji, którą ocenił jako zagrożenie dla zachodniej cywilizacji.

Maciej Walaszczyk

Finansowy szantaż

Administracja Joe Bidena wykorzystuje ostatnie dni swojego urzędowania do wywierania presji na kraje afrykańskie, aby przyjęły ustawodawstwo proaborcyjne. Pod szczególnym naciskiem znajduje się Sierra Leone.

Z doniesień portalu „The Daily Signal” wynika, że założony przez rząd USA fundusz pomocy rozwojowej Millennium Challenge Corporation (MCC) zagroził wstrzymaniem setek milionów dolarów na wsparcie tego kraju, jeśli nie uchwali on jak najszybciej ustawy aborcyjnej. Stojąca na czele organizacji Alice P. Albright (notabene córka byłej sekretarz stanu Madeleine Albright) podpisała we wrześniu br. porozumienie z ministrem finansów Sierra Leone przewidujące pomoc

finansową dla tego kraju w wysokości 480 mln dol. pod warunkiem zachowania „rygorystycznych standardów dobrego zarządzania, przeciwdziałania korupcji i poszanowania praw demokratycznych”. MCC zaprzecza, aby chodziło o aborcję, jednak obrońcy życia w tym afrykańskim państwie twierdzą, że za ogólnikowymi sformułowaniami kryją się tzw. prawa reprodukcyjne, czyli usankcjonowanie zabijania ludzi w prenatalnej fazie rozwoju.

Przemawia za tym niezwykle pośpiech, z jakim władze Sierra Leone dążą do uchwalenia ustawy legalizującej aborcję na życzenie. Prezydent Julius Maada Bio zdymisjonował sprzeciwiającego się tej idei prokuratora generalnego, mianując na jego miejsce Alphę Sesaya, od lat współpracują-

cego z Fundacjami Społeczeństwa Otwartego George’a Sorosa. 13 sierpnia projekt ustawy aborcyjnej został jednogłośnie zatwierdzony przez rząd. Kolejnym etapem ma być głosowanie w parlamencie. Kościoły i część organizacji pozarządowych w Sierra Leone wzywają parlamentarzystów do odrzucenia projektu.

Ostatnia próba zalegalizowania aborcji w tym kraju odbyła się w 2015 r. Parlament przyjął wówczas stosowną ustawę, jednak ówczesny prezydent Ernest Bai Koroma odmówił jej wprowadzenia. Obrońcy życia mają nadzieję, że znów uda im się zwyciężyć. Najważniejsze to dotrwać do końca kadencji Bidena i doczekać początku prezydentury Trumpa.

Grzegorz Górny



Spór o kanał

Panama

Donald Trump zagroził przed świętami, że odzyska Kanał Panamski, jeśli Panama będzie nadal „oszukiwać” i nakładać na Stany Zjednoczone „wygórowane” opłaty tranzytowe. W tle jest jednak znacznie poważniejsza kwestia. Trump obawia się, że strategiczna droga wodna może wpaść w ręce Chin.

W ocenie Trumpa Kanał Panamski jest „istotnym dobrem narodowym” Stanów Zjednoczonych. „Bezpieczny Kanał Panamski ma kluczowe znaczenie dla handlu USA i szybkiego tranzytu marynarki wojennej z Atlantyku na Pacyfik, a także drastycznie skraca czas transportu do amerykańskich portów” – napisał Trump na platformie Truth Social.

Budowa Kanału Panamskiego trwała ze zmiennym szczęściem przez 35 lat. Rozpoczęli ją Francuzi pod wodzą budowniczego Kanału Sueskiego Ferdinanda de Lessepsa, ale kierowana przez niego firma zbankrutowała. Ostatecznie budowę ukończyli w 1914 r. Amerykanie, którzy utworzyli wzdłuż kanału tzw. Strefę Kanału Panamskiego – obszar wyjęty spod lokalnej jurysdykcji i zarządzany bezpośrednio przez Stany Zjednoczone. Taki stan utrzymywał się do 1977 r., gdy zmarły niedawno prezydent Jimmy Carter zdecydował o przekazaniu Panamie kontroli nad kanałem, co nastąpiło w 1999 r. Amerykanie zachowali jednak prawo do obrony neutralności kanału. Donald Trump stwierdził, że decyzja Cartera była „głupia”. Dodał również, że Panama nie doceniła „hojności” Stanów Zjednoczonych i wbrew umowom pobiera od amerykańskich jednostek morskich wygórowane opłaty za tranzyt.

Stany Zjednoczone są największym użytkownikiem Kanału Panamskiego. Przypada na nie około trzech czwartych ładunków przewożonych każdego roku. Drugie miejsce w tym rankingu zajmują Chiny. Co więcej, chińska firma z siedzibą w Hongkongu kontroluje dwa z pięciu portów sąsiadujących z kanałem, po jednym z każdej strony. Aktywność Chińczyków poważnie niepokoi Trumpa. W przypadku zaostrzenia sytuacji międzynarodowej Pekin mógłby przejąć kontrolę nad kanałem, co miałoby opłakane skutki dla bezpieczeństwa Ameryki, blokując marynarce wojennej wyjście na Pacyfik.

Donald Trump na razie unika nazywania Chińczyków po imieniu, jednak nikt nie ma wątpliwości, że mówiąc o ryzyku wpadnięcia kanału „w niepowołane ręce”, ma on na myśli Pekin. Prezydent elekt ostrzegł, że Stany Zjednoczone zażądają zwrotu kanału, jeśli władze Panamy złamią „zasady moralne i prawne”, których zobowiązały się wcześniej przestrzegać.

Prezydent Panamy José Raúl Mulino odrzucił groźby Trumpa. Jego zdaniem opłaty za tranzyt nie są zawyżone, a panamska suwerenność nad kanałem nie podlega renegocjacji. W obliczu amerykańsko-chińskiego starcia jego głos może jednak nie mieć większego znaczenia.

Konrad Kołodziejski

Prezydentów dwóch

Dwa dni przed końcem roku odbyła się inauguracja prezydentury Micheila Kawelaszwilego, byłego piłkarza, grającego w przeszłości m.in. w Manchesterze City, który został wybrany głosami kolegium elekcyjnego zdominowanego przez Gruzińskie Marzenie, partię rządzącą krajem od 2012 r. Zerwano w ten sposób z dotychczasową praktyką wyłaniania głowy państwa w trybie wyborów powszechnych.

Dotychczasowa prezydent Salome Zurbiszwili [na zdj.], która stanęła na czele opozycji, nie uznała ważności wyborów i wezwała do protestów. Elekcji Kawelaszwilego nie akceptują też państwa Unii Europejskiej oraz Stany Zjednoczone, które w ostatnim tygodniu roku wprowadziły sankcje wymierzone w liderów Gruzińskiego Marzenia, w tym Bidzinę Iwaniszwilego, nieformalnego przywódcę politycznego kraju. W inauguracji Kawelaszwilego nie uczestniczyli też, pierwszy raz w historii Gruzji, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego.

Zurbiszwili oświadczyła, że w świetle gruzińskiej konstytucji pozostaje ona prezydentem kraju i wezwała opozycję do rozpoczęcia przygotowań do nowych wyborów. Ich przeprowadzenie pod międzynarodowym nadzorem jest obecnie głównym żądaniem sił opozycyjnych po tym, jak strategia masowych protestów nie doprowadziła do ustępstw ze strony władzy, która konsekwentnie realizuje autorytarny kurs.

W ub.r. zdominowany przez rządzącą formację gruziński parlament uchwalił wzorowaną na rosyjskiej ustawę „o obcych agentach”, rząd zamroził do 2028 r. rozmowy akcesyjne z Unią Europejską, zmienił sposób wyboru prezydenta, a w listopadzie przeprowadził wybory, które nie są uznawane przez opozycję i Zachód. Równolegle zamrażane są projekty finansowane przez Unię Europejską. Zamiast nich Tbilisi konsekwentnie otwiera się na inwestycje chińskie, czego przykładem jest podpisanie umowy na budowę w Anaklii nad Morzem Czarnym wielkiego portu.

Gruzja pod obecną władzą konsekwentnie oddala się od Zachodu i obecne napięcia są przejawem tego procesu.

Marek Budzisz



Nowy wspaniały świat?

Każdy, kto czytał dystopię Huxleya, musi przyznać, że obecna Unia Europejska balansuje na krawędzi powieściowej Republiki Świata. W książce ludzkość żyje w globalnym państwie, w którym wyeliminowano jakiegokolwiek polityczne spory

Religia, indywidualizm, odrębność narodowa, rodzina czy wyjątkowość kulturowa nie mają w nim miejsca – jest jeden obraz powszechnej, słusznej i akceptowanej ideologii. Dzieci są wychowywane jednakowo przez instytucje narzucające metody i kierunek, co likwiduje wszelkie rodzinne więzi, pozwala od urodzenia kształtować psychikę i zdusić w zarodku indywidualizm oraz krytyczne myślenie. Nową, oczekiwaną od wszystkich normą jest swoboda seksualna, a monogamię traktuje się podejrzliwie. Sztuka, nauka, kultura czy gospodarka podlegają ścisłej kontroli i regulacjom, zwalczają się wszystko, co jest niepoprawne politycznie, niezgodne z obowiązującą narracją wspólnotowości, identyczności i powszechnego szczęścia, a przez to burzy porządek. Obywatele mają być przede wszystkim bezwolnymi konsumentami podtrzymywanymi w stanie bezmyślności przez ciągle rozrywki, sport i seks. Ich

rola jest z góry narzucona i nie jest nią stawianie pytań lub krytycyzm. Brzmi znajomo, prawda?

U Huxleya nadzieję daje Rezerwat – ostatni bastion normalności, gdzie prawda wciąż ma znaczenie, wierzy się w Boga, rodzina nie jest wyśmiewanym, zacofanym tworem, a wartości inne niż rozrywka wciąż są w cenie. W Unii Europejskiej tę rolę bastionów normalności coraz częściej pełnią społeczeństwa Europy Środkowej, które swoim przykładem budzą mieszkańców „starej” Wspólnoty. Postawy konserwatywne są jednak zwalczane z całą mocą, a głoszący je ludzie – obrzucani najgrubszymi obelgami i epitetami. „Faszyści”, „kołtuny” i „mohery” to najłagodniejsze z nich.

Jednak konserwatywna normalność zyskuje na znaczeniu i nadzieja, że w Europie nie ziszczy się jednak antyhumanistyczna utopia, jest coraz większa. Optymizm płynie z Atlantyku, gdzie mimo zmasowanej propagandy i rozpętanej hysterii wybory wygrała normalność, czyli prezydent Trump. Oprócz kluczowych zmian gospodarczych i urealnienia proklamatycznego szaleństwa zapowiedział on już powrót do normalności również w strefie wartości. I dokładnie tak samo, jak zmiany w polityce gospodarczej USA zmuszą do refleksji Europę, renesans tradycyjnych wartości będzie rezonował również u nas.

Jest coraz większa nadzieja, że normalność (gospodarcza, społeczna i obywatelowa) zwycięży nad ideologicznym zacadeniem. Unia wróci do korzeni, a wartości, takie jak rodzina, Bóg, miłość do ojczyzny czy patriotyzm, znów nabiorą należnego im znaczenia. Wrócimy znad krawędzi szaleństwa, odzyskamy konkurencyjność gospodarczą, bezpieczeństwo i swoją tożsamość, a nowy, wspaniały świat wróci tam, gdzie jego miejsce – na karty utopijnej powieści Huxleya.

Czego z całego serca życzę państwu i sobie w tym zaczynającym się 2025 r. 

Daniel Obajtek



Urzekający realizm

W Muzeum Narodowym w Warszawie do 26 stycznia br. można zobaczyć wielką, składającą się z 120 obrazów i kilkudziesięciu rysunków, wystawę monograficzną Józefa Chełmońskiego, jednego z najwybitniejszych polskich malarzy XIX w., przedstawiciela polskiego realizmu. „On jeden malował muzykę wieczoru, chmury komarów i brzęczenie przelatującego z sadu do sadu chrabąszcza; on chciał, by nad łąkami kwiliła czajka, by karczma dudniła całą wściekłością oberka, by jarmark huczał całym warchołem zmieszanych głosów, by znad dalekich nocnych pastwisk rozlegało rżenie koni – chciał też, by w obrazie zaległa cisza nocy” – pisał Stanisław Witkiewicz w książce „Sztuka polska. Malarstwo”.

Chełmoński wyróżniał się niezwykle wrażliwością artystyczną oraz umiejętnością uchwycenia piękna otaczającego świata, ukazując w swojej twórczości duchowość i symbiozę człowieka z przyrodą. Często spacerował po lasach, czerpiąc inspirację z każdej pory roku. Uwielbiał rośliny, każdą pogodę, ale szczególną atencją darzył świat zwierząt. Jednym z jego ulubionych bohaterów były ptaki. Namalował wiele obrazów przedstawiających żurawie, czajki, cietrzewie, kuropatwy i dropie. Jego sposób pracy był wyjątkowy: wszystkie obrazy powstawały w pracowni na podstawie rysunków i notatek, które wykonywał podczas swoich wędrówek. Mówiono, że Chełmoński miał niezwykle pamięć wzrokową, dzięki której potrafił z detalami odtworzyć pejzaże widziane wiele miesięcy wcześniej. Malarских inspiracji dostarczały mu podróże na Podole, Ukrainę, Wołyń, Pińszczyznę, Polesie i Litwę.

Jego twórczość była pełnym wyrazem XIX-wiecznego realizmu opartego na perfekcyjnym warsztacie i przenikliwej obserwacji natury. Inspiracją jego twórczości była także polska literatura, m.in. „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza i „Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska.

Artysta z niezwykle czułością ukazywał życie polskiej wsi. W swoich obrazach zręcznie budował wielowątkowe narracje, ukazując obyczaje, dostrzegając piękno w nawet najbardziej siermiężnej rzeczywistości. Przykładem jest obraz „Oberka” (1878), jakby zatrzymana klatka filmowa przedstawiająca pełen witalności, namiętności i emocji taniec podkreślony intensywnością barw kobiecych strojów oraz kształtem dynamicznie poddających się rytmowi warstw materiałów strojów, w które są odziane wieśniaczki.

Najbardziej charakterystyczny i najbardziej znany obraz Józefa Chełmońskiego to „Babie lato”. Jego ekspozycja w warszawskiej Zachęcie wzbudziła kontrowersje, wprawiając publiczność w konsternację. Przyzwyczajona być może do wyidealizowanych wizerunków i stosownych szat nie mogła zaakceptować pierwszoplanowej roli skromnej dziewczyny z chłopstwem z brudnymi stopami, która, odpoczywając na trawie, rozmarzona, zdaje się bawić pajęczymi nićmi – babim latem.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Obraz „Wieczór letni”, który został odnaleziony po 133 latach, jakby w opozycji do „Babiego lata” przedstawia pięknie ubraną panienkę z zamożnego domu, która siedzi przy rozwianych firankach okna otwartym przez wiatr. Dzieło pełne intrygujących szczegółów i skłaniające do refleksji również nie spotkało się z pozytywnym odbiorem. Delikatnie rzecz ujmując, Chełmoński nie był ulubieńcem warszawskiej krytyki artystycznej, która nie szczędziła mu gorzkich słów do tego stopnia, że skłoniła artystę do emigracji. W Paryżu, do którego wyjechał, potrzebował ponoć zaledwie kilku godzin, by wzbudzić zainteresowanie i powszechne uznanie.

Chełmoński cieszył się także ogromną popularnością w Stanach Zjednoczonych. Został nagrodzony Grand Prix na Wystawie Powszechnej w Paryżu (1889), złotym medalem na wystawie w Glaspalast w Monachium (1894) i na Powszechnej Wystawie Sztuki w San Francisco (1894). W Polsce został doceniony po latach.

Twórczość Józefa Chełmońskiego stanowi świadectwo ogromnego talentu, doskonałego warsztatu artystycznego, niespotykanej wrażliwości, miłości do przyrody, ludzi, a przede wszystkim polskiej duszy i kultury.

REKLAMA



"Na pielgrzymim szlaku"

Małgorzata Kurzajewska-Zarinah
sobota, godz. 10.05

Radio 106.2
Warszawa
Jedno słowo



Walizka Grzegorza Stankiewicza

kiedyś strażaka, wykładowcy ratownictwa chemicznego, kierownika robót nurkowych MSWiA, doktora nauk humanistycznych, dziś kopisty obrazów Witkacego

Według niektórych podróz stanowi tylko etap pośredni między punktem startowym a docelowym. Dla mnie podróz jest wartością sama w sobie, nie jestem tylko pewien, czy bardziej cieszy mnie wyprawa, czy jej planowanie i przygotowanie. Ostatnim akordem jest oczywiście pakowanie się. Jestem motocyklistą, więc przysłowiową walizkę często zastępują motocyklowe kufrы. Droga, którą przemierzam już ósmy rok, nie była przeze mnie zaplanowana, a do podjęcia pewnych życiowych decyzji skłoniły mnie okoliczności. To, co w tej chwili robię, jest biegunowo odległe od moich wcześniejszych aktywności. Przez prawie trzy dekady zajmowałem się zawodowo pożarnictwem. Po odejściu ze służby spakowałem „walizkę” i wróciłem na rodzinną Lubelszczyznę, gdzie kupiłem stary drewniany dom na wsi wymagający gruntownego remontu. To tutaj wskrzesiłem swoją starą pasję z dzieciństwa – rysunek i zająłem się kopiowaniem portretów Stanisława Ignacego Witkiewicza.



POŻARNICTWO

Po ukończeniu studiów w Szkole Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie wyjechałem do Poznania, z którym związana jest cała moja ścieżka zawodowa. Jej zwieńczeniem było ostatnie 11 lat na stanowisku komendanta Szkoły Aspirantów Państwowej Straży Pożarnej.

RODZINA

Poznań ma szczególne miejsce w moim sercu. Tam urodziła się moja córka, o której życie i zdrowie stoczyliśmy wspólnie z żoną wielką bitwę. Tam poznałem wspaniałych ludzi, z wieloma z nich do dziś łączą mnie przyjacielskie relacje. Teraz jestem w miejscu, w którym cała rodzina może być bliżej siebie.





KOPIA #1

Uważam, że w kopiowaniu nie chodzi o fotograficzne odwzorowanie, choć staram się jak najwierniej oddać oryginał. Kreska, szczególnie ta wykonywana szybko dla zachowania efektu dynamiki, zawsze będzie jednak kompromisem pomiędzy dokładnością a oczekiwaną ekspresją.



KOPIA #2

W odwzorowywaniu nie powinno zagać coś, co według mnie ma dużo większe znaczenie niż to, że dana kreska w oryginale jest o 3 mm krótsza albo jest o 2 mm wyżej. To „coś” jest swego rodzaju przesłaniem autora – detalem stanowiącym, że dzieło odbieramy tak, a nie inaczej, że budzi w nas określone odczucia.



KOPIA #3

Kopista winien zająć miejsce w cieniu dwóch monumentów. Pierwszy z nich to pomnik kopiowanego artysty, jego sławy i geniuszu. Drugi to prawda, która jak tafla szkła przykładana do dzieła sztuki musi być czysta, by to, co powstanie jako kopia, mogło nieść przesłanie oryginału.



LITERATURA

Moja przygoda z Witkacym zaczęła się od jego literatury. Z jednej strony kolorowy świat jego bohaterów na tle mojej PRL-owskiej szarżyny wydawał się niezwykle ciekawy, z drugiej były katastroficzne, wręcz prorocze wizje porewolucyjnej Europy, w tym Polski. Witkacy imponował mi spostrzegawczością i oceną zjawisk społecznych, szczególnie dotyczących naszego podwórka. Jako człowiek noszący mundur doskonale czułem konteksty prawideł koszarowego życia, które Witkiewicz opisywał na podstawie własnych doświadczeń.



WYSTAWY

W 2024 r. w Kazimierzu Dolnym miały miejsce dwie moje wystawy zatytułowane „Do Witkiewicza przez Stankiewiczą”. Pierwszą zorganizowano podczas festiwalu literackiego „Dwa księżycy – słowa mają moc”, drugą w trakcie Festiwalu Filmu i Sztuki „Dwa Brzegi”. W grudniu w Warszawie w gmachu Agory oraz galerii Magdaleny Kobiereckiej na Starych Bielaniach odbyła się druga edycja wystawy „Pożegnanie jesieni”.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

KOPIE WITKACEGO

O tym, że zdecydowałem się pokazać swoje kopie obrazów Witkacego, zdecydował przypadek. Dwie, które podarowałem mojemu bratu, zostały zauważone w jego domu i określone jako oryginały przez osobę zawodowo zajmującą się promocją sztuki. To był duży komplement i poważny impuls.



Fot. Beata Stankiewicz, Grzegorz Stankiewicz, A.M. Cieślarscy
Studio Fotograficzne Poznań, Andrzej Cikała, Wojciech Stankiewicz



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Przełom 24 na 25



**Jan
Pietrzak**

...doznał się właśnie na naszych oczach. Rok stary z rokiem nowym wykonały utrwalony tradycją danse macabre i żyjemy już pod komisarycznym zarządem nowego kalendarza. W huku fajerwerków doprowadzających psy i koty do szaleństwa – stało się! Jesteśmy o rok starsi. Nie wszystkim się to podoba.

Pewna znana mi niewiasta ogłosiła, że jej lata się wręcz skurczyły! A wszystkie kalendarze są sfalszowane przez rządowych oszustów, w co nietrudno uwierzyć przy tej skali kłamstw. Pewien znany żurnalista przeprowadził wywiad z kandydatem na prezydenta Karolem Nawrockim, o którym sam zainteresowany nie miał pojęcia. Dziennikarza usprawiedliwia jedynie nazwisko Lis, co w ludowej mitologii jest związane z kłamliwą chytrą. Jesteśmy świadkami dużej liczby zaskakujących incydentów. Dziennikarka Grochala zaprosiła do studia radiowego posła Przydacza, zadawała mu pytania, ale nie pozwalała odpowiedzieć, po czym wyprosiła ze studia!

Inny prezydencki kandydat, przez przyjaciół zwany Rafciem, który dawno temu ogłosił, że nie potrzebuje lotniska w Polsce, bo ma w Berlinie, obecnie w trakcie emocjonalnej wymiany zdań ujawnił, że stolicę ma również w Berlinie. I to by się zgadzało z raportami bezstronnych obserwatorów.

Z drobniejszych newsów zaskakuje info, że mężczyzna, który ukradł BMW, od razu napadł na stację benzynową. Widocznie

nie przewidział braku w baku, gapiszon. Dziwny jest ten świat, śpiewał niezapomniany Czesław Niemen, i to się potwierdza rok po roku. Dodalbyśmy nawet, że coraz dziwniejszy, ale w pewnych aspektach jednak powtarzalny. Jak w mojej piosence sprzed kilkunastu lat. „Rząd udaje, że pracuje, bijąc tylko pianę. Dobrobytu jak nie było, tak i nie ma dalej. Upadają stare stocznie i zakłady małe. Bezrobocie trzyma mocno. Telewizja kłamie. Mamy niby wolną Polskę, lecz nie wiedzieć czemu, rzygać chce się, tak jak w PRL-u! Skasowali Kasy Chorych, wolą fundusz zdrowych, a w nim kumpli od dojenia budżetowej krowy! Na szpitalnych korytarzach pojękuje bieda, karaluchy głodne łążą, gniją pety w zlewach. Mamy niby wolną Polskę, cel pokoleń wielu... rzygać chce się, tak jak w PRL-u! Kłeski, plagi, katastrofy gnębią nas codziennie, propaganda i głupoty, nawałnice bredni. Hazardziści trzęsą krajem, zblatowani z władzą, kręcą lody, gdzie się daje, nawet na cmentarzu! Mamy niby wolną Polskę w Pizzu i na Helu, rzygać chce się, tak jak w PRL-u!”

Przyznaję, że piosenka ma nieco abominacyjną wymowę, ale jest ważnym świadectwem czasu, w którym powstawała. Chodzi o to, by obecne pokolenie wyborców miało choć łut świadomości o dawnych czasach, ponieważ bez wiedzy o beznadziejnej przeszłości nie stworzy się radosnej przyszłości!

2025 – rok nadziei dla Polski

2024 r. to czas chaosu i upadku. Rządy Donalda Tuska pokazały, czym jest polityka oderwana od polskich interesów. Ceny poszybowały w górę, zadłużenie osiągnęło rekordowe poziomy, a państwo znów coraz bardziej przypomina to z opisu Sienkiewicza... Bartłomieja. Wszystko to przy wsparciu Rafała Trzaskowskiego, który w Warszawie udowodnił, że potrafi jedynie generować chaos, niegospodarność i konflikty.

Donald Tusk realizujący interesy Brukseli czy wprost Niemiec skutecznie blokuje rozwój Polski. Jego rządy to nie reformy, lecz wyprzedzanie majątku narodowego i budowanie systemu, który ma uciszyć opozycję. Z Trzaskowskim planuje „domknięcie systemu”, w którym nie ma miejsca na niezależność, pluralizm i suwerenną Polskę.

W 2025 r. nasz kraj obejmuje prezydenturę w Radzie Unii Europejskiej. Donald

Tusk z pewnością będzie się starał ogrzać w blasku europejskich przywódców, pokazywać jako lider, którego nikt nie ogra. Ale jest jasne, że jeśli ktoś poklepuje polskiego premiera po plecach, to dlatego, że realizuje on cudze interesy. Nie możemy się na to nabrać. Polska prezydencja nie może służyć politycznym celom Tuska – powinna być narzędziem wzmacniania pozycji naszego kraju w Europie.

Jest nadzieja. 2025 r. przynosi wybory prezydenckie, które mogą się stać początkiem zmiany. Dr Karol Nawrocki, młody, energiczny kandydat, to szansa na powrót do silnej i sprawiedliwej Polski. Jego wizja kraju opiera się na prawdzie, pracy i szacunku do polskiej tradycji. Na wierze w ambitną przyszłość narodu.

Te wybory to jednak coś więcej niż tylko zmiana w pałacu prezydenckim. To moment, który zadecyduje o przyszłości naszego państwa. Każdy głos ma znaczenie.

Te wybory nie będą tylko starciem programów (o ile Trzaskowski jakiś ma). To będzie walka o przyszłość naszego kraju. Potrzebujemy mobilizacji całego obozu propolskiego, aby dać odpór Tuskowi i jego ekipie. Nie czas na podziały – czas na jedność i wspólną pracę.

2025 r. może być przełomem. Polska stoi przed wyborem: albo dalsza stagnacja i podległość, albo odbudowa i rozwój. Dr Karol Nawrocki może wygrać te wybory, ale tylko wtedy, gdy wspólnie damy mu siłę. Przyszłość jest w naszych rękach. Nie zmarnujmy tej szansy. Nowy rok niesie wielką odpowiedzialność i szansę, której nie wolno przegapić. Wszyscy musimy zaangażować się w walkę o to zwycięstwo. 

Arkadiusz Mularczyk



Bodnar, pamiętasz jeszcze, co przysięgałeś?

To było niewiele ponad rok temu. Piękna uroczystość w pałacu prezydenckim, rząd ministrów stoi i patrzy, a za ich plecami premier. Okazja to wyjątkowa – zaprzysiężenie nowego rządu, co się zowie demokratycznym. Do mikrofonu podchodzi mianowany na ministra sprawiedliwości prawnik i były Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar. „Obejmując urząd ministra sprawiedliwości, uroczyste przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom konstytucji i innym prawom Rzeczypospolitej Polskiej, a dobro ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem” – recytuje zapisaną w konstytucji (art. 151) treść przysięgi. Co robi stojący za nim szef rządu? Śmieje się.

Nie możemy z całkowitą pewnością powiedzieć, co rozbawiło Donalda Tuska, ale wiemy, że rozbawienie na twarzy polityka pojawiło się przy słowach o dochowaniu wierności postanowieniom konstytucji i innym prawom oraz że już wtedy panowie mieli bardzo dokładnie przygotowany plan działania w ramach tzw. eksperymentu nad Wisłą. Tak bowiem poli-



**Samuel
Pereira**

tykę nowych władz określił ich przyjaciel z Niemiec jeszcze zanim przejęli stery władzy wykonawczej.

A jak się ma konstytucja już nie tyle do wyświechtanej praworządności, ile traktowania zwykłych ludzi? Art. 40 jest jasny: „Nikt nie może być poddany torturom ani okrutnemu, niehumanicznemu lub poniżającemu traktowaniu i karaniu”. Powoływał się na niego Bodnar, gdy pełnił funkcję RPO i rwał szaty nad kajdankami zespolonymi, jakie policja w 2019 r. założyła Jakubowi A., mordercy, który zaszlachtował, a wcześniej zgwałcił 10-latkę z Mro-

win. Ten sam Bodnar wcześniej nie rozpacział nad losem Zygmunta Miernika, którego przewożono do sądu skutego, w kajdankach na rękach i nogach, mimo iż był tylko oskarżony o rzucenie tortem w warszawską sędzię decydującą w sprawie zawieszenia procesu Czesława Kiszczaka (ostatecznie usłyszał wyrok najpierw 2, a później 10 miesięcy). Gdzie jest teraz Bodnar, gdy RPO potwierdza, że dwie zatrzymane na jego polecenie były urzędniczki jego resortu były głodzone i rozbierane przez funkcjonariuszy? Mniej więcej tam, gdzie jego honor i męskość.

Jeśli nie teraz, to kiedy?

Z Anną Szymańczyk rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Lubi pani dr Iłę Kaczorowską?

Anna Szymańczyk: Bardzo. Ma dużo ze mnie. Sporo temperamentu, a także poczucia humoru. Staram się, by grane przeze mnie postacie miały go jak najwięcej. Serial „Na dobre i na złe” niezrędko mówi o ciężkich sytuacjach życiowych, próbujemy więc z moją bohaterką nieco rozładowywać atmosferę. Chociaż sama Iga nie ma najłatwiejszego życia. Zdarzenia z przeszłości cały czas kładą się cieniem na jej obecnej karierze zawodowej.

Skoro o karierze mowa. Dobrze „pomieilił” w pani życiu młyn z netfliksowego „Znachora”?

Jestem niesamowicie wdzięczna za tę przygodę. Wyzwaniem było skonfrontowanie się z tekstem i aktorami, zarówno tymi z pierwszej adaptacji, jak i współczesnymi, ale ku mojemu zaskoczeniu świat

pokazał mi w tym projekcie swoją wspaniałą stronę.

Teraz spora część widzów ekscytuje się losami tytułowej „Lady Love”.

Było to dla mnie ogromne wyzwanie aktorskie. Może niestandardowe, ale mam 37 lat i stwierdziłam, że jeśli nie teraz, to kiedy? Oczywiście podczas realizacji walczyłam z kompleksami związanymi z ciałem i z tym, czy dam radę tak poprowadzić swoją bohaterkę – aż przez trzy dekady! – by było to wiarygodne i zarazem poruszające. I nie chodziło jedynie o stronę wizualną. O wiele trudniejsze jest pokazanie zmian mentalnych. Poza tym opowiadamy o branży dla dorosłych (od lat 80. ub.w.) – niełatwej, zwłaszcza dla dziewczyny z małego PRL-owskiego miasteczka, która postanowiła się odnaleźć w tym biznesie. Stać się w nim kimś. I dopięła swego.



Na dwoje babka wróżyła

Początek roku skłania nas zwykle do prognozowania najbliższej przyszłości Polski i UE. Jeśli w majowych wyborach prezydenckich skrećmy zdecydowanie w lewą stronę (ok. 30 proc. młodych Polaków ma lewicowe poglądy), drogi odwrotu już nie będzie. Domknie się układ rządzący naszym krajem. Dołączymy do unijnego „raju wolności”, rugującego prawa Dekalogu, który przecież przyczynił się do światowej ekspansji cywilizacji łacińskiej. Dominujący dziś kult pieniądza i genderowa demoralizacja (vide biblijny złoty cielec i wyuzdane bachanalia) niczego nie zbudują, przyspieszą tylko agonię Europy. Przedstawiciele tzw. ostatniego pokolenia wyginą nie dlatego, że „Ziemia płonie”, lecz z powodu swej niedojrzałości do macierzyństwa i ojcostwa. Dzieci to nie brojlery, nie da się ich wyhodować! Aborcja, eutanazja, Zielony Ład i niekontrolowane napływy obcych nam kulturowo nachodźców wyludnią Stary Kontynent z tubylców, wywołując migrację resztek białych Europejczyków w spokojniejsze rejony świata.

Jest jeszcze drugi wariant, optymistyczny. Wygrana prawicowego kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego przywróci Rzeczypospolitej nadzieję na powrót do normalności. Polacy znów zatęsknią do sprawdzonych wartości: tradycyjnego modelu rodziny, etosu pracy, mądrej edukacji i patriotycznego wychowania dzieci. A to może odwrócić niekorzystne trendy lewackiej rewolucji. W połączeniu z zainicjowanym przez starego-nowego prezydenta USA, konserwatystę Donalda Trumpa, światowym budzeniem zdrowego rozsądku i przyzwitości znów wkroczymy na drogę prawdy, dobra i piękna. Nieprzypadkowo bowiem już od wielu lat globalni marksiści wtłaczają do głów młodzieży tolerancję dla głupoty, zła i brzydoty.

Wylewające się z mainstreamowych mediów kłamstwa porażają swą beczelnością i bezkarnością. Odbieram to jako testowanie cierpliwości Stwórcy, na bluźnierców nie spadł jeszcze przysłowiowy „grom z jasnego nieba”. Ponoć pan Bóg nierychliwy, ale... **Lech Makowiecki**



POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI
ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LECH MAKOWIECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DIREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA, MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DIREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DIREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.

FOT. PODLEŃSKI/WKRA, ANDRZEJ WIKTOR/K2, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, FRATRIA, SHUTTERSTOCK/MARTIN BERGMA

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika			
CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

SALON DZIENNIKARSKI

sobota
09:15

wPolsce 24!

Publicystyczne podsumowanie tygodnia. Znani i cenieni liderzy opinii.



zapraszają
Jacek i Michał Karnowscy

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia 

32

orange

825
 vectra

196
polsat box 

65
PLAY
dawniej UPC

459
inea 

Trzaskowski to leni

Na wizerunku Rafała Trzaskowskiego jest skaza, która może mu poważnie zaszkodzić w wyborach prezydenckich. To wizerunek „lenia”, bo taki obraz Trzaskowskiego ma bardzo wielu Polaków. Wynika to jasno z badań fokusowych, niezależnie od tego, kto je robi – czy sztabowcy Platformy, czy analitycy PiS. W obu przypadkach rezultat jest taki sam. Trzaskowski to leni!



PIOTR GURSZTYN

Lenistwo Rafała Trzaskowskiego nie jest tematem nowym. Kilka lat temu był o to pytany nawet w przyjaznym dla niego miejscu, czyli TVN24: „Wkurza pana, jak mówią o panu: leniwy? Mówią to pana zwolennicy, politycy PO. Skąd taka opinia?” – pytała Trzaskowskiego dziennikarka tamtej stacji Arleta Zalewska.

W tej samej stacji podobne pytanie zadał mu Bogdan Rymanowski. Także w „Gazecie Wyborczej” ukazywały się teksty, w których „rozprawiano” się z zarzutem lenistwa. Bo sam Trzaskowski, co oczywiste, zapewniał, że pozostaje pracowitym politykiem. Ale jest bardzo charakterystyczne, że ten wątek łączy się tylko z nim. Innym politykom, w tym najbardziej nielubianym, nie stawia się zarzutu lenistwa.

Ten wątek wrócił przy okazji wyborów w Platformie. To liberalne media ujawniły motywację Donalda Tuska, który je wymyślił m.in. po to, aby zmobilizować Trzaskowskiego do większej aktywności politycznej. Nic więc dziwnego, że konkurencja

– przede wszystkim PiS – podkreśla lenistwo prezydenta Warszawy. To samo głosi Sławomir Mentzen, nazywając go nierobem i patentowanym leniem.

OD CZAJKI DO TOALETY

Rzeczywiście, jeśli chodzi o Warszawę, Rafał Trzaskowski nie eksponuje w kampanii prezydenckiej swych dokonania z sześciolletniej pracy w stołecznym ratuszu. Przejazdźka nową linią tramwajową do Wilanowa wywołała falę drwin. Otwarcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej zachwyciło tylko swoich. Kładka przez Wisłę została pochwalona też tylko przez zdecydowanych zwo-



lenników. A ostatnim newsem było otwarcie toalety publicznej w parku Skaryszewskim, budowanej przez trzy lata i kosztującej tyle, co kawalerka – 650 tys. zł.

Aby rzetelnie ocenić pracę Trzaskowskiego, niezbędna jest analiza tego, co działo się w Warszawie za jego rządów i porównać z dokonaniem poprzedników. Trzeba pamiętać, że jeżeli chodzi o najbardziej wymierną sprawczość, funkcja prezydenta miasta daje największe pole do popisu. To prezydent może przecież błyszczyć na tle wybudowanych mostów i gmachów. Szczególnie gdy rządzi się najbogatszą metropolią w Polsce i jednym z bogatszych miast w Europie.

Kolejna okoliczność, którą trzeba uwzględnić w ocenie, to osłona medialna Trzaskowskiego. W przypadku Warszawy jest ona podwójna, bo korzysta z niej także jako polityk PO (podobnie jak jego poprzedniczka, czyli Hanna Gronkiewicz-Waltz). Ponadto od czasu upadku prasy papierowej w dwumilionowym mieście nie funkcjonują media lokalne o takim zasięgu, aby skutecznie wpływać na politykę ratusza. Kontrola ze strony mediów *de facto* nie istnieje, tak jak w ogóle w przypadku całego samorządu w Polsce. To sprawiło, że gigantyczne skandale, takie jak czyszczenie kamienic, zamordowanie Jolanty Brzeskiej, brutalny konflikt z kupcami spod Pałacu Kultury czy awaria oczyszczalni ścieków Czajka nie zaszkodziły popularności Platformy wśród większości mieszkańców Warszawy.

Zresztą nie tylko skandale rozeszły się po kościach. Osłona medialna sprawia, że opinia publiczna nie dowiaduje się o licznych nieobecnościach Trzaskowskiego w ratuszu, braku zaangażowania w bieżące zarządzanie miastem. Przemilczane są nawet związane z tym anegdoty, mimo że całkiem zabawne, np. znana wielu politykom, a zapewne i niektórym dziennikarzom, historia z prywatnym księgozbiorem Trzaskowskiego. Krótco po objęciu funkcji prezydenta przewiózł on do służbowego gabinetu poważną część swojego prywatnego księgozbioru, na tle którego od czasu do czasu jest zresztą fotografowany i filmowany. Trzaskowski pozostaje dumny ze swojego zbioru książek – ponoć rzeczywiście bogatego – i chętnie prezentuje odwiedzającym go w ratuszu gościom. Także oficjalnym. Był jednak przy tym na tyle nieroztropny, że opowiadał, iż lubi z niego korzystać w godzinach pracy. To znaczy chwalił się tym, że czyta te książki wtedy, gdy nie ma nic ciekawszego do roboty. Potwórśmy to: w godzinach pracy!

NA TLE POPRZEDNIKÓW

Cezurę porównań z poprzednikami ograniczymy tylko do XXI w., czyli ostatniego ćwierćwiecza. W tym czasie Warszawą rządziły cztery wyróżniające się ekipy. Pierwsza z nich to Paweł Piskorski i jego następca Woj-

ciech Kozak. Czas ich rządów (licząc od marca 1999 r., gdy Piskorski objął urząd) to ponad 3,5 roku. Lech Kaczyński, pierwszy prezydent stolicy wybrany w bezpośrednich wyborach, rządził 3 lata. Na konto prawicy należy doliczyć jeszcze jeden rok, gdy u władzy było dwóch p.o. prezydenta (Miroslaw Kochalski i Kazimierz Marcinkiewicz).

W grudniu 2006 r. zaczęła się era rządów Platformy. Hanna Gronkiewicz-Waltz włądała Warszawę 12 lat, a Rafał Trzaskowski zasiada w ratuszu już ponad 6. Oboje korzystali z niewątpliwego bonusu, jakim był napływ środków unijnych i funkcjonowanie Polski we wspólnym rynku, co w przypadku Warszawy oznaczało lokowanie się tu central bardzo licznych firm. To oznacza, że poprzednicy Trzaskowskiego aż do prezydentury Lecha Kaczyńskiego działali w znacznie uboższych czasach.

Ekipa Pawła Piskorskiego przeszła do historii w niechlubny sposób, kojarzona z tzw. układem warszawskim. Była oskarżana o systemowe kumoterstwo i korupcję. Ale jednocześnie był to czas intensywnej rozbudowy infrastruktury komunikacyjnej. Piskorski dokończył most Świętokrzyski, wybudował tunel wzdłuż Wisły (krytykowany za to, że nie pod Wisłą, w istocie ułatwia on jednak przejazd przez centrum miasta), rozbudowywał al. Prymasa Tysiąclecia i zaczął budowę Trasy Siekierskiej.

Najbardziej znanym dziełem następcy, czyli Lecha Kaczyńskiego, jest oczywiście Muzeum Powstania Warszawskiego i pamięć o spektakularnych obchodach 60. rocznicy wybuchu powstania z udziałem bardzo ważnych zagranicznych gości. Na konto Kaczyńskiego idzie też stworzenie systemu kolei aglomeracyjnej SKM obsługiwanej przez spółkę o tej samej nazwie wydzieloną z PKP. Do bilansu trzeba też dodać uruchomienie dwóch wielkich projektów, czyli Centrum Nauki Kopernik i Muzeum Polin.

Hanna Gronkiewicz-Waltz zrealizowała odziedziczone projekty CN Kopernik i Polin. Jej samodzielnym dziełem są most Północny (budowa trwała trzy lata) i węzeł Marsa. Tak jak wszyscy poprzedni prezydenci oddała do użytku kilka stacji pierwszej linii metra. Rozpoczęła prace przy drugiej,

ale w bardzo wolnym tempie. Budowa ruszyła dopiero dwa lata po tym, jak zakończono linię M1, a pociągi pojechały kolejne pięć lat później, i to na krótkim, liczącym siedem stacji odcinku. Długie rządy Gronkiewicz-Waltz obciąża to, że inaczej niż w poprzednich latach nie zostawiła Trzaskowskiemu żadnego rozpoczętego dużego przedsięwzięcia.

POWOLNE METRO

„Warszawa była, jest i pozostanie jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się miast stolic Europy. Warszawa jest dzisiaj przykładem dla wielu miast w Europie” – mówił niedawno Rafał Trzaskowski przy uchwaleniu budżetu miasta na 2025 r. To suma 26 mld zł, z czego 3 mld są przeznaczone na inwestycje. Rzeczywiście, Warszawa jest jednym z najbogatszych regionów w Polsce, z PKB *per capita* znacznie przewyższającym średnią krajową – w 2023 r. wynosiło ono ok. 182 tys. zł. To też region bogaty na skalę europejską – w 2022 r. PKB aglomeracji warszawskiej wynosiło 162 proc. średniej unijnej. Ale w Warszawie tych pieniędzy nie widać.

Trzaskowski ma tego świadomość, bo w umiarkowany sposób chwali się tym, co zrobił w stolicy. Np. nie może pochwalić się rozwojem metra. Jako prezydent oddał wprawdzie dzieśnięć nowych stacji linii M2 w latach 2019–2022, ale w tej dziedzinie porównania Warszawy i w ogóle Polski wypadają koszmarnie. Jesteśmy w niechlubnej kategorii państw średnich, gdzie tylko jedno miasto ma system kolei podziemnych. Nawet w kraju takim jak Turcja jest pięć miast z kolejami podziemnymi, a w Wenezueli cztery. W Hiszpanii metro działa w ośmiu miastach, we Włoszech w siedmiu. Najmniejszym miastem Unii Europejskiej z własną koleją podziemną jest francuskie Rennes, liczące zaledwie 221 tys. mieszkańców. To ciut więcej niż Częstochowa, a nieco mniej niż Gdynia. Nie jest to kwestia bogactwa, którego w Polsce rzekomo nie ma, bo liczące 300 tys. mieszkańców rumuńskie miasto Kluż-Napoka dwa lata temu rozpoczęło budowę swojego metra.

Wracając do Warszawy i sprawczości jej włodarzy: stolica Bułgarii otworzyła swoje metro trzy lata po tym, jak ruszyło ono w Warszawie. Od tego czasu Sofia, miasto dużo mniejsze i uboższe od Warszawy, oddała do użytku metro złożone z czterech linii. Dłuższe od warszawskiego: 52 km wobec 41 km.

TRAMWAJ, KŁADKA, MUZEUM

Na tle tej nędzy wydarzeniem musiało być otwarcie linii tramwajowej do Wilanowa, której budowa trwała dwa lata i dezorganizowała życie w kilku

Oslona medialna sprawiła, że gigantyczne skandale, takie jak czyszczenie kamienic, zamordowanie Jolanty Brzeskiej, brutalny konflikt z kupcami spod Pałacu Kultury czy awaria oczyszczalni ścieków Czajka nie zaszkodziły popularności Platformy wśród większości mieszkańców Warszawy

dzielnicach w takim stopniu, jakby chodziło o budowę metra. A jej koszt był gigantyczny – 1,2 mld zł, z czego połowa pochodziła z dotacji unijnych. Trzaskowski starał się zrobić wydarzenie z otwarcia kładki na Wiśle. To projekt *de facto* odziedziczony po Gronkiewicz-Waltz: umowa została podpisana 2 marca 2018 r. Budowa ruszyła dopiero cztery lata później, w marcu 2022. Trwała dokładnie dwa lata, czyli dokładnie tyle samo, ile budowa mostu Świętokrzyskiego (budowanego w czasie, gdy Polska nie była członkiem UE). Równie długo (w latach 2000–2002) trwała budowa ogromnego mostu Siekierskiego.

Kładka jest przyjemnym miejscem, ale nie na tyle spektakularnym, aby stało się obiektem „must see” dla turystów z Polski, a tym bardziej z zagranicy. Takiego potencjału nie ma też Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Otwarcie nowej siedziby wywołało krótką, choć gorącą kontrowersję w internecie. Krytycy starli się z tymi, którym podoba się klockowaty budynek nowej placówki. Opinie podzieliły się wzdłuż rozdziału politycznego, co jest złym znakiem dla tego obiektu, bo świadczy o tym, że obrońcy byli motywowani czymś innym niż jego obiektywnymi zaletami.

Z całą pewnością można stwierdzić, że Muzeum Sztuki Nowoczesnej nie stanie się atrakcją porównywalną z innymi „landmarkami” Warszawy, a zwłaszcza z Muzeum Powstania Warszawskiego. To bowiem od samego początku jest fenomenem frekwencyjnym. Stało się obowiązkowym punktem dla zwiedzających stolicę, magnesem przyciągającym niezliczone wycieczki szkolne. Miejscem wielu uroczystości państwowych i patriotycznych, niekonięcznie związanych z pamięcią o powstaniu warszawskim. Co więcej, większość oficjalnych delegacji zagranicznych odwiedzających Polskę, w tym głowy państw, przyjeżdża do muzeum jako do szczególnego miejsca pamięci.

Fakt, że prezydent Kaczyński stworzył prawdziwe sanktuarium narodowe, nie jest kwestionowany nawet przez jego wrogów. To oczywistość, której nie udało się powtórzyć jego następcom. Przy czym zasadne jest pytanie, czy chciało im się stworzyć coś takiego. Pokazuje to sprawa obchodów rocznicy powstania. Rozmach wydarzeń podczas 60. okrągłej rocznicy przeszedł do historii. Był to też jeden z ważniejszych czynników, który rok później pomógł Lechowi Kaczyńskiemu wygrać wybory na prezydenta RP. W 2024 r. mieliśmy 80. rocznicę wybuchu powstania, która przebiegała bardziej niż skromnie. Trzaskowski całkowicie ją zaniedbał. Dzisiaj, gdy jego groźnym kontrkandydatem jest prezes IPN, wspomnienie z odpowiednio godnie uczczonej rocznicy byłoby bezcennym atutem.

Trzaskowski pozostaje dumny ze swojego bogatego zbioru książek i chętnie prezentuje odwiedzającym go w ratuszu gościom. Także oficjalnym. Opowiadał, iż lubi z niego korzystać w godzinach pracy. To znaczy chwalił się tym, że czyta te książki wtedy, gdy nie ma nic ciekawszego do roboty. Powtórzmy to: w godzinach pracy!



Fot. Andrzej Wiktor

Z nowym muzeum łączy się wątek tragicomiczny: Trzaskowski nagrodził sam siebie, przyznając siedzibę placówki Nagrodę Architektoniczną Prezydenta m.st. Warszawy. Niestety potwierdził tym, jak prowincjonalnym miastem jest stolica. Lista nagrodzonych od lat budowli pozostaje czymś przygnębiającym. Tworzą ją banalne i skromne obiekty, których nie kojarzą nawet mieszkańcy Warszawy. Modernistyczne, zazwyczaj przeszklone klocki w typie biurowca Forest. Czy ktoś z państwa słyszał o tym budynku?

Jedynym pozytywnym wyjątkiem na liście nagród jest Muzeum Wojska Polskiego, ale to obiekt zbudowany przez rząd, na dodatek rząd PiS-owski i co więcej na terenie wojskowym, dość odseparowanym od głównych ulic miasta.

NIC WIELKIEGO

Tu znów trzeba wrócić do porównań z poprzednimi dekadami, kiedy to w biednych latach 90. powstały tak ikoniczne gmachy jak budynek sądów na pl. Krasińskich i Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego. W Warszawie rządzonej od sześciu lat przez Trzaskowskiego (i wcześniej przez Gronkiewicz-Waltz) nie stanęło nic porównywalnego, i to mimo skoku cywilizacyjnego i gospodarczego, który nastąpił w Polsce.

Z powodów czysto partyjniackich Trzaskowski zaprzepaścił też szansę na to, aby ogrzać się w świetle zrekonstruowanego pałacu Saskiego, bo miasto miało być partnerem przedsięwzięcia. Ta sprawa pokazuje też, że Warszawa całkowicie zrezygnowała z odtwarzania zniszczonej przez II wojnę światową tkanki miejskiej. Mimo że restytucja obiektów historycznych jest bardzo popularnym działaniem w licznych miastach niemieckich z Berlinem na czele, a także w Gdańsku, Szczecinie czy Elblągu. Ostatnim znaczącym takim działaniem w Warszawie była odbudowa dawnego pałacu Jabłonowskich z sąsiednim kościołem św. Andrzeja. Ale to były biedne lata 90., więc wtedy się udało. W dzisiejszej bogatej Warszawie nie ma na to szans.

W co wierzy Rafał?

Kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta jest gotowy deklarować katolicyzm i jednocześnie podejmować decyzje całkowicie sprzeczne z nauką Kościoła

Dobrze już wiemy, że internetowe memy stały się jednym z najlepszych sposobów komentowania absurdu politycznego – zjawiska, którego w Polsce nie brakuje.

Podczas prekampanii przed wyborami prezydenckimi wyprodukowano już kilka bardzo udanych memów, a według niżej podpisanego jeden z najlepszych, jest ten, w którym rozmodlony Rafał Trzaskowski, kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta RP, siedzi w Kościele katolickim z różańcem w rękach (oczywiście chodzi o fotomontaż) i chwali odkrytą właśnie duchowość męskiego różańca.

Dowcip tego mema polega na tym, iż rzeczywistość, którą komentuje, stała się bardziej absurdalna niż on sam. Mianowicie nie jest wcale aż tak nieprawdopodobne, że wkrótce podczas modlitw na ulicach polskich miast w pierwszą sobotę miesiąca można będzie zobaczyć także Trzaskowskiego. Może nawet pojawi się w przebraniu jednego z magów w Orszaku Trzech Króli w Warszawie. Tak, tego samego polityka, który przez ostatnie kilka lat rządów w stolicy zrobił wszystko, aby miasto zdominowały lewicowe ideologie wrogie chrześcijaństwu i który nie miał żadnych skrupułów, aby rozpocząć walkę krzyżami ze ścianach warszawskich urzędów.

ZMIANA WIZERUNKU

Od początku prekampanii kandydat obozu Tuska robi absolutnie wszystko, aby zmienić wizerunek, jaki zdobył w oczach opinii publicznej. Historia o dziecku jazzowego salonu warszawsko-krakowskiego (ojciec Andrzej był znanym muzykiem) może się sprawdzać na poziomie lokalnym, ale w wyborach ogólnokrajowych staje się niebezpiecznym ograniczeniem. Wyborcy w powiatowej Polsce, ci, którzy decydują o wynikach głosowania, nie są zainteresowani prestiżem społecznym swojego kandydata, ale przede wszystkim tym, czy jest on zdolny do zrozumienia ich problemów i pomagania w ich załatwieniu.

Jak głoszą słynne już słowa Grzegorza Schetyny, „wybory wygrywa się w Końskich”. Trzaskowski i jego sztab doskonale zdają sobie z tego sprawę. Dlatego pierwsza faza jego kampanii upłynęła pod znakiem nieco żalonych prób pokazania warszawskiego leminga jako człowieka ludu.

Spotkania z kołami gospodyń wiejskich i wspólne śpiewanie piosenek ludowych, odwiedziny mniejszych miasteczek oraz obietnice Trzaskowskiego, że „jak będą atakowani katolicy



GORAN ANDRIJANIĆ

na ulicach naszych miast, będę stał z nimi” – wszystko to służy właśnie tej zmianie wizerunku.

A to mówi nam dwie ważne rzeczy.

Pierwsza, pocieszająca, jest taka, że nawet w sztabie elity III RP rozumiano, że większość polskiego społeczeństwa nadal jest konserwatywna. Kto chce zwyciężyć politycznie, musi to wziąć pod uwagę.

O JEDEN KROK ZA DALEKO

Drugą, nieco mniej zachęcającą rzeczą, jest to, że po prostu nie ma tak dużego poziomu hipokryzji i kłamstw, przez który Tusk i jego podwładni nie byłiby skłonni przejść, aby pozyskać wyborców. Widać to wyraźnie w przypadku manipulacji dotyczących decyzji prezydenta Warszawy o usunięciu krzyży z ścian stołecznych urzędów. Kiedy w maju ub.r. ukazała się informacja o rozporządzeniu Trzaskowskiego zgodnie z którym wszystkie urzędy muszą zachować neutralność religijną, w lewicowo-liberalnych mediach od razu pojawiły się pochwalne komentarze. Wydawało się zatem, że wiceprzewodniczący PO, ten nieformalny lider „postępowej” i „otwartej” Polski, po prostu skutecznie wypełniał swoje zobowiązania wobec stojącego za nim lewicowo-liberalnego establishmentu. Znał się jego spotkanie z Alexandrem Sorošem, synem miliardera George’a Sorosa i przewodniczącym Fundacji Społeczeństwa Otwartego będących mecenasem polityki liberalnej w postkomunistycznej Europie Środkowej.

Jednak po skrajnie negatywnej reakcji opinii publicznej na próbę wyeliminowania tradycji, na której Polska została stworzona, sytuacja uległa zmianie. Nawet „Gazeta Wyborcza” zaczęła publikować artykuły krytykujące decyzję prezydenta.

„Oświadczenie Trzaskowskiego w sprawie krzyży w warszawskim magistracie może go kosztować prezydenturę kraju. Walka z symbolami religijnymi jest bowiem błędem politycznym, którego doświadczeni politycy nie popełniają bez potrzeby” – napisał wtedy publicysta Janusz Rolicki. Gdy Trzaskowski zorientował się, że popełnił błąd, podjął narrację obronną, że nigdy nie miał zamiaru usuwać krzyży, jego decyzja dotyczyła jedynie nowych lub remontowanych obiektów miejskich, a nie tych starych. Mówił tak mimo tego, że jego rozporządzenie odnosiło się do wszystkich urzędów dostępnych dla mieszkańców, nie chodziło jedynie o nowo oddane i remontowane.

Radna Lewicy Kamila Gołębiowska, powołując się na zarządzenie Trzaskowskiego, wnioskowała o usunięcie krzyża z sali posiedzeń Rady Dzielnicy Ursus. W sali posiedzeń Rady Dzielnicy Włochy krzyż faktycznie został zdjęty, ale chwilę później wrócił na swoje miejsce.

W prekampanii Trzaskowski mówi, że ci którzy twierdzą, iż chciał usunąć krzyż, „manipulują”, bo on chciał po prostu stworzyć warunki dla państwa świeckiego. Oczywiście w tej strategii kłamstwa wspierają go te same media, które kiedyś pisały o błędzie Trzaskowskiego w wojnie przeciwko symbolowi chrześcijaństwa.

Ten paradoks jest charakterystyczny dla kandydata na prezydenta. Trzaskowski jest gotowy deklarować katolicyzm i jednocześnie podejmować decyzje całkowicie sprzeczne z nauką Kościoła.

LEWICOWY SKRĘT

Podpisując w lutym 2019 r. Kartę LGBT+, dokument ideologiczny, który m.in. wprowadził indoktrynację gender w warszawskich szkołach, Trzaskowski twierdził, że chodzi o „obronę praw człowieka”.

„Nie jestem żadnym antyklerykałem. To PiS próbuje mnie obsadzić w tej roli. Mam duży szacunek dla tradycji i dla Kościoła. Natomiast gdy widzę, jak Episkopat wpisuje się w tezy pisowskiej propagandy to jako katolik odbieram to boleśnie”.

„Wpisywanie Episkopatu do pisowskiej propagandy” to nic innego jak dokument KEP, w którym biskupi potępił Kartę LGBT+, opisując ją jako promocję ideologii homoseksualnej.

Według Trzaskowskiego „wpisywaniem do pisowskiej propagandy” jest też na pewno przeciwstawianie się Kościoła proaborcyjnym ruchom w Polsce. Co więcej, rozczarowanie zachowaniem Kościoła, który broni życia nienarodzonych, było w rodzinie Trzaskowskich tak wielkie, iż żona prezydenta Warszawy Małgorzata

wypisała dzieci z religii i nie wysłała młodszego do pierwszej komunii, o czym sama ochoczo opowiadała mediom.

Obraz katolicyzmu Rafała Trzaskowskiego staje się pełniejszy, gdy przeanalizujemy organizacje pozarządowe i scenę kulturalną, którą jego administracja wspiera od 2018 r. Promują one najbardziej radykalne formy ruchu „postępowego” i neomarksistowskiego. Trzaskowski sfinansował m.in. festiwal filmów pornograficznych (co prawda pośrednio, bo miasto hojnie dofinansowało lewicowy think tank Krytyki Politycznej, który był organizatorem tego festiwalu) oraz wiele różnorodnych akcji lewicowych. Warszawa pomogła też stowarzyszeniu LGBT+ kierowanemu przez Jolantę Gontarczyk vel Lange, była agentką peerelowskiego wywiadu ps. Panna. Przypomnijmy: małżeństwo Gontarczyków inwigilowało ks. Franciszka Blachnickiego, który został otruty w Niemczech w 1987 r.

Kilka lat temu Trzaskowski oświadczył, że jego wiara jest wiarą w „boga Spinozy”. Kiedy teolodzy wyjaśnili, że ten bóg nie jest chrześcijański, a holenderski filozof z XVII w. wierzył w boga panteistycznego monizmu, niezgodnego z naukami Jezusa Chrystusa – wówczas polityk się nieco wycofał.

POLITYCZNY KONIUNKTURALIZM

Zasadniczym pytaniem jest, czy wyborcy rzeczywiście uwierzą w iluzję o związku polityki Trzaskowskiego z chrześcijaństwem.

– Oczywiście w ostatnich latach pojawiają się w przestrzeni życia publicznego politycy, którzy koniunkturalnie deklarują swój katolicyzm – mówi nam ks. prof. Paweł Bortkiewicz TChr, filozof, teolog i bioetyk. – Może jakimś prekursorem był pan Donald Tusk, który kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi zawarł sakramentalne małżeństwo, by wkrótce po przegranych wyborach deklarować się jako umiarkowany neofita godzący się np. na aborcję, która jest nie do pogodzenia z katolicyzmem. Podobnie pan Trzaskowski, który niedawno deklarował swój, oględnie mówiąc, dystans do wiary katolickiej i instytucji Kościoła, zmienia dzisiaj swoje poglądy – wyjaśnia teolog.

Według ks. prof. Bortkiewicza takie zjawiska są testem dla Kościoła. – Podobne rozdwojenie jaźni występuje też w przypadku marszałka rotacyjnego obecnego Sejmu Szymona Hołowni. Trzeba jednak zauważyć, że rozdwojenie jaźni to jedna sprawa, a drugą jest akceptacja tego rozdwojenia przez wyborców, którzy dają się uwieść tym manewrom. Ten stan rzeczy świadczy niestety przede wszystkim o kondycji wiary wśród polskich katolików, o jej fasadowości. Wybory prezydenckie są, niezależnie od tego, czy się to nam podoba, czy nie, także próbierem naszej wiary – konkluduje teolog. ▀

Przed wyborami prezydenckimi Boże Narodzenie wróciło do Warszawy



Pierwszy wstrząs

To był pierwszy rok, kiedy można powiedzieć, że polska gospodarka obudziła się – powiedział na zakończenie roku Donald Tusk. „Nie chcę nikogo zanudzać statystykami, ale mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że 2025 r. będzie rokiem pozytywnego przełomu” – dodał.

Tu dwa zastrzeżenia. Gdy Tusk twierdzi, że mówi o czymś „z pełną odpowiedzialnością”, to należy podejrzewać, że w omawianej sprawie kręci lub mija się z prawdą. A w przypadku statystyk nie chodziło mu o „zanudzenie” słuchaczy, lecz o to, że statystyki są dla jego rządu miażdżące. Zajrzyjmy więc do kilku z nich.

Według ostatnich dostępnych danych z listopada 2024 r. ceny towarów i usług konsumpcyjnych wzrosły rok do roku o 4,7 proc. Rośnie też liczba osób żyjących poniżej minimum socjalnego – mowa tu o kilkunastu milionach Polaków, z czego 2,5 mln żyje w skrajnym ubóstwie (w tym 500 tys. dzieci).

O pogarszającej się kondycji finansowej społeczeństwa świadczy też liczba pożyczek, w tym tzw. chwilówek, udzielanych na wysoki procent. Od stycznia do października 2024 r. było ich o 53,7 proc. więcej w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego.

To statystyki, które powinny przerażać i zmusić do działania każdego odpowiedzialnego szefa rządu, jednak zdaniem Tuska świadczą one o „pobudzeniu gospodarki”.

Równie przerażająca jest dziura budżetowa, która w „przełomowym” według Tuska 2025 r. ma wynieść rekordowe 289 mld zł. Rok wcześniej było to co najmniej 142 mld zł (szacunkowe dane z listopada). Dla porównania w 2023 r., gdy jeszcze rządziło PiS, deficyt wyniósł 86 mld, a w 2022 r. mieliśmy nadwyżkę budżetową w wysokości 27,7 mld zł.

Jeszcze raz warto zapytać, o jakim „pobudzeniu gospodarki” mówi Tusk.

Ponad połowa Polaków uważa, że pod rządami Tuska żyje im się gorzej niż za czasów Morawieckiego.

To fatalne podsumowanie zaledwie roku rządów obecnej koalicji. Reżim Tuska może więc częściej sięgać po represje, bo w obliczu pogarszających się nastrojów będzie to jedyna metoda utrzymania się u władzy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

PLAN LIKWIDACJI

W tej chwili Polska się zwija. Od ponad roku zarzynane są państwowe koncerny, co przekłada się na spadek dochodów budżetowych państwa. Najbardziej jaskrawym przykładem jest ORLEN, którego zysk w 2024 r. spadł aż o 95 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. Na naszych oczach dogorywa największy polski przewoźnik kolejowy PKP Cargo, a desant partyjnych aparatczyków na publiczne spółki i instytucje

doprowadził już do paraliżu większości z nich. Deficyt w Narodowym Funduszu Zdrowia może wynieść w najbliższych trzech latach ponad 100 mld zł i rząd uruchamia plan likwidacji oddziałów szpitalnych (w tym porodówek) oraz ograniczenia w terapii i rehabilitacji pacjentów. Obcinane są także nakłady na naukę i instytucje badawcze.

Obecny reżim wstrzymał też lub zahamował większość inwestycji rozwojowych zaplanowanych przez poprzedni rząd. Okrojony projekt CPK został przesunięty – jeżeli w ogóle powstanie – o kolejne dwa lata. Z planów rządu wypadają porty morskie i terminale kontenerowe, zrezygnowano także z produkcji rodzimych samochodów elektrycznych, a za sprawą unijnego rozporządzenia baterijnego Polska zostanie wkrótce wyeliminowana z dochodowego rynku baterii. Straty dla naszej gospodarki mogą być ogromne, jesteśmy bowiem drugim w świecie producentem baterii litowo-jonowych, a według danych z 2022 r. wartość sektora baterii w Polsce przekracza 38 mld zł. Wszystko to stracimy wskutek nieudolności obecnej ekipy. Już wielokrotnie pisaliśmy o tych niechcianych inwestycjach, więc nie ma potrzeby zatrzymywać się przy nich na dłużej.

Zapadła też zasłona milczenia nad elektrowniami jądrowymi, które miały dać nam tanią i stabilną energię. A to właśnie dostęp do niej ma dziś kluczowe znaczenie dla przyszłości i konkurencyjności gospodarki. Jej deficyt skutkuje zaś rosnącymi kosztami, ucieczką inwestorów i w konsekwencji zapaścią.

Przez ostatni rok przez całą Polskę przetoczyły się zwolnienia grupowe, które objęły ok. 40 tys. osób z firm, takich jak Levi's, IKEA, Michelin, Nokia, BNP Paribas, ING, Scania, Volvo Buses i ABB. I choć mamy dopiero początek stycznia, zapowiedziano już – według szacunków – zwolnienie kolejnych 13 tys. osób, głównie w branżach motoryzacyjnej, hutniczej i energetycznej. W tej chwili ruszyły zwolnienia



w likwidowanej łódzkiej fabryce sprzętu AGD należącej do tureckiego koncernu Beko, które dotknęło 1093 osób. Kilkaset osób straci pracę m.in. w Intelu, Siarkopolu, Alchemii oraz Lear Corporation. Cały czas trwają redukcje zatrudnienia w Poczcie Polskiej (ponad 9 tys. osób) oraz w PKP Cargo (do listopada 3665 osób).

Na razie bezrobocie, które według danych GUS w listopadzie wyniosło 5 proc., jest utrzymywane w ryzach, ale przecież istota rzeczy tkwi nie tylko w liczbach. Z Polski uciekają najbardziej wartościowi i lepiej płatni mieszkańcy. Znikają także zakłady, które dawały zatrudnienie całemu regionowi. O ile więc średnia krajowa nie jest jeszcze alarmująca, o tyle są już miejsca w kraju, gdzie pracy po prostu nie ma. Ich mieszkańcom pozostaje więc tylko wegetacja, przeprowadzka albo sezonowy wyjazd do Niemiec na szparagi.

Opieszałość rządu w sprawach gospodarczych można tłumaczyć jego niekompetencją, ale równie dobrze może to być świadoma polityka. Zresztą jedno nie wyklucza drugiego. Nieprzypadkowo bowiem rząd Tuska składa się w przeważającej większości z miernot. Ludzie kompetentni, inteligentni i o sil-

Polska pod wodzą Tuska stopniowo przekształca się w europejski bantustan zarządzany twardą ręką i coraz silniej uzależniony gospodarczo i politycznie od zamożniejszych sąsiadów

nym kręgosłupie mogliby mu się przeciwstawić.

Polska pod wodzą Tuska stopniowo przekształca się w europejski bantustan zarządzany twardą ręką i coraz silniej uzależniony gospodarczo i politycznie od zamożniejszych sąsiadów. Jeżeli taki był plan premiera, to trzeba przyznać, że realizuje go z żelazną konsekwencją.

DROGO, CORAZ DROŻEJ

Pogarszająca się kondycja polskiej gospodarki bezpośrednio przekłada się na warunki życia Polaków. Uciekające miejsca pracy i brak perspektyw to jedna strona

medalu. Drugą są rosnące ceny i coraz mniej pieniędzy w portfelu.

Z wyliczeń opublikowanych przez „Business Insider” wynika, że ceny energii są u nas 2,5-krotnie wyższe niż w Norwegii i o jedną czwartą wyższe niż w Niemczech, Szwajcarii i Danii. Są też najwyższe w Europie, a niewykluczone, że i na całym świecie. A już wkrótce zostaną jeszcze podwyższone o podatek ETS2, który zgodnie z unijnym Zielonym Ładem ma wejść w życie najwcześniej w 2027 r. Zapłacą go m.in. posiadacze kotłów gazowych i węglowych.

Tarcza energetyczna, która za czasów Morawieckiego przez trzy lata chroniła Polaków przed gwałtownym skokiem cen prądu, została przez Tuska zlikwidowana w lipcu. W jej miejsce wprowadzono częściowe zamrożenie cen energii, które będzie obowiązywać do połowy tego roku, a więc do wyborów prezydenckich. Potem zapłacimy pełną stawkę, która z roku na rok będzie coraz wyższa. W najgorszym scenariuszu koszty energii dla gospodarstw domowych wyniosą w 2030 r. ponad 7 tys. zł rocznie więcej niż teraz, a w 2040 r. nawet 10 tys. zł więcej.

Trudno to sobie wyobrazić, bo przecież już dziś jest drogo. W ujęciu

rocznym żywność w listopadzie była droższa o 4,8 proc., nośniki energii o 11,7 proc., jedynie paliwa potaniały o 6 proc. Towary zdrożały o 3,8 proc., a usługi aż o 7,2 proc. I nic nie wskazuje na to, że będzie taniej. Wręcz przeciwnie. W kwietniu rząd Tuska przywrócił 5-proc. stawkę VAT na żywność, którą dwa lata wcześniej obniżył do zera Mateusz Morawiecki. Wkrótce nie będzie nawet i tej 5-proc. stawki, bo w listopadzie Tusk zobowiązał się przed Komisją Europejską do jej zniesienia.

Wynajęci przez PO specjaliści od propagandy długo szukali jakiegokolwiek towaru, który staniał podczas rządów Tuska, i ostatecznie znaleźli jedynie masę makową tańszą o 3,41 proc. Pochwalili się swoim odkryciem w internecie, co skończyło się powszechną irytacją i usunięciem tych rewelacji z sieci.

SZCZYT AMBICJI

Nic dziwnego, że po zaledwie roku „uśmiechniętych rządów” Tuska coraz więcej Polaków zaczyna tęsknić za „pisowskim zamordyzmem” Morawieckiego. Jak wynika z grudniowych badań United Surveys przygotowanych na zlecenie Wirtualnej Polski aż 52,9 proc. ankietowanych uważa, że dziś żyje im się gorzej niż w czasach Morawieckiego. Odmiennego zdania jest 32,6 proc. badanych. Co ciekawe, wśród odczuwających pogorszenie warunków życia za rządów Tuska znalazło się aż 29 proc. zwolenników PO. To rzeczywiście ogromne „osiągnięcie” obecnego premiera i jego ekipy. Rośnie też liczba osób krytykujących Tuska w roli szefa rządu. 48,7 proc. badanych ocenia go negatywnie, podczas gdy pozytywne opinie na jego temat ma 47,1 proc.

Wraz z rządami Tuska puste stają się nie tylko kieszenie Polaków, lecz także zabijane są ich aspiracje. W odróżnieniu od poprzedniego rządu obecny reżim nie ma pozytywnego planu dla Polski, nie potrafi też zarazić żadnym wielkim projektem. Jego głównym celem są „rozliczenia” i represje wobec opozycji, a być może również podporządkowanie Polski cudzym interesom.

Najlepszą ilustracją tej polityki PO był niedawny wpis Rafała Trzaskowskiego na platformie X, w którym kandydat na prezydenta zachwycił się tym, że Polska jest światowym liderem w produkcji ogórków kiszonych. To są właśnie ambicje tej ekipy. Nie lotniska, nie technologie, nie elektrownie, ale kiszone ogórki.

Z punktu widzenia zwykłego Polaka oznacza to brak perspektyw na przyszłość. Alarmujące dane na ten temat przynoszą badania portalu Pracuj.pl, z których wynika, że aż 51 proc. polskiej młodzieży rozważa emigrację w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Młodzi, z których wielu zgłaszało w ostatnich wyborach na PO, najwyraźniej tracą wiarę w obecny rząd.

Trzaskowski zachwycił się tym, że Polska jest światowym liderem w produkcji ogórków kiszonych. To są właśnie ambicje tej ekipy. Nie lotniska, nie technologie, nie elektrownie, ale kiszone ogórki

Z innych badań dowiadujemy się, że coraz więcej Polaków odczuwa zniechęcenie i dystans do polityków. Prawdopodobnie są to ci, którzy podczas październikowych wyborów w 2023 r. dali się zwieść Tuskowi lub jego pomocnikom z koalicyjnych partii i uwierzyli, że będą oni kontynuować prospołeczną politykę PiS. Na razie ci wyborcy są na etapie odczuwania zawodu i rozczarowania (w końcu dali się oszukać jak dzieci), jednak za jakiś czas znowu staną się aktywni. Nastąpi to w chwili, gdy ktoś ponownie zdobędzie ich zaufanie albo wtedy, gdy ich życie stanie się tak ciężkie, że będą musieli dać upust swojej frustracji.

To oczywiście, że część takich rozczarowanych wyborców może trafić (lub w niektórych przypadkach powrócić) pod skrzydła PiS. Wydaje się jednak, że jest to proces mocno rozłożony w cza-

sie. Trudno dziś ocenić, czy w znaczący sposób przełoży się to na najbliższe wybory prezydenckie i czy Karol Nawrocki mógłby liczyć na jakąś liczbę głosów zniechęconych rządami Tuska. Wydaje się, że do maja zostało już zbyt mało czasu, choć dynamika wydarzeń i nastrojów jest dziś w Polsce tak duża, że właściwie wszystko może się wydarzyć.

W społeczeństwie niewątpliwie nastąpił pierwszy wstrząs wywołany rządami Tuska. I nie jest on związany z represjami, które dotyczą głównie oponentów politycznych obecnej ekipy, lecz z pogarszającymi się warunkami życia Polaków. To one w największym stopniu zdecydują o dalszych losach obecnego reżimu.

DOMKNĘCIE SYSTEMU

Oczywiście Tusk doskonale zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakim dla jego przyszłości są coraz gorsze nastroje Polaków. Podczas swoich pierwszych rządów w latach 2007–2014 niemal codziennie śledził sondaże i dopasowywał do nich swoją bieżącą politykę. Teraz z pewnością jest podobnie.

To dlatego Tusk mówi dziś, że 2025 r. będzie „przełomowy”. „W drugiej połowie roku wszyscy odczuwamy tę wielką energię” – stwierdził. Należy to rozumieć jako komunikat skierowany do wyborców: kiedy weźmiemy prezydenturę i do końca pozbędziemy się PiS, zajmiemy się budowaniem dobrobytu. Jakaś część wyborców uwierzy w te zapewnienia i po raz kolejny da się nabrać. Gdy jednak Tuskowi uda się „domknąć system”, nie będzie już odwrotu oraz szansy na rychłą i pokojową zmianę władzy. Dobrobytu ani zapowiadanego przez Tuska na drugą połowę roku skoku cywilizacyjnego też nie będzie.

Zamiast tego zobaczymy dalsze, jeszcze bardziej nasilone represje. Najpierw wśród pisowców, bo tylko w taki sposób będzie można odciągnąć uwagę gawieźdi od codziennych kłopotów, a później wobec każdego, kto będzie okazywał niezadowolenie. A to będzie rosło, bo reżim działa wbrew interesom zwykłych Polaków. Jeżeli mu się na to pozwoli, nie odda już zdobytej władzy.



Prezydencja na kolanach

Pierwsza polska prezydencja w Unii Europejskiej była nijaka, obecna zapowiada się na wielką klapę



STANISŁAW JANECKI

I stycznia 2025 r. rozpoczęła się polska prezydencja w Radzie Unii Europejskiej. Druga w historii od wejścia Polski do UE (pierwsza przypadła na drugą połowę 2011 r., gdy premierem także był Donald Tusk). I jak pierwsza prezydencja była bez większego znaczenia dla Polski, tak druga może być

spektakularną klapą. A okazji do poprawki nie będzie, gdyż obecnie czeka się aż 14 lat na ponowną prezydencję (Unia w swych początkach zaczynała od zmiany prezydencji co 2,5 roku).

Może dlatego na początek zasypiano sprawę prezydencji liczbami, które nie mają większego znaczenia. Co bowiem wynika z tego, że od stycznia do czerwca 2025 r. zaplanowano ok. 300 spotkań eksperckich i urzędniczych, że związane z prezydencją wydarzenia obejmą 24 miasta? Że w Gdańsku, Gdyni i Sopocie będzie ok. 50 spotkań. Że obrady będą się toczyć w Europejskim Centrum Solidarności, Muzeum Gdańska (Dwór Artusa, Ratusz Głównego Miasta), Teatrze Szekspirowskim, Muzeum II Wojny Światowej? Że już 9–10 stycznia dojdzie do spotkania Kolegium Komisarzy z rządem Donalda Tuska? W 2011 r. też było wiele szumnych zapowiedzi, prezydencja (pierwsza w historii) miała politycznie lewarować Polskę, tymczasem była więcej niż przeciętna,

praktycznie nic nie zmieniła w funkcjonowaniu UE. Choć Donald Tusk zapowiadał zasadniczą zmianę sposobu debaty o Unii, nic takiego się nie stało.

Głównym celem obecnego przewodnictwa Polski w UE ma być „zapewnienie Europie szeroko rozumianego bezpieczeństwa – przede wszystkim militarnego, wewnętrznego, ekonomicznego, energetycznego, informacyjnego, żywnościowego i zdrowotnego”. To wygląda jak zestaw pobożnych życzeń, a wręcz bajek, bowiem w pół roku nie da się zrealizować żadnego z tych celów. Tym bardziej że w tych kwestiach Polska sama nie może nic.

Donald Tusk i jego ekipa zdają się nie zauważać, że wprowadzone przez traktat z Lizbony reformy znacząco zawęziły możliwości prezydencji, szczególnie w kwestiach bezpieczeństwa, bo są one obecnie przesunięte na poziom ponadnarodowy. Sprawującej prezydencję Polsce pozostanie nadzór nad tym, co się dzieje na poziomie ministerialnym w Radzie, i to w ograniczonym zakresie. Ale o tych szczegółach nikt nie myślał, gdy 3 stycznia 2025 r. w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie odbywała się oficjalna gala otwierająca prezydencję.

BAJKI I POBOŻNE ŻYCZENIA

W najważniejszej kwestii dla Polski, czyli dotyczącej obronności, wbrew bajkom opowiadanym przez Donalda Tuska Berlin już powiedział twardo „nie” finansowaniu z budżetu UE tzw. Tarczy Wschód. I to stanowisko popiera jeszcze co najmniej 10 innych państw członkowskich. Oficjalnie z tego powodu, że nie chcą zaciągać kolejnych długów. To, że rząd Tuska uważa, iż „europejscy partnerzy powinni partycipować w kosztach Tarczy, gdyż jest to część obrony wschodniej granicy całej Unii”, nie ma żadnego znaczenia, skoro większość państw członkowskich nie chce nawet tego słuchać. Bajką jest przekonanie polskiego rządu, że komisarz ds. budżetu UE Piotr Serafin (nazywany „mózgiem Tuska” w czasach, gdy obecny premier był przewodniczącym Rady Europejskiej) zdobę-

dzie na Tarczę Wschód jak najwięcej pieniędzy w przyszłych Wieloletnich Ramach Finansowych UE (WRF), gdyż pierwsze dofinansowanie z WRF pojawi się dopiero w 2027 albo nawet w 2028 r., więc polska prezydencja nie będzie miała żadnego wpływu na ich przeznaczenie i wydawanie. Wprawdzie 17 lutego 2025 r. na konferencji w Polsce państwa członkowskie wskażą swoje oczekiwania wobec perspektywy WRF, ale Komisja Europejska położy na stole stosowny projekt dopiero na początku prezydencji duńskiej (nastąpi po polskiej). Także przyszłość Europejskiego Programu Przemysłu

Jak ponury żart brzmi to, że polska prezydencja ma „uchronić Unię przed wewnętrznymi podziałami”, skoro rząd Donalda Tuska jest odpowiedzialny za największe i najostrzejsze podziały w kraju po 1989 r.

Obronny (EDIP) w ogóle nie zależy od polskiej prezydencji. Pod koniec lutego 2025 r. Komisja Europejska opublikuje Białą Księgę ws. obrony, ale na jej podstawie podczas polskiej prezydencji nie zapadną żadne konkretne decyzje, szczególnie w sprawach Tarczy Wschód czy tzw. Bałtyckiej Linii Obrony.

Celem polskiej prezydencji jest „przyjęcie rozwiązań na rzecz ograniczenia nielegalnej migracji i wzmocnienia skuteczności powrotów, w tym we współpracy z partnerami z krajów trzecich”. To kolejna bajka, bowiem tych spraw nie zdołano rozwiązać w ciągu ostatniej dekady, więc nie ma szans, żeby coś konkretnego zrobiono w najbliższych sześciu miesiącach. Tak jak realnie nie ma szans, by wycofać się z przymusowej relokacji imigrantów,

o której zdecydowano wcześniej, a Donald Tusk, mając okazję, żeby ją zablokować, nie zrobił tego.

Zapisano też, że „polska prezydencja będzie wzmacniać koordynację w zwalczaniu dezinformacji i manipulacji informacjami”. Dotyczy to także poprawy zdolności UE do zapobiegania i zmniejszania skutków wrogich działań w cyberprzestrzeni. Wicepremier Krzysztof Gawkowski ma „budować świadomość: to, że coś widzisz w sieci, nie znaczy, że to prawda”. Dlatego Polska jako pierwszy kraj sprawujący prezydencję ma wspólnie z Komisją Europejską opublikować raport o wpływie

portali społecznościowych na zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży, który ma rodzić „konsekwencje prawne”. Tyle że nie jest to pomysł na walkę z dezinformacją, lecz na wprowadzenie cenzury. Co gorsze, cenzura będzie też dotyczyć kwestii klimatu oraz polityki energetycznej. Na liście polskich priorytetów znalazła się bowiem „praca nad narzędziami do walki z fake newsami i dezinformacją klimatyczną kwestionującą politykę energetyczną i klimatyczną UE”. Czy to oznacza karanie za myślozbrodnie dotyczące np. Zielonego Ładu czy ogólnie „religii klimatycznej”?

TRUDNIEJ, GORZEJ, DROŻEJ

W celach prezydencji zapisano, że „będzie wspierać działania dotyczące pogłębienia unijnego jednolitego rynku oraz znoszenia barier dla działalności transgranicznej, zwłaszcza w sektorze usług”. To kompletna iluzja, gdyż sprawę zablokują choćby Niemcy czy Francja, od lat walczące z polską konkurencją na rynku usług, np. transportowych. Wyłącznie życzeniowo brzmi zapowiedź „działań zmierzających do obniżenia cen energii w UE oraz dotyczących rewizji ram unijnego bezpieczeństwa energetycznego”. Państwa członkowskie UE są zobligowane do przyjęcia regulacji wprowadzających nowy system handlu emisjami ETS2 już na początku 2025 r. To eufemizm, pod którym kryje się zwykły podatek węglowy, który obejmie nie tylko ten

surowiec, lecz także gaz ziemny, olej opałowy, benzynę oraz olej napędowy. Przyjęcie tych przepisów oznacza, że w 2027 r. nastąpi duża podwyżka cen za każdą wyemitowaną tonę dwutlenku węgla. Polacy odczują ten wzrost szczególnie dotkliwie, gdyż kilka milionów naszych domów wciąż ogrzewa się węglem i gazem, a ok. 20 mln aut na polskich drogach jest zasilanych benzyną i olejem napędowym. Na początek paliwo zdrożeje o 40–50 gr na litrze, rachunki za gaz będą wyższe o jedną czwartą. Przez pierwsze dwa lata obowiązywania nowego systemu unijne regulacje zapewnią limit 45 euro za tonę CO₂, potem będzie tylko drożej.

Powołując się na ekspertyzy Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami, „Rzeczpospolita” podała, że w pierwszych czterech latach funkcjonowania ETS2 ceny za emisję przekroczą 50 euro za tonę CO₂, a już od 2031 r. mogą wzrosnąć nawet do 210 euro za tonę. Dostawcy benzyny, gazu czy węgla zapłacą podatek od swoich wyrobów, a to przełoży się na wzrost cen dla gospodarstw domowych. Jak widać, polityka UE zmierza do podwyższania, a nie obniżania kosztów energii, jak zapisano w celach polskiej prezydencji. Chyba tylko ktoś skrajnie naiwny może oczekiwać, że Donald Tusk i jego ekipa zmienią politykę klimatyczną i energetyczną Unii podczas polskiej prezydencji.

W celach prezydencji zapisano także: „Bezpieczna i wysokiej jakości żywność to europejskie dobro publiczne. Polska prezydencja będzie więc dążyć do kształtowania silnej Wspólnej Polityki Rolnej, która wspiera rolników oraz rozwój obszarów wiejskich”. To bzdury, skoro parafowana jest już umowa Komisji Europejskiej z państwami grupy Mercosur i wbrew temu, co mówi Donald Tusk, wejdzie ona w życie, tylko premier razem z szefową KE muszą wymyślić jakąś legendę, którą się sprzeda w Polsce. Legendę o korzyściach. Posłanka Małgorzata Tracz (Koalicja Obywatelska) ujawniła, że kluczowa część umowy z krajami Mercosur dotycząca wolnego handlu zostanie wydzielona z całego dokumentu i będzie podlegać ratyfikacji przez Parlament Europej-

ski oraz Radę UE, zaś pozostałe części trafią do parlamentów narodowych. Głosowanie w sprawie umowy jako całości, wymagające jednomyślności parlamentów krajowych, zakończyłoby się fiaskiem, więc jest planowany szwindel. Nie ma najmniejszych nadziei na to, że polska prezydencja go zablokuje czy przynajmniej będzie się starała to zrobić. W efekcie ratyfikacji umowy Polska może dużo stracić na rynkach drobiu, wołowiny, cukru, miodu czy sera.

Polska prezydencja ma się też skupić na „cyfrowej transformacji opieki zdrowotnej, zdrowiu psychicznym dzieci i młodzieży oraz promowaniu zdrowia i profilaktyki chorób”. W naszym kraju cyfrowa transformacja opieki zdrowotnej jest rozwijana od dawna, więc to, co się dzieje w innych państwach, nie powinno nas obchodzić. Kompletnie bez znaczenia jest też to, że polską prezydencję będą promować „młodzi artyści i głównie kobiety”, gdyż nikt się tym nie przejmuje. Chyba że chodzi o finansowe nagrodzenie tych, którzy popierają koalicję 13 grudnia, ale to dotyczy tylko naszego podwórka.

INTERNACJONALIZM TUSKA

Podobno „jesteśmy świadomi konsekwencji gospodarczych wymiany handlowej z Ukrainą dla polskich rolników, dlatego w najbliższym półroczu muszą zostać sfinalizowane prace nad nowymi zasadami unijno-ukraińskiej pogłębionej i kompleksowej strefy wolnego handlu, aby można było do niej powrócić”. Można być pewnym, że w pierwszym półroczu 2025 r. w tej sprawie nic się nie zdarzy, więc jest to tylko oszukiwanie polskich rolników.

Rząd Tuska zapowiada, że jego „ambicją jest otwarcie pierwszego klastra negocjacji akcesyjnych z Kijowem podczas polskiej prezydencji”. Nie ma na to żadnych szans, skoro w tej samej kolejce, co Ukraina, stoi dziewięć innych państw i to Bałkany Zachodnie, a nie Kijów mają grupę wsparcia oraz przyjaciel wewnątrz Unii. Zresztą jaki interes miałaby Polska w przyspieszonym członkostwie Ukrainy w UE? Tym bardziej że nie ma jasnej perspektywy zakończenia wojny, którą Rosja pro-

wadzi z naszym wschodnim sąsiadem a przez to nie ma też konkretnych planów odzyskania przynajmniej części okupowanych przez Rosjan terytoriów. Z powodu polskiej prezydencji rząd Donalda Tuska zaczął się bardziej interesować Ukrainą, ale wizyta premiera we Lwowie 17 grudnia 2024 r. nie wniosła nic nowego. Także do perspektywy członkostwa Ukrainy w Unii.

Ministrowie rządu Donalda Tuska i on sam opowiadają bajki, że „jest ogromna presja na polską prezydencję i ogromne oczekiwania ze względu na nasze doświadczenia 1989 r., akcesji do UE i obecnego zawrócenia z drogi łamania praworządności”. Doświadczenia 1989 r. to polska legenda, o której mało kto pamięta, skoro nasz kraj był ostatnim państwem Europy Środkowej, gdy chodzi o termin pierwszych wolnych wyborów (w 1991 r.). Historyczny „kompromis” z komunistami okazał się korzystny wyłącznie dla nich. A gdy chodzi o obecne „zawracanie z drogi łamania praworządności”, to nic takiego się nie zdarzyło. Wręcz przeciwnie: ekipa Tuska weszła na szybką ścieżkę wprowadzenia w kraju zamordyzmu. I podczas polskiej prezydencji może ją spotkać niemiła niespodzianka: będzie bowiem wiele okazji, żeby przedstawiciele innych państw członkowskich oraz unijni urzędnicy dowiedzieli się, jak naprawdę wygląda „przywracanie praworządności”, które w istocie jest jej „przewracaniem”. Jak ponury żart brzmi to, że polska prezydencja ma „uchronić Unię przed wewnętrznymi podziałami”, skoro rząd Donalda Tuska jest odpowiedzialny za największe i najostrejsze podziały w kraju po 1989 r.

Ogólnie polska prezydencja zapowiada się jako ludzenie Polaków, że będą z tego coś mieli, podczas gdy wszystko wskazuje na to, iż będzie to zmarnowana szansa. Uzasadnione są obawy, że podczas polskiej prezydencji będą realizowane interesy wszystkich, tylko nie Polski. Urzędnicy Tuska już się zastrzegają, że prezydencja nie jest po to, by służyć naszemu krajowi, tylko reprezentować sprawę całej Unii. Tak się jednak składa, że podczas innych prezydencji interesy sprawującego ją kraju mają się najlepiej, ekipa Tuska wybiera zaś internacjonalizm. ▀



MAM
TALENT!

Bezpiecznik systemu Tuska

Narazie zapowiadając swój start w wyborach prezydenckich, kokietuje, że według powszechnej opinii ma sromotnie przegrać ten wyścig. „Przyzwyczailem się do tego” – tłumaczy Szymon Hołownia w książkowym wywiadzie rzece z Michałem Kolanką pt. „Nie dajmy się podzielić”. Tytuł przewrotny, bo wbrew intencji raczej odnosi się do sytuacji w koalicji rządowej niż narodowej wspólnoty rozrywanej politycznym konfliktem między PO a PiS. Ta rozmowa nie mówi o Hołowni niczego nowego, lecz utrwala to, co już o nim dobrze wiemy. Także o roli, jaką przypisano mu w obecnym układzie.

Szymon Hołownia to polityk wykreowany, wyprodukowany, spozycjonowany – jeden z bezpieczników systemu Tuska. W odpowiedniej chwili może być użyty albo porzucony. Jest taka ewentualność, że jako druga osoba w państwie przejmie obowiązki prezydenta, jeśli sytuacja wokół Państwowej Komisji Wyborczej się nie wyjaśni, a wybory prezydenckie nie zostaną przeprowadzone. To dzięki niemu ministrem klimatu został ktoś taki, jak Paulina Hennig-Kloska, i unikiem zbywa problem jej niekompetencji. Ale już od Elonie Musk ma wyrobione zdanie. „To bardzo niebezpieczny człowiek” – mówi bez ogródek.

WYKREOWANY

Hołownia ma problemy ze zdefiniowaniem siebie – wiele tutaj niekonsekwencji, sprzeczności. Bo mówi o cywilizacyjnych zmianach, którym musimy stawić czoło dla dobra naszych dzieci, czuje grozę zmian geopolitycznych, a jednocześnie mamy tutaj film przygodowy. „W życiu, robiąc coś, nie wiedziałem, co z tego wyniknie. Dwukrotnie próby wstąpienia do zakonu, próby z ratownictwem medycznym, studiowanie psychologii, ale nie zebrałem się do obrony magisterki. Dziennikarstwo pomogło mi napisać 20 książek. Bez tego nie umiałbym być marszałkiem. Życie jest fascynującą przygodą” – wyznaje. Ale nic nie jest takie przypadkowe – kariera w TVN, show-biznesie i projekt polityczny pod okiem fachowców.



MACIEJ WALASZCZYK

Marszałek Sejmu opowiada o tym, jak wyglądał „track record” kontaktów z PO, jak to jest być „control freakiem”, z kim łączyły go oficjalne „hendszejki”, jak to jest wyjść poza środowiskowe „echo chamber” oraz czy spotkał się już z parlamentarnym „filibusteringiem”. „Władza to nie jest softdrink” – tłumaczy. Hołownia chce poważnej polityki, ale traktuje ją jak reality show

„Mój przyjaciel i współpracownik Jacek Cichocki był ważną postacią w rządach Donalda Tuska” – mówi Hołownia. Nigdzie jednak nie rozwija, kim jest Cichocki, człowiek bliski Bartłomiejowi Sienkiewiczowi, były dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, minister spraw wewnętrznych i nadzorca służb specjalnych w poprzednich gabinetach Donalda Tuska, a dziś szef Kancelarii Sejmu.

Nie dowiadujemy się też szczegółów na temat tego, że Hołownia miał być rzekomo podsłuchiwany we własnym mieszkaniu w czasie kampanii prezydenckiej w 2020 r., że w jego otoczeniu byli ludzie potrafiący rozpoznać obserwatorów ustawionych pod jego domem. Kto i kogo zdemaskował? Mamy tu wyłącznie insynuacje bez dowodów. Co ciekawe, w sprawie poruszającej się jeszcze niedawno po Sejmie bez

żadnych problemów Magdaleny Ch., konkubiny agenta GRU Pawła Rubcowa, Hołownia nie ma sobie nic do zarzucenia. Niestety w tej sprawie nie miał żadnego sygnału. Marszałek deklaruje także, iż podpisze ustawę o języku śląskim, a argument podnoszony m.in. przez prezydenta Andrzeja Dudę, że Rosją wykorzystać może śląski separatyzm w wojnie hybrydowej, to według niego „glupota”.

POLITYKA JAK REALITY SHOW

Człowiek aspirujący do najwyższych funkcji państwowych, ba, już ją pełniący, bo od roku jest obsadzony w roli rotacyjnego marszałka Sejmu, a więc drugiej osoby w państwie, udziela wywiadu rzeki. Nieskomplikowanego, prostego, przystępnego, zapowiadanego jako „zderzenie z wielką polityką”. Z naszą polityką, w której pojawia się coraz więcej celebrytów, kuglarzy i wariatów. W czasie rozmowy Hołownia płynnie przechodzi od kreacji do autentyzmu, zmienia skórę jak kameleon, rozgranicza rolę ojca i męża, celebryty i polityka, opowiada o polityce ze wszystkich tych pozycji. Wbrew swym intencjom utrwalać wrażenie polityka wykreowanego, wyprodukowanego przez swoje zaplecze, autentycznego amatora profesjonalnie odgrywającego rolę w politycznym reality show („po-słowie to najtrudniejsza publiczność z jaką miałem do czynienia”). O państwowych uroczystościach mówi jako o „patriotycznym glamour”. „Znam dobrze ten gatunek, w show robiłem parę lat” – wypala.

Książka ukazała się niedawno i można by ją skrócić do zbioru gagów skrojonych w formę politycznej szopki A.D. 2025, gdyż momentami czytającego ogarnia pewne zażenowanie. I nie jest to pierwszy przypadek, gdy politycy w tego rodzaju formie zdają relację z technikaliów sprawowania swojej funkcji. Kazimierz Marcinkiewicz opowiadał o swoich pierwszych dniach w gabinecie premiera, miękkim dywanie i licznych telefonach na biurku, zza którego rządzi się krajem. Hołownia opowiada więc o tym, jak to jest prowadzić obrady Sejmu, że łatwo się pogubić w kolejności głosowań, trzeba być

skoncentrowanym, panować nad salą, pilnować długości wystąpień. Andrzej Lepper nie wywał na wierzch swych wrażeń i rozterek, opowiadając o tym, jak to z chłopą zrobił się król. „Czy po prawie roku pełnienia tej funkcji czuje pan, że jeszcze czegoś nie kontroluje?” – pada pytanie. „Dzwonka” – rzuca Hołownia i snuje opowieść o tym, że ma przed sobą konsolę, na której może włączać i wyłączać różne mikrofony, w tym przycisk uruchamiający sejmowy dzwonek. Dowiadujemy się więc, że ciągle mu się to myli, że jeden sygnał – jak mówił, taka „ambientowa, plumkająca melodyjka” zachęcająca do spokojnego marszu na salę, przypomina mu lotniskowy komunikat: „Go to gate”. Redaktorowi Kolance kojarzy się to z dzwonkiem w szkole. I rozmowa toczy się dalej m.in. o gabinecie, biurku, szufladach, obrazach wiszących na ścianach.

Funkcja marszałka Sejmu to ciąg skomplikowanych biurokratyczno-reprezentacyjnych czynności, z którymi Hołownia sobie radzi, ale jak nieustannie opowiada, „nie jest to takie proste”. Okazuje się jednak, że już sprawa wygaszenia mandatów posłów Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego wcale nie była skomplikowana. „Od strony prawnej sprawa była jednoznaczna: jest wyrok, nie ma mandatu, kropka”. Żadnych rozterek i wątpliwości. Marszałek Sejmu mylący przyciski na pulpicie w tak trudnej kwestii prawnej, całkowicie przerastającej jego kompetencje, nie miał rozterek. To kreacja pod publikę czy rzeczywistość?

MARSZAŁEK ROTACYJNY

Dlaczego Hołownia postanowił wkroczyć do polityki? By przełamać dominację duopolu PiS–PO, trwającego od 20 lat konfliktu między Kaczyńskim a Tuskiem. „Za drzwiami jest wojna, trzeba zresetować ten chory dwubiegunowy system”. Co więc robi? Faktycznie wzmacnia polaryzację przez oddanie in blanco władzy Donaldowi Tuskowi. „Tusk jest namaszczonej na premiera, a my jeszcze przez miesiąc nie mamy nic” – wspominał. Przechodzi do porządku dziennego nad faktem,

że jego dzisiejszy partner, a więc PSL, od 35 lat pełni funkcję obrotowego, systemowego koalicjanta – kiedyś SLD, a potem Platformy. To żelazny filar systemu władzy, który rzekomo chce obalić. Jest niekonsekwentny, bo w pewnej chwili przyznaje, że polityczna zmiana nastąpiła już rok temu, gdyż oznaczają „zwycięstwo Tuska”, a więc odsunięcie PiS od władzy.

Poza tym twierdzi, że obecny gabinet nie jest monorządem PO, a zarazem nie zauważa, że monowładza PiS miała bardzo silny mandat demokratyczny. Hołownia co chwila zaś wygłasza akty strzeliste w hołdzie demokracji. I tutaj wpada w kolejne pułapki. Mówi, że chce skończyć z polityką rozumianą jako „dyskont”, ale jego projekt polityczny

O państwowych uroczystościach w wywiadzie rzece Hołownia mówi jako o „patriotycznym glamour”. „Znam dobrze ten gatunek, w show robiłem parę lat” – wypala

jest „kolejnym sklepikiem na rynku dystrybucji politycznych towarów”, czy tego chce, czy nie. Sam założył tak krytykowany przez siebie swój „polityczny kościół”, jego wyborcy sympatyzują z jedną z grup kibicowskich.

Nie potrafi przyznać, że niestety tak właśnie działa demokracja, że podnoszony przez niego problem braku myślenia strategicznego, rozwiązywania wielkich problemów został zakwestionowany przez demokratyczną wojnę totalną i myślenie od wyborów do wyborów. „Trzeba zorganizować referendum w sprawie aborcji” – mówi Hołownia, bo Sejm nie załatwi tej sprawy. Jest więc zwolennikiem referendum prowadzącego do polaryzacji absolutnej.

Niekonsekwencja Hołowni wyziera też z jego opowieści na temat pracy

marszałka Sejmu, szczegółów na temat dyscyplinowania posłów, atmosfery na posiedzeniach i nowych doświadczeń, które tam zdobył. Bardzo gładko przeszedł do porządku dziennego nad utracaniem przez większość sejmową kandydatury Elżbiety Witek na stanowisko wicemarszałka Sejmu. Posłowie byleż już opozycji mieli jej zapamiętać fatalne traktowanie. Przegrana Platforma, niepotrafiąca się pogodzić z utratą władzy, od 2015 r. wielokrotnie próbowała przecież sparaliżować prace Sejmu, dokonywać jego siłowego przejęcia, blokad, „zamachu stanu”, o czym obwieszczano w TVN – macierzystej stacji Hołowni. Ten zdemoralizowany za sprawą jego obecnych koalicyjnych kolegów cyrk został ucywilizowany właśnie dzięki marszałek z Dolnego Śląska. Wystarczyło tylko dużo cierpliwości i nauczycielskiego doświadczenia do oprowadzania hałasującej plenarki.

NAJLEPIEJ RZUCIĆ TO WSZYSTKO

„Co chwila mam ochotę dać sobie z tym wszystkim spokój, gdy ktoś po raz kolejny mnie okłamuje, patrząc mi z uśmiechem w oczy” – wyznaje w pewnym momencie. Niestety nie pada pytanie, kto okłamuje i w jakiej sprawie. Z pewnością byłoby to ciekawe dla zwolenników Hołowni, dla których przyczyną zła na świecie jest dziś prawicowa opozycja. Nie musimy pytać zwolenników PiS, KO, Lewicy czy Konfederacji, dlaczego głosują na te ugrupowania. Politolodzy, socjologowie i specjaliści od politycznego marketingu od dawna zadają sobie pytanie, po co i dla kogo wciąż istnieje PSL, choć i tutaj sprawa jest bardziej klarowna. Jednak co powoduje, że ludzie głosują na Polskę 2050, a więc Trzecią Drogę? Kim są i co myślą o polityce potencjalni wyborcy Szymona Hołowni? Dlaczego chcą głosować na kogoś, kto chętnie przerywa pracę, otwiera okno gabinetu marszałka, by pokazać się stojącej pod Sejmem wycieczce, z którą można pogadać, pośmiać się i porobić „milion zdjęć”? A potem wraca i podejmuje decyzje. Wiemy jednak, że robi to Donald Tusk.

Ślady utracone

Czy zagraniczne laboratoria znalazły w smoleńskich próbkach ślady materiałów wybuchowych? Tak. Czy ich ilość okazała się znaczna? Nie. Czy rozstrzyga to kwestię eksplozji na pokładzie tupolewa? Też nie. Wyjaśniamy, jak przez lata manipulowano w kluczowym wątku śledztwa w sprawie tragedii z 2010 r.



MAREK PYZA

Ponad 14 lat doświadczeń wskazuje, że jeśli „Gazeta Wyborcza” ogłasza, iż „ujawnia” coś w sprawie katastrofy smoleńskiej, można w ciemno zakładać, że mamy do czynienia z głęboką manipulacją. Nie inaczej jest tym razem. Zeszyty-godniowy materiał zatytułowany na okładce „Jak badano ślady trotylu na wraku?” ma sprawiać wrażenie odkrycia sensacji i jakichś przełomowych ustaleń. „Teraz opowiemy, jak było naprawdę z tym trotylem na wraku tupolewa i opiniami zagranicznych ekspertów – od początku do końca” – czytamy w tekście Marcina Rybaka. Ale próżno tu szukać prawdy – ani na początku, ani na końcu.

Gazeta kierowana przez człowieka balującego z politykami obecnej władzy przekonuje, że zagraniczne laboratoria zatrudnione przez Prokuraturę Krajową do współpracy w śledztwie stwierdziły w przesłanych im próbkach tak niskie stężenie materiałów wybuchowych, że pozwala ono stwierdzić, iż w 2010 r. na pokładzie rządowego tupolewa nie doszło do eksplozji. „GW” nie stawia pytań, co w zasadzie badano,



Próbki do badań otrzymało także włoskie Laboratorium Kryminalistyczne Korpusu Karabinierów

czy te analizy mogą być traktowane za miarodajne i ostatecznie wykluczające niektóre z hipotez.

Redaktorów z Czerskiej to nie interesuje. Oni chwytają się każdego skrawka informacji, dzięki któremu mogą powtórzyć swoją ulubioną tezę: w Smoleńsku na pewno nie było zamachu. Robią to niemal od 15 lat. Wszystko interpretują na korzyść Rosji, zamykają oczy na skandaliczne nieprawidłowości w obozie Donalda Tuska. Mają duże zasługi w tym, że spora część polskiego społeczeństwa jest skłonna obarczyć Putina winą za liczne zbrodnie, zamachy, strącenia cywilnych samolotów, ale w przypadku śmierci polskiej elity państwowej bierze stronę Moskwy.

LATA ZANIEDBAŃ

Na wstępie zaznaczmy rzecz zasadniczą – to, że wciąż musimy się zajmować tym wątkiem śledztwa, jest konsekwencją rażących uchybień popełnionych w latach 2010–2013. W tym okresie prokuratura, pracujący dla niej eksperci oraz politycy pozwolili na trzy kardynalne błędy.

Po pierwsze, nie pobrano próbek na okoliczność materiałów wybuchowych wtedy, kiedy należało to zrobić, czyli tuż po katastrofie. To była konsekwencja zgody Tuska, by to Rosja prowadziła śledztwo, położyła łapę na wszystkich dowodach, a Polska była jej petentem.

Po drugie, w czasie wizyty prokuratorów i techników w Smoleńsku w 2012 r. nie wykonano pobrań próbek należycie, m.in. dlatego, że w przypadku najbardziej „podejrzanych” elementów (na które reagowały przenośne detektory wykrywające ślady materiałów wybuchowych) na wzięcie wymazów nie pozwolili Rosjanie. Prokuratura ukryła to przed opinią publiczną. I nawet w 2013 r., gdy organizowano powtórny wyprawę, bo w Moskwie wreszcie dali zielone światło (czyżby odpowiednio przygotowano materiały do badań?), nie wyjaśniono, z czego wynikała konieczność ponownego wyjazdu. Zresztą nawet próbki pobrane w 2012 r. wcale nie zostały od razu przywiezione do kraju, lecz przeleżały kilka miesięcy w Rosji.

I po trzecie, to co przywieziono przed ponad dekadą, zostało zmarnotrawione w wyniku badań w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji. Te analizy zostały tak zaplanowane, by nic nie wykryć, o czym w szczegółach przypominamy.

„Wyborcza” z lubością wraca do tezy, że już w 2010 r. polscy eksperci wykluczyli wybuch dzięki ekspertyzie Wojskowego Instytutu Chemii i Radiometrii. To była żelazna zasłona dymna dla śledczych i rządowej komisji Millera, by odganiać się od pytań o wybuch. Tyle że WICHiR badał nie to, co zgodnie z regułami badań kryminalistycznych zabezpieczono w Smoleńsku, lecz kilka (dokładnie dziewięć) fragmentów przedmiotów osobistych ofiar, które naprędce wybrano spośród znajdujących się w plastikowych workach zgromadzonych w bazie w Mińsku Mazowieckim. Wśród nich nie było ani jednego elementu samolotu, a wartość dowodowa całej procedury była żadna. Dość powiedzieć, że w sprawozdaniu WICHiR czytamy: „Analiza na obecność materiałów wybuchowych oraz węglowodorów nie jest objęta systemem zarządzania i jest poza zakresem akredytacji”, co oznacza, że instytut nie miał uprawnień do prowadzenia takich badań na rzecz postępowania prokuratorskiego.

W 2012 r. wydawało się, że mamy przełom. Po wizycie w Smoleńsku prokuratorów i policyjnych pirotechników Cezary Gmyz opublikował artykuł „Trotyl na wraku tupolewa” opisujący, jak przenośne detektory (używane w służbach specjalnych czy na lotniskach) w licznych przypadkach reagowały na sprawdzane przedmioty udostępniane przez Rosjan. Gmyza i szefostwo „Rzeczpospolitej” oraz tygodnika „Uważam Rze” zwolniono (po ledwie godzinach od spotkania pod śmietnikiem rzecznika rządu Pawła Grasia z właścicielem tych tytułów Grzegorzem Hajdarowiczem), większość redakcji „Uważam Rze” solidarnie odeszła

Jeśli „Gazeta Wyborcza” ogłasza, iż „ujawnia” coś w sprawie katastrofy smoleńskiej, można w ciemno zakładać, że mamy do czynienia z głęboką manipulacją. Nie inaczej jest tym razem

z pracy, a władza wraz z prokuratorami rozpoczęły operację wmawiania nam, że specjalistyczne urządzenia wykrywają substancje wybuchowe w paście do butów czy kanapkach (dosłownie po takie dziwactwa sięgano).

Tłumaczono, że trotyl wykryty na fotelach tupolewa nr 101 i nr 102 miał pochodzić z mundurów żołnierzy, którzy latali tymi samolotami na misje m.in. do Afganistanu. Ale przecież przed odlotem do Smoleńska w kwietniu 2010 r. „tutka” była sprawdzana przez pirotechników z Biura Ochrony Rządu m.in. za pomocą detektora MO-2M. Jak więc możliwe, że takie samo urządzenie wykryło ślady m.in. TNT na fotelach w Smoleńsku, choć przed katastrofą na tych samych fotelach w Warszawie nie znalazło niczego?

Dziś gazeta Michnika pół tekstu o próbkach poświęca wątkowi detek-

torów (marginalnemu w tym obszarze), a i tak wielokrotnie mija się tu z prawdą. Poprosiliśmy o komentarz Jana Bokszczanina, prezesa firmy Korporacja Wschód importującej i produkującej specjalistyczny sprzęt z obszaru bezpieczeństwa, w tym wspomniane detektory.

– Stwierdzenie w artykule, że WAT nie wystawił certyfikatu dla Korporacji Wschód na detektor MO-2M, jest kłamstwem, które ujawniająca „prawdę” tak, jak ona ją rozumie „Gazeta Wyborcza” będzie zmuszona sprostować. O tym, na ile jest to prymitywne urządzenie, niech świadczy fakt, że służby specjalne ośmiu krajów UE posiadające w swoim wyposażeniu. Nie sądzę, by służby do walki z zagrożeniami terrorystycznymi zatrudniały samych idiotów czy ekspertów klasy redaktora Rybaka, który by im wytłumaczył, jakim sprzętem powinni się posługiwać. Ja też mam do niego pytanie: niech wyjaśni mi, nieukowi, jaki detektor i w jaki sposób wykrywa semtex? Bardzo jestem ciekaw jego eksperckiej odpowiedzi, bo na razie przypuszczam, że podjął się tematu, który przekracza jego kompetencje – zgryźliwie odpowiada Bokszczanin.

To nawiązanie do fragmentu tekstu „GW”, w którym czytamy, że detektor sprowadzony przez Korporację Wschód „semtex wykrył dopiero wtedy, gdy ów materiał został podgrzany do temperatury 40 stopni”. Rzecz w tym, że tego typu maszyny nie służą do wykrywania semteksu, lecz jego składowych (trotylu czy heksogenu). A to pokazuje, że autor niewiele wie o materiałach wybuchowych.

GRANDA W CLKP

Tu dochodzimy do kluczowej fazy zaciemniania wątku materiałów wybuchowych. Pod koniec 2013 r. Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji przekazało prokuraturze opinię, wedługu której w przywiezionych ze Smoleńska próbkach nie ma śladów materiałów wybuchowych. Ten wniosek miał zamknąć temat eksplozji i pozwolić na

upragniony marsz do umorzenia postępowania bez stwierdzania tzw. ingerencji osób trzecich.

Tyle że biegli z CLKP spartaczyli sprawę, a ich manipulacja była szyta bardzo grubymi nićmi. Dostrzegli je profesorowie Sławomir Szymański i nieżyjąca już dziś Krystyna Kamieńska-Trela, wybitni naukowcy z bogatym doświadczeniem w identyfikacji związków organicznych, jakimi są materiały wybuchowe. Nie zostawili suchej nitki na specach z CLKP, wskazując liczne nieścisłości w ich opinii, których wstydziłby się student, a co dopiero pracownik tak ważnej instytucji.

Już sama staranność badań pozostawiała wiele do życzenia. Nie zapewniono np. higieny pracy urządzeń chromatograficznych (czyli odpowiedniego ich przemywania i schładzania po każdym badaniu). Efekt? Setki chromatogramów (wykresów krzywych z tzw. pikami, czyli sygnałami notującymi konkretne składowe substancje) wyglądały dla fachowców kuriozalnie – krzywe nie przystawały do siebie, urywały się, wykresy wzorców (teoretycznie tych samych) znacząco od siebie różniły. Zdaniem profesorów tylko ta niestaranność eliminowała opinię CLKP jako w całości niewiarygodną.

Największym grzechem była jednak tyleż bezprecedensowa, co niewłaściwa metodologia tych badań. Każdą z 732 próbek zbadano czterema metodami chromatograficznymi (GC/TEA, GC/ECD, GC/MS oraz HPLC/DAD) i założono, że stwierdzenie obecności materiałów wybuchowych będzie możliwe wyłącznie w przypadku wykrycia ich obecności w każdej z podjętych metod. Gdyby więc trzy dały wynik pozytywny, a jedna negatywny, uznano by arbitralnie, że próbka nie zawiera śladów substancji wybuchowych. – To szukanie jakiegos alibi, nikt nie stosuje takich zasad. Czy chodziło o to, by uchylić się od stwierdzenia, że coś w tych próbkach niestety jest? – pytał na łamach tygodnika „Sieci” prof. Szymański w 2014 r.



Naukowcy dowiedli, że biegli z CLKP błędzieli niczym dzieci we mgle. Stosując detektor TEA (Thermal Energy Analyser), stwierdzili, że 350 sygnałów (ujawnionych w czasie badania ponad 100 próbek) chromatograficznych wskazywało ftalany, węglowodory, terpeny czy estry kwasu fosforowego. Problem w tym, że wszystkie te substancje nie zawierają azotu, a detektor TEA reaguje wyłącznie na obecność związków zawierających ten pierwiastek. Profesorowie zwrócili się więc do producenta detektora, którego używało CLKP, który potwierdził, że nie ma w portfolio sprzętu do wykrywania substancji bez azotu. Czy zatem amerykański koncern nie wiedział, co sprzedaje, czy też polscy biegli przedstawili fałszywe wyniki badań?

W zdecydowanej większości przypadków sygnały detektora TEA były charakterystyczne dla heksogenu (RDX), materiału wybuchowego obecnego m.in. w mieszaninie C4. Również analiza chromatogramów sporządzonych w czasie badania metodą ECD (Electron Capture Detector) kazała stwierdzić – inaczej niż chcieli laboranci z CLKP – że aż 150 próbek wskazywało sygnały zgodne z wzorcem RDX. Biegli to jednak zignorowali.

Dodajmy, że wyjątkowo częste wskazania heksogenu dotyczyły wymazów pobranych z poszycia foteli

TU-154M. Tych samych, z których próbek Rosjanie nie pozwolili pobrać w 2012 r., a które wykazywały obecność materiałów wybuchowych w czasie pomiarów ręcznymi detektorami.

Wróćmy jeszcze do założeń metodologicznych. Czy w jakimkolwiek przypadku było możliwe, by wszystkie cztery metody chromatograficzne odkryły materiały wybuchowe? Nie, o czym niżej podpisany dowiedział się od Wojciecha Pawłowskiego i Łukasza Matyjaska, autorów opinii z CLKP.

W listopadzie 2014 r. wystąpili oni z wykładem seminaryjnym na Studium Podyplomowym w Centrum Nauk Biologiczno-Chemicznych Uniwersytetu Warszawskiego dotyczącym analizy śladów materiałów wybuchowych. Pokazali wówczas film z kontrolowanej eksplozji metalowej płytki z podłożoną mieszkanką heksogenu i trotylu. Pobrane w czasie eksperymentu próbki poddano badaniom za pomocą metod GC/TEA i GC/MS. Pierwsza jednoznacznie potwierdziła, z jakimi substancjami mieliśmy do czynienia. Jednak druga metoda dała wynik negatywny! Dowiedziano tym samym, jak bardzo zawodna bywa w takich przypadkach metoda GC/MS. Dlaczego więc prelegenci sami po nią sięgnęli kilkanaście miesięcy wcześniej i od jej wskazań uzależnili ostateczny wniosek o materiałach wybuchowych na wraku tupolewa?

CO WYSŁANO ZA GRANICĘ?

Nic dziwnego, że po zmianie władzy w 2015 r. i przejęciu śledztwa przez Prokuraturę Krajową postanowiono ponownie przebadать próbki w zagranicznych laboratoriach (w brytyjskim Kent, Belfaście oraz w Rzymie). Ale dopiero dziś dowiadujemy się, co dokładnie tam przekazano.

Zwraca nam na to uwagę prof. Sławomir Szymański, który w listopadzie podzielił się swoimi wątpliwościami w piśmie do szefa Zespołu Śledczego nr 1. Prokurator nie odpowiedział na nie (choć wcześniej opinie naukowca były włączane do akt śledztwa i to one

były bezpośrednią przyczyną szukania wsparcia za granicą), a zamiast tego kategoricznie stwierdzał w niedawnej rozmowie z „GW”, że zachodnie laboratoria nic nie wykryły, co ma być kolejnym dowodem na obalenie tezy o wybuchu.

Według prof. Szymańskiego badane ostatnio próbki mogą już nie mieć żadnej wartości dowodowej. Być może nawet nigdy jej nie miały, bo powinno się je pobierać w ciągu godzin lub dni od zdarzenia, a nie po kilkudziesięciu miesiącach. Tych pobieranych z wraku składowanego na płycie smoleńskiego lotniska w ogóle nie należało traktować poważnie, bo przecież szczątki samolotu leżały niczym niezabezpieczone, wystawione na oddziaływanie wiatru, temperatury i opadów przez pół roku, co skutecznie pozbawiło je wszystkich śladów.

Ale kluczowe znaczenie ma tu co innego. Okazuje się bowiem, że próbki z samolotu pobrane w 2012 r. i wymazy z metalowych elementów foteli pobrane w 2013 r. w dużej mierze utraciły wartość informacyjną po badaniach w CLKP.

W policyjnym laboratorium z każdej z próbek sporządzono ekstrakt rozpuszczalnikowy w celu wymycia ewentualnie obecnych na niej pozostałości materiałów wybuchowych. Część ekstraktu wykorzystano do badań przed ponad dekadą, a część pozostawiano do celów ewentualnej weryfikacji wyników. Ale to nie te ekstrakty pojechały do badań w Kent, lecz „obiekty oryginalne”, czyli tampony, na które pobierano wymazy, a które następnie wypłukano w CLKP przed badaniami. Nie sposób więc przykładać większej wagi do tego, jakie stężenia materiałów wybuchowych odnaleziono. W tej sytuacji być może sam fakt odnalezienia „śladowych ilości” należy uznać za argument na rzecz eksplozji.

Jeśli dołożymy do tego wątpliwości dotyczące standardów, w jakich przechowywano próbki po badaniach w CLKP (a według naszych ustaleń oraz doniesień innych mediów nie zapewniono im należytych warunków – pozostawiono po

prostu w podziemnym magazynie laboratorium zamiast w specjalnej chłodni), okaże się, że pełnej odpowiedzi na pytanie, co znajdowało się na szczątkach tupolewa, nie poznamy już nigdy.

„Wyborcza” parokrotnie pisze w formie zarzutu, że przed laty w sensacyjnym tonie podawaliśmy informacje o wykryciu przez zagraniczne laboratoria śladów materiałów wybuchowych. A była to prawda, co potwierdzają ostateczne opinie z tych in-

„Wyborcza” parokrotnie pisze w formie zarzutu, że przed laty w sensacyjnym tonie podawaliśmy informacje o wykryciu przez zagraniczne laboratoria śladów materiałów wybuchowych. A była to prawda, co potwierdzają ostateczne opinie z tych instytucji

stytucji. Jednak wnioski, które w nich zostały zawarte, trudno traktować jako rozstrzygające.

TO JUŻ KONIEC

Dla części z prokuratorów funkcjonowanie w zespole smoleńskim było wymarzoną pracą – na długie lata, wykonywaną bez pośpiechu. Dokumenty krążyły, eksperci byli wielokrotnie proszeni o uzupełnianie swoich opinii, a ich opóźnienia w ogóle nie martwiły śledczych.

„Niektórzy liczą na to, że będą tu mieli spokojną robotę do emerytury” – słyszeliśmy od osób z zespołu. Ale byli i tacy, którzy obawiali się konsekwencji i wielokrotnie powtarzali w rozmowach ze mną i Marcinem Wikłą: „Zobaczcie, panowie, skończy się to tak, że wszyscy

będą mieli czyste ręce poza nami, a nas będzie się ścigać za jakieś wydumane nieprawdopodobności”.

Ta sprawa zawsze była pod olbrzymim ciężarem polityki, którego nie uniosła żadna ekipa prokuratorska. Ani cywilna w czasach pierwszych rządów Donalda Tuska, ani ówczesna wojskowa, ani ta podlegająca później Zbigniewowi Ziobrze. Ta ostatnia przynajmniej uporządkowała bałagan, który pozostawili po sobie wojskowi śledczy i naprawiła część zaniedbań – przeprowadziła ekshumacje i autopsje wszystkich ofiar czy powołała międzynarodowych biegłych.

W szczegółach to wszystko nie wygląda jednak tak różowo. Przede wszystkim trzeba zapytać, dlaczego żadnego smoleńskiego śledztwa nie zakończono aktem oskarżenia. Nawet jeśli galimatias międzynarodowo-proceduralno-pandemiczny wpłynął na znaczne wydłużenie zasadniczego postępowania (a tak było), to tych wymówek nie można zastosować do wielu innych spraw – tzw. zdrady dyplomatycznej (za tę miał odpowiadać Donald Tusk) czy Agencji Wywiadu, która w kuriozalny sposób zareagowała na informacje o rosyjskich świadkach incognito zgłaszających się do strony polskiej z informacjami o zamachu. Polski wywiad wysłał (czy też zgodził się wysłać) dane tej osoby Rosjanom, by... ci ją przesłuchali.

Dlaczego te śledztwa (rzekomo dawno zakończone) nie doczekały się sądowych finałów? Bo za każdym razem obawiano się politycznych konsekwencji ścigania w tej sprawie Tuska i jego ludzi. Tu wina rozkłada się po równo – na śledczych oraz ich politycznych zwierzchników. Lecz co politycznego stało na przeszkodzie, by stawiać zarzuty ludziom z CLKP za skrócenie badań w latach 2012–2013? Tego nie da się wytłumaczyć.

Podobnie jak nie da się już chyba nic nowego ustalić w sprawie śladów materiałów wybuchowych. Pozostajemy z najgorszym rezultatem: brak rozstrzygających wniosków. Kto jest temu winien? Pytajcie Donalda Tuska, który śledztwo smoleńskie pozostawił w rękach rosyjskich.

Ukrainie nie brakuje obrońców

O nastrojach na Ukrainie, rekrutacji do armii, prezydencie Zełenskim i trwającej ponad tysiąc dni wojnie z pułkownikiem ukraińskich sił zbrojnych **Wiktoorem Czaławanem** rozmawia Andrzej Skwarczyński

Kiedy rozmawialiśmy na początku wojny, nastroje były całkiem inne niż obecnie. Ochotników wstępujących do wojska było aż nadto. Obecnie słyszymy o problemach z mobilizacją na Ukrainie. Dochodzą słuchy o porwaniu mężczyzny z samochodów czy ulic do wojska. Tzw. uchylanci ukrywają się w domach, nigdzie nie wychodzą, a władze miast szacują liczbę mieszkańców na podstawie ilości sprzedawanego chleba.

Wiktor Czaławan: To fakt, są problemy z mobilizacją. Obecnie brygady walczące na froncie mają braki sięgają od 35 do 50 proc. żołnierzy, co stanowi istotny problem. Nie możemy ich uzupełniać nowymi ludźmi zaraz po wcieleniu do armii. Rekruci powinni być przeszkoleni, by oddziały nie obniżały swojej wartości bojowej. Warto jednak pamiętać, co zrobił Zełenski przed usunięciem gen. Żałuznego ze stanowiska głównodowodzącego sił zbrojnych Ukrainy – jedną decyzją administracyjną nakazał zwolnić wszystkich szefów terytorialnych centr uzupełnień. Większość z nich była profesjonalistami w swoim fachu, więc po ich odsunięciu mobilizacja się załamała.

Podjęcie tej decyzji było tłumaczone walką z korupcją. Zdarzały się przypadki kupowania zaświadczeń lekarskich pozwalających na uniknięcie służby wojskowej czy wręcz bezpośredniego załatwiania zwolnienia za tysiące dolarów.

Z korupcją walczy się punktowo, a nie w ten sposób, że od razu zwalania się wszystkich. To zaburzyło system. Drugim problemem była ustawa o mobilizacji, nad którą politycy spirali się zbyt długo, przez co weszła w życie kilka miesięcy później niż powinna. Z tych powodów mamy problemy z pozyskiwaniem rekrutów. Na Ukrainie jest wielu zmotywowanych ludzi gotowych wziąć broń do rąk i bronić kraju.



Relacja z Ukrainy

Jednocześnie strony centra uzupełnień są zainteresowane wyłącznie tym, by liczba zmobilizowanych była jak najwyższa. W ten sposób trafiają do nich ludzie nienadający się do służby ze względu na ich kondycję fizyczną czy zdrowie. Jest to szczególnie widoczne w bardziej wymagających brygadach – zmechanizowanych czy desantowo-szturmowych.

Styszałem o przypadkach, w których powołany do wojska lekarz zamiast służyć swoimi umiejętnościami trafia do piechoty i walczy na pierwszej linii jako zwykły strzelec. No i te opowieści o ulicznych porwaniach.

Tak, czasami tak się dzieje. Podczas mobilizacji zdarzają się różne błędy i pomyłki. Jak już mówiłem, ogłoszenie mobilizacji nie znaczy, że na Ukrainie nie ma już komu bronić ojczyzny, bo jest jeszcze wielu potencjalnych obrońców. Obecnie człowiek, który myśli o wojsku, chciałby móc wybrać konkretną jednostkę, w której będzie służył – często są to elitarne brygady, np. 10. zmechanizowana wołyńska czy 80. lwowska desantowo-szturmowa – a także specjalizację. Jeden będzie chciał być zwiadowcą, kolejny obsługiwać karabin maszynowy, a jeszcze inny pilotować drona. Obecnie ludzie często trafiają nie tam, gdzie można by wykorzystać ich umiejętności.

„Busyfikacja”, czyli wciąganie zniecierpliwionych do busów i wciąganie do wojska, musi się skończyć. To nie podnosi wartości bojowej sił zbrojnych i prowadzi do trwonienia naszych ograniczonych zasobów.

Walka zajmuje mniej niż 30 proc. czasu, który żołnierz spędza na froncie. Reszta to bardzo ciężka fizyczna praca w skrajnie niesprzyjających warunkach. Żołnierze muszą zapewnić sobie wyżywienie, zakwaterowanie i bezpieczeństwo. Nie wszyscy wytrzymują bród, chłód, czasami głód i pragnienie. Zbusyfikowany szeregowy zanim trafi na front, czuje się jak niewolnik i nie ma motywacji. Ta metoda jest nieefektywna i trzeba z nią skończyć.

Pokładamy nadzieję w rekrutingu, czyli bardziej otwartym podejściu do przyszłych żołnierzy i ich oczekiwaniach. Przed wstąpieniem do wojska kandydat może wcześniej zapoznać się z konkretną jednostką, porozmawiać z dowódcą, otrzymać na piśmie promesę etatu. Dzięki temu do armii trafiają ludzie bardziej zmotywowani i dający jej więcej. Staramy się wprowadzić rekrutację we wszystkich centrach uzupełnień na Ukrainie, by nie było już sytuacji, w których ochotnicy są demotywowani przez przedłużające się procedury wcielania, niejednokrotnie kończące się przydzieleniem ich gdzie indziej, niż obiecywano im na początku.

Bardzo ważne jest również to, żeby nasza władza, a w szczególności prezydent Zelenski, nie kłamali na temat naszych strat. Ogłoszono, że zginęło 31 tys. żołnierzy, co powtórzył nasz ambasador w Wielkiej Brytanii. By zrozumieć, że straty są znacznie wyższe, wystarczy policzyć flagi na cmentarzach w Kijowie i we Lwowie – na każdym jest po kilkaset lub więcej, a każda z nich to jeden poległy. Chodzi o wiarygodność, bo przez lata wojny Ukraińcy dowiedli, że są gotowi udźwignąć brzemień, ciężar walki o wolność. Chociażby z tego powodu władza nie powinna okłamywać obywateli.

Delikatnie mówiąc, większość Ukraińców nie jest już tak entuzjastyczna wobec prezydenta Zelenskiego. Słyszałem wiele głosów, że gdyby nie wojna, to zostałby on obalony, a nikt sobie nie wyobraża, że mógłby on zostać wybrany na następną kadencję.

Polityczne wybory prezydenta są jego osobistymi decyzjami. To, czy będzie kandydował na drugą kadencję, kiedy zakończy się stan wojny na Ukrainie, zależy od niego. Obecnie Zelenski jest głową państwa i w żaden sposób nie można tego podważać. Zdolność Ukrainy do obrony opiera się również na takich instytucjach państwowych. Trzeba przyznać, że większość jego decyzji politycznych była właściwa, ale zdarzały się również błędy. Takim było zwolnienie z armii 95 pułkowników i generałów po zdymisjonowaniu gen. Zahłuznego. Ci wojskowi walczyli od 2014 r., byli autorytetami, bohaterami Ukrainy. Zwolniono ich bez żadnego powodu.

Spotykałem wielu mężczyzn z protezami rąk czy nóg. Jak wygląda pomoc państwa dla żołnierzy, którzy w wyniku ran nie są już zdolni do służby w wojsku?

Państwo i wolontariusze starają się pomóc każdemu potrzebującemu, w kwestii protez otrzymujemy też znaczące wsparcie z krajów Zachodu. Innym problemem, który będzie

narastał, jest psychologiczne wsparcie dla tysięcy żołnierzy, u których diagnozuje się stres pourazowy. Zostaliśmy zmuszeni do wysyłania w bój ludzi wszelkich profesji, a nie każdy jest w stanie bez uszczerbku na zdrowiu brać na siebie obciążenia psychiczne niespotykane nigdzie poza frontem. Władze są tego świadome i rozwijają system pomocy psychologicznej, przeznaczają na to coraz większe środki.

Niemal w każdym polskim mieście widzimy wielu młodych Ukraińców, którzy tam pracują, niektórzy potem się bawią. W lipcu polskie władze w porozumieniu z ukraińskimi ogłosiły nabór ochotników do legionu ukraińskiego – jednostki wojskowej, która miała być szkolona w Polsce przed aktywnym uczestnictwem w walkach na froncie. Inicjatywa nie wzbudziła jednak takiego zainteresowania, jakie prognozowano. Na Ukrainie słyszałem głosy, że ci uciekinierzy z kraju są zdrajcami i powinni być traktowani na równi z Rosjanami. Co pan o tym sądzi?

Brak gotowości tych ludzi do obrony kraju jest dużym problemem. Oczywiście dobrze by było, gdyby w większym stopniu angażowali się w pomoc Ukrainie. Uważam jednak, że jeżeli wjechali do Polski legalnie, to poza moralnym potępieniem za porzucenie ojczyzny w potrzebie nie mogą ich kategorycznie skreślać.

Jest też druga strona medalu. Na początku wojny spotykałem Ukraińców, którzy rezygnowali z bezpiecznego życia w Polsce i wracali na Ukrainę, by bronić swojego kraju. Bywało tak, że nie dla wszystkich było miejsce w szeregach.

W 2022 r. bardzo dużo ludzi zgłaszało się do wojenkomatów i prosiło o przydziały do armii. W tamtym momencie system uzupełnień nie był gotowy do przyjęcia tak wielkiej liczby ochotników, nie dla wszystkich wystarczyło mundurów i innego wyposażenia. Jednak ci ludzie byli przydzielani do różnych prac pomocniczych czy chociażby informowali o ruchach rosyjskich wojsk, co pomagało naszym siłom zbrojnym w obronie kraju.

Kończy się już trzeci rok wojny, na którą trzeba patrzeć jak na maraton. W tym sensie, że powinniśmy rozsądnie rozkładać wysiłki i szczerze informować ludzi, że to się nie skończy szybko.

Od początku rosyjskiej napaści na Ukrainę Polska wspomagala ją, jak tylko mogła. Od razu ruszyły transporty z pomocą humanitarną, bronią i amunicją. Na froncie walczyło ok. 300 polskich czołgów obsługiwanych przez ukraińskie załogi, podczas gdy inne kraje zastanawiały się, czy w ogóle się angażować. Polskie rodziny z otwartymi ramionami przyjęły miliony uchodźców. Obecnie, kiedy Polska przekazała już właściwie wszystko, co mogła, bez osłabiania swoich zdolności obronnych poniżej niezbędnego poziomu, stosunek prezydenta Zelenskiego do naszego kraju uległ zmianie, a polskie władze często są przez niego pomijane w strategicznych rozmowach. Partnerstwo uległo rozluźnieniu, a u części Polaków pojawiło się swojego rodzaju rozgoryczenie takim obrotem spraw.

To dla mnie trudne pytanie, bo nie jestem politykiem. Jako żołnierze, oficerowie, zwykli ludzie bardzo doceniamy polską pomoc i jesteśmy za nią głęboko wdzięczni. To nie tylko czołgi, lecz także ogromna ilość artylerii. Polska też jako pierwsza przekazała nam myśliwce bojowe. Chciałbym w tym miejscu jeszcze raz podziękować prezydentowi Dudzie i polskiemu narodowi za udzielone wsparcie.

Jaki według pana jest scenariusz zakończenia wojny?

Odpowiedź zna tylko Bóg. Bardzo dużo będzie zależało od nowej administracji prezydenta Trumpa. Obecnie nie mamy wystarczających sił i zasobów, by wyzwolić całe okupowane terytorium Ukrainy łącznie z Krymem. Niestety powrót do granic z 1991 r. [rok uzyskania niepodległości przez Ukrainę – przyp. red.] jest obecnie niemożliwy i będzie musiał być odłożony na później. Prezydent Trump będzie prawdopodobnie naciskał na Putina, by ten zawarł rozejm. Jednocześnie wstrzymanie działań wojennych da czas Rosji na odbudowanie swojej armii oraz uzupełnienie zapasów amunicji i uzbrojenia. W perspektywie kilku lat będzie gotowa do ponownego najazdu na Ukrainę. Nie pokładam nadziei w tym, że Putin zostanie odsunięty od władzy. Nie wierzę też w żaden bunt armii ani tym bardziej rosyjskiego społeczeństwa.

Jak temu zapobiec?

Nie znamy planu prezydenta Trumpa. Być może po zatrzymaniu wojny powstanie linia demarkacyjna na wzór tej pomiędzy Koreami. Przez ponad dwa lata wojny Ukraina dowiodła swojej podmiotowości. Nasze społeczeństwo będzie oczekiwało uwzględnienia woli naszego państwa w rozmowach między USA a Rosją. Znacznie więcej będziemy wiedzieli po 20 stycznia 2025 r., czyli po zmianie władzy w Ameryce.

A do tego czasu?

Wojna będzie się rozwijała według dotychczasowego scenariusza. Rosjanie będą przypuszczać silne ataki na całej długości frontu. Wymusza to na nas bardzo powolne cofanie się, ale cena, którą ponosi agresor, jest ogromna. Według naszych szacunków codziennie ginie ok. 1,3 tys. żołnierzy wroga, czyli więcej niż w 2022 r., a ich sukcesy są bardzo ograniczone. Według jednej z brytyjskich prognoz, jeżeli rosyjska armia zachowa jednostajne tempo zdobyczy terytorialnych, to do Kijowa dotrze nie wcześniej niż w 2152 r. To oczywiście sytuacja czysto teoretyczna, bo ich sprzęt uległby zniszczeniu znacznie wcześniej. Oni ponoszą kolosalne straty, a zachodnie sankcje, co by nie mówiono w Rosji, przynoszą również efekty. Oczywiście i my tracimy ludzi, ale nie są to dla nas liczby krytyczne.

Jak kraje Zachodu mogłyby jeszcze wesprzeć ukraińską armię?

Zgoda na atakowanie celów na całym terytorium Rosji za pomocą rakiet dalekiego zasięgu pozwoliłaby nam walczyć na bardziej wyrównanych warunkach. Obecną sytuację możemy porównać do walki dwóch bokserów, z których jeden

ma przywiązaną rękę do tułowia. Inną formą pomocy, którą wspierające nas kraje mogłyby podjąć bez uszczerbku dla siebie, byłoby strącanie rosyjskich rakiet i dronów nad naszym terytorium.

Dzięki pomocy naszych partnerów możliwości ukraińskiej obrony przeciwlotniczej znacząco wzrosły. Wojska walki radiotechnicznej osiągają znaczące sukcesy. Wiele nadlatujących szachédów udaje się porazić elektronicznie, w skutek czego tracą one orientację i albo zawracają w stronę Białorusi, albo od razu spadają. Drony i skrzydlate rakiety, które się przedrą, staramy się strącać, ale nie zawsze się to udaje i tu przydałoby się wsparcie ze strony Zachodu. Nie jest tak, że sami sobie nie radzimy, bo np. dzięki naszym dronom udało się całkowicie wyłączyć z działań Flotę Czarnomorską, ale dysproporcja sił jest taka, że nie wszystko jest możliwe do osiągnięcia samemu.

Polskie społeczeństwo nie jest entuzjastycznie nastawione do strącania rosyjskich środków napadu powietrznego. Istnieją obawy, że oznaczałoby to przystąpienie Polski do wojny.

Putin wyznaczał wiele czerwonych linii. Przesuwaliśmy wszystkie te granice dalej i przekraczaliśmy je. Jeśli polskie lotnictwo i siły przeciwlotnicze zaczęłyby strącać rosyjskie rakiety i drony nad terytorium Ukrainy, nie oznaczałoby to wypowiedzenia wojny Rosji. Skrzydłata rakietą w ukraińskiej przestrzeni powietrznej stanowi niebezpieczeństwo dla wszystkich naszych sąsiadów. Przykładowo spadające odłamki szachédów w Rumunii czy wybuch ukraińskiej rakiety w Przewodowie, w którym zginęło dwóch mężczyzn, stanowią powody, dla których Polska ma prawo przekroczyć ograniczenia ustalone jeszcze w czasach zimnej wojny. Nie będzie to skutkowało eskalacją, bo ona już nastąpiła.

Putin wielokrotnie straszył, że każdy atak na terytorium Rosji będzie skutkował odpowiedzią nuklearną. Nasze wojska niemal pół roku temu bojem zajęły część terytorium obwodu kurskiego. Putin musiał się z tym pogodzić. Tak samo nie mógłby nic zrobić z decyzją Warszawy o uruchomieniu wsparcia przeciwlotniczego nad terytorium Ukrainy, o co nasze państwo prosi ustami prezydenta Zelenskigo.

A co, jeśli Ukraina zostanie sama na placu boju?

Nasz naród wraz z armią będą bronić niepodległości Ukrainy. Niezależnie od wielkiej polityki, decyzji zapadających na Kremlu, w Białym Domu czy stolicach innych państw, taka jest niezmienna wola narodu ukraińskiego. Jeśli ta wojna zostanie czasowo wstrzymana, nie przestaniemy wzmacniać naszej armii i podnosić zdolności obronnych. Będziemy przygotowywać ludność do obrony nienaruszalności naszych granic i wolności w przyszłej wojnie, którą Rosja na pewno wywoła po ewentualnym tymczasowym rozejmie.

Jeszcze raz dziękuję Polsce i wszystkim Polakom za nieustającą pomoc, której udzielają Ukrainie w tej niczym niezawinioniej przez nas i sprawiedliwej walce przeciwko bezprawnej rosyjskiej agresji. [po polsku] Walczymy za wolność waszą i naszą!



punktów zapalnych, które wpłyną na nasze bezpieczeństwo



MAREK BUDZISZ

Skoncentruję się na tych zagrożeniach, które bezpośrednio dotyczą Polski i Europy, naszego bezpieczeństwa i dobrobytu. Wojna domowa w Sudanie z pewnością będzie trwała, ale jej wpływ na to, co się może dziać na naszym kontynencie (za wyjątkiem kwestii migracji) jest ograniczony. Inne zagrożenia mają bezpośredni charakter.

1 BASEN MORZA BAŁTYCKIEGO

Jak donosi fiński dziennik „Iltalehti” w czasie niedawnego spotkania państw NATO z rejonu Morza Bałtyckiego, które odbyło się w Tallinie, analizowano scenariusze rosyjskiego ataku na północy i wymierzonego w państwa bałtyckie.

Bezpośrednim powodem tych analiz był opublikowany w połowie grudnia przez fińskie ministerstwo obrony coroczny raport na temat bezpieczeństwa, w którym zawarto sformułowanie o narastającym ryzyku rosyjskiego uderzenia. „Wojna na Ukrainie pokazała, że

Rosja jest gotowa podjąć znaczne ryzyko bez względu na straty” – ostrzega rząd w Helsinkach, a wojskowi przedstawili swój punkt widzenia.

Rosjanie mieliby zaatakować wybrzeże Norwegii na dalekiej północy, z okolic Murmańska. Budowany rosyjski 14. Korpus Armijny, który miałby być odpowiedzialny za to uderzenie, będzie wspierany przez wojska powietrzno-desantowe, których zadaniem będzie opanowanie lotnisk w fińskiej Laponii, w tym strategicznie ważnego Ivalo.

To po to, aby zniechęcić Rosjan do rozważania tego rodzaju scenariuszy, w ub.r. NATO zorganizowało największe od lat ćwiczenia wojskowe na dalekiej północy, których celem było szybkie przerzucenie 20 tys. żołnierzy w ten rejon. Fiński wywiad jest przekonany, że Rosjanie mogą chcieć utworzyć strefę buforową w Laponii i norweskim Finnmarku. W ten sposób związałyby siły Sojuszu Północnoatlantyckiego i umożliwili działanie 44. Korpusu Armijnego, którego celem miałby być atak na południe Finlandii, w tym uchwycenie punktów o strategicznym znaczeniu umożliwiających blokadę Zatoki Fińskiej. Uniemożliwiłoby to wsparcie Estonii, która w tym scenariuszu wraz z Łotwą miałaby się stać głównym celem uderzenia. W tym samym czasie rosyjska 6. Armia miałaby zaatakować Litwę

z Białorusi, a siły z obwodu królewieckiego próbować zdobyć szwedzką Gotlandię, której kontrola daje panowanie na Bałtyku.

Fiński dziennik cytuje anonimową opinię jednego z dowódców wojskowych państw NATO, który powiedział, że „w 2017 r. Rosja ćwiczyła atak na Norwegię, Finlandię i kraje bałtyckie w ramach manewrów Zapał. Rosjanie nie porzucili planu inwazji i chcą go zrealizować po wojnie na Ukrainie. Według naszych informacji plan nadal istnieje, a Rosjanie nie zrezygnowali z chęci jego realizacji”.

Ostatnie wydarzenia na Bałtyku, akty sabotażu wobec podwodnej infrastruktury krytycznej, ostrzelanie niemieckiego śmigłowca, który zbliżył się do rosyjskiej korwety, czy intensywna działalność szpiegowska mają być wstępem do poważniejszej akcji, służyć rozpoznaniu teatru przyszłych działań i zbadaniu, na ile można zastraszyć potencjalnych przeciwników. Kwestia rozważana przez ekspertów sprowadza się nie do pytania czy, ale kiedy i w jakich warunkach Kreml może wdrożyć ten scenariusz. Jeśli wojna na Ukrainie się zakończy albo zostanie zamrożona, część zaangażowanego tam rosyjskiego potencjału wojskowego będzie mogła zostać rzucona na inny kierunek. To oznacza, że basen Morza Bałtyckiego może stać się kolejnym punktem zapalnym.

Jakie są potencjalne punkty zapalne, miejsca, które w nadchodzącym roku będą przykuwać uwagę opinii publicznej? Opiszę pięć z nich, choć kandydatów do odegrania tej roli jest znacznie więcej i listę można byłoby z łatwością przekształcić w dekalog, co tylko potwierdza, że już znajdujemy się w czasie wojny systemowej, której przebieg rozpisany na wiele lokalnych „frontów” przesądzi o kształcie globalnego ładu

2 UKRAINA

Wszystko zależy od tego, kiedy i jakimi rozstrzygnięciami zakończy się wojna na Ukrainie. Nie będę pisał o wariantach ewentualnych porozumień, bo do rozpoczęcia rokowań jest jeszcze daleko, tym bardziej że Putin odrzucił niedawno „plan Trumpa”, podtrzymując maksymalistyczne żądania Moskwy. Wojna z pewnością kiedyś się zakończy, niewykluczone, że w tym roku i z naszej perspektywy kluczowym pytaniem jest, w jakiej kondycji będzie Ukraina, gdy ucihną armaty.

Aleksiej Antonowicz kierujący grupą socjologiczną Reiting powiedział w rozmowie z portalem NV, że „istnieje ciche społeczne wsparcie procesu negocjacyjnego. Dlaczego ciche? Bo nikt nie ufa Rosjanom. Bo każdy liczy na decyzję władz, jakakolwiek by ona nie była”. Społeczeństwo jest już zmęczone wojną, ale jak zauważył ukraiński socjolog, po jej zakończeniu „na pewno znacznie się tradycyjna dla Ukrainy debata, że nas zdradzili, że zaniedbaliśmy nasze interesy i gdzie jest nasze zwycięstwo, o które chłopaki walczyli”.

To będzie groźny czas dla Ukrainy, tym bardziej że w świetle obowiązującego prawa po zakończeniu wojny trzeba będzie przeprowadzić wybory prezydenckie i parlamentarne. Kto je wygra? Czy szukanie winnych i rozliczenia za porażkę nie zdominują kam-

panii? Jak wreszcie zdemobilizować niemal milionową rzeszę mężczyzn, z których wielu boryka się z traumą i stresem? Do tego ponurego obrazu trzeba dodać zniszczoną gospodarkę i nadal wysokie bezrobocie, migrację milionów młodych kobiet, które często ułożyły sobie życie za granicą i nie myślą o powrocie do wracających z frontu mężów i partnerów. Jeśli do tego dodamy słabość władzy na Ukrainie, powszechną korupcję i wpływy organizacji kryminalnych, to możemy otrzymać groźną mieszankę. Po wojnie nasz sąsiad może stać się krajem niebędącym w stanie rozwiązać własnych problemów, ze strauumatyzowanym społeczeństwem, w którym wewnętrzne spory rozstrzyga się z bronią w rękę, powszechnie dostępną w związku z wojną. Z państwa, którego prozachodni kurs mógłby stabilizować sytuację na wschodzie i dawać szansę odstraszenia Rosji, Ukraina może się przeistoczyć w źródło problemów przede wszystkim dla sąsiadów, którzy na dodatek będą musieli sobie radzić z agresywną polityką Kremla.

3 BAŁKANY

Nieco dalej, na południu, sytuacja też może się wkrótce zdestabilizować w przyspieszonym tempie. Z końcem roku Ukraina zablokowała tranzyt rosyjskiego gazu ziemnego. Jest to poważny problem dla takich państw Unii

Europejskiej jak Słowacja, ale w przypadku Moldawii, a w szczególności separatystycznego Naddniestrza, można wręcz mówić o katastrofie. Wadim Krasnosielski, nieuznawany w świecie prezydent tej separatystycznej republiki, napisał, że zaczyna się „najgorsza część nowego roku” i trzeba będzie sobie radzić, bo „życie toczy się dalej”.

Problem polega na tym, że władze Naddniestrza nie mają najmniejszego pojęcia, w jaki sposób wyjść z kryzysu. Do tej pory „republika” otrzymywała od Rosjan 5 mln m³ gazu dziennie, a teraz nie dostaje go wcale. Już poinformowano o wstrzymaniu dostaw ciepłej wody i zaprzestaniu ogrzewania mieszkań, a gaz niezbędny po to, aby przygotowywać posiłki, będzie dostarczany, ale tylko tak długo, póki ciśnienie w sieci nie spadnie poniżej poziomu bezpiecznego dla systemu. Problemem jest wszakże to, że energia elektryczna, z której korzysta Naddniestrze, a także Mołdawia, jest produkowana w elektrowni gazowej, a władze informują, że zapasy paliwa wystarczą na maksymalnie 20 dni. Może się zatem okazać, że w Tyraspolu już pod koniec stycznia nie będzie ani prądu, ani ogrzewania.

Mołdawia też ma problemy, bo dwie trzecie potrzebnej jej energii elektrycznej musi kupować na rumuńskiej giełdzie, a gaz ziemny na rynku europejskim. Już w grudniu władze w Kiszyniowie wprowadziły „stan wyjątkowy” w energetyce

i podniosły ceny gazu dla ludności o 28 proc., mimo że wcześniej twierdziły, iż żadnych podwyżek nie będzie.

O ile jednak Mołdawia ma jakieś pole manewru, to Nadniestrze jest bez wyjścia i musi coś zrobić, aby doprowadzić do zmiany sytuacji. Dysponując znacznie większymi siłami zbrojnymi i zapasami sprzętu oraz amunicji pochodzącymi jeszcze z czasów sowieckich, władze w Tyraspolu mogą postawić na wariant siłowy albo zacząć destabilizować sytuację. Kiszyniów nie będzie się temu przyglądał beczynn timer, choćby z tego powodu, że w tym roku odbędą się w Mołdawii arcyważne, decydujące o orientacji kraju wybory parlamentarne, a zorganizowane jesienią prezydenckie udało się wygrać obozowi proeuropejskiemu tylko dzięki głosom Mołdawian mieszkających poza granicami kraju. Sytuacja może się zatem szybko destabilizować, a to niewielkie bałkańskie państwo stać się kolejnym punktem zapalnym.



Zwróćmy wreszcie uwagę na Bliski Wschód i Półwysep Koreański, obszary ważne dla relacji sił i naszego systemu sojuszników.

Izraelowi udało się osłabić budowany latami przez Iran system proxy partnerów będących zagrożeniem dla Tel Awiwu. W Syrii nie rządzi już Asad, a w ostatniej fazie wojny domowej, kiedy jego reżim upadał, izraelskie lotnictwo na wszelki wypadek zbombardowało ponad 600 celów. Znacząco osłabiono Hezbollah, Hamas broni się jeszcze w Gazie, ale nie stanowi już większego zagrożenia. Teraz rząd Netanjahu uderza w jemeńskich Huti, którzy uzbrajani przez Irańczyków i Rosjan atakują Izrael oraz utrudniają ruch statków w Kanale Sueskim.

Republikanie, którzy doszli do władzy w Stanach Zjednoczonych, są zdania, iż z państw tworzących „czworokąt zła” – Chin, Rosji, Korei Północnej i Iranu, to ostatnie jest najsłabszym ogniwem. Trump w czasie swej pierwszej prezydenckiej kadencji był zwolennikiem zaostreżenia kursu wobec Teheranu i zadeklarowanym sojusznikiem Izraela. Teraz będzie zapewne realizował podobną politykę, mówił zresztą o „maksymalnej

presji” na Iran. Biden nie popierał uderzenia w irański program nuklearny, bo obawiał się, że zakłócenia na światowym rynku ropy naftowej zwiększą inflację w Stanach Zjednoczonych i pogrzebią jego szanse wyborcze. Trump znajduje się w komfortowej sytuacji, bo inflacja jest niska, jego obóz polityczny kontroluje Kongres, przez najbliższe dwa lata nie będzie wyborów, a plany związane ze skutecznym wzrostem wydobycia ropy naftowej i gazu ziemnego w Ameryce mogą go wręcz skłaniać do tego, aby dać Izraelowi

Kwestia rozważana przez ekspertów sprowadza się nie do pytania czy, ale kiedy i w jakich warunkach Kreml może wdrożyć scenariusz inwazji na kraje leżące nad Morzem Bałtyckim

zielone światło na ewentualne uderzenie. Tym bardziej że jeśli dojdzie do wzrostu cen węglowodorów i dostawy z Iranu zostaną zakłócone, to będzie można mówić o „premii” dla amerykańskich dostawców, którzy będą chcieli zająć możliwie korzystną pozycję na globalnym rynku.

Nie bez znaczenia jest też to, iż wzrost cen ropy naftowej uderzy w chińską gospodarkę i może skłonić Xi Jinpinga do bardziej kompromisowej polityki. Mike Huckabee nominowany przez Donalda Trumpa na stanowisko ambasadora w Izraelu uchodzi nie tylko za zwolennika twardych rozwiązań, lecz także jest zdeklarowanym sympatykiem Netanjahu i jego polityki. Jak zawsze w takich przypadkach, jeśli w Izraelu będzie dojrzewała myśl o celowości zaatakowania Iranu, w czasie konfliktu mogą się pojawić „czarne łabędzie” i sytuacja się skomplikuje. I tak jest ona złożona, a będzie jeszcze groźniej, bo w przeciwnieństwie do poprzednich dziesięcioleci teraz Waszyngtonowi znacznie bardziej zależeć na destabilizowaniu sytuacji i zakłóceniu dostaw bliskowschodnich wę-

glowodorów do takich państw jak Chiny, w oczach ekipy Trumpa będących głównym rywalem geostrategicznym.

5 KOREA PÓLNOČNA

Wreszcie ostatnim punktem na mapie światowych konfliktów, na który chciałbym zwrócić uwagę, jest Półwysep Koreański.

Kim Dzong Un realizuje coraz agresywniejszą politykę, której przejawem jest choćby fakt, że cztery z sześciu próbnych wybuchów jądrowych, które przeprowadził północnokoreański reżim, miało miejsce za jego rządów. Zaangażowanie Koreańczyków z Północy w wojnę na Ukrainie po rosyjskiej stronie da Pjongjangowi nieosiągalne dotychczas technologie zarówno kosmiczne, jak i rakietowe, ale przede wszystkim związane ze zdolnościami do budowy okrętów podwodnych.

Relacja sił na półwyspie może się zmienić na niekorzyść Seulu, który pogrąży się w kryzysie politycznym. Nieudany zamach stanu i impeachment prezydenta Yoon Suk-yeola nie uspokoiły sytuacji, czego dowodem jest rozpoczęcie podobnego postępowania, tym razem skierowanego przeciw jego następcy, tymczasowo pełniącemu obowiązki głowy państwa Han Duck-soo.

Kryzys polityczny na południu i głębokie podziały mogą osłabić reżim Kimów do podjęcia znacznie bardziej agresywnych działań. Na linii rozgraniczenia coraz częściej mogą się zdarzać incydenty zbrojne, a to, nie mówiąc o wojnie, postawi Waszyngton przed dylematem: wzmacniać kontyngent wojskowy w Korei Południowej czy utrzymywać amerykańskie siły w Europie?

Jest to dla nas tym bardziej groźny scenariusz, że w przeciwieństwie do ewentualnej wojny o Tajwan, o której tyle się mówi, konflikt zbrojny na Półwyspie Koreańskim będzie wymagał zaangażowania znacznych sił lądowych, którymi dziś Amerykanie nie dysponują. Waszyngton stanie wówczas przed wyborem, od którego może zależeć nasze bezpieczeństwo i siła odstraszania Rosji. Na Kremlu nie będą czekać i w efekcie mogą podjąć decyzję o rozpoczęciu działań, o których wojskowi z państw mających dostęp do Bałtyku debatowali ostatnio w Tallinie.



Rupert Murdoch z synami
James'em (z prawej)
i Lachlan'em

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Bitwa o sukcesję

Rupert Murdoch przez dziesięciolecia budował swoje konserwatywne imperium medialne.

*Ale teraz, gdy zbliża się koniec jego życia, w jego rodzinie pojawił się poważny rozłam
i zrodziły pytania o to, jakie dziedzictwo pozostawi po sobie*

Miliony widzów z zapartym tchem śledziło perypetie rodziny Royów kontrolującej globalną korporację medialną Waystar Royco w serialu fabularnym HBO „Sukcesja”. Jego twórca Jesse Armstrong zawsze podkreślał, że Royowie są fikcyjni, ale trudno nie dostrzec podobieństw do losów całkiem prawdziwej medialnej dynastii: rodziny właściciela Fox News Ruperta Murdocha. Tym bardziej że Murdoch sądowo zakazał swojej byłej żonie Jerry Hall doradzać Armstrongowi przy tworzeniu serialowych postaci.

Miliarder w podeszłym wieku. Brudna walka o schedę po nim między rywalizującym ze sobą rodzeństwem. A w tle spór o politykę. Tak można podsumować batalię o imperium medialne Murdocha. Oczywiście uporządkowanie spadku po 93-letnim patriarsze nie mogło być łatwe – ma on sześćdziesiąt dzieci i był pięciokrotnie żonaty, ostatnio z emerytowaną biolog molekularną Eleną Żukową. Według magazynu „Forbes” Murdoch jest warty ponad 22 mld dol. To niebagatelna suma, której podział sam w sobie może podsycać spór. Ale tu chodzi o coś więcej. O konserwatywny profil Fox News i resztę mediów, które miliarder nabył w ciągu ostatnich dekad.

Ten, kto widzi tu analogię do polskiego sporu o Polsat między Zygmuntem Solorzem a jego dziećmi czy przyszyły los TVN, zapewne się nie myli.

Z SYDNEY DO NOWEGO JORKU

Murdoch pochodzi z Australii. W 1952 r. po studiach na Oksfordzie odziedziczył firmę wydawniczą zmarłego ojca Keitha, czyli wiele upadających dzienników w Adelajdzie i Sydney. Postawił je na nogi, kupił kolejne gazety w Nowej Zelandii i odważnie przekształcił je w imperium prasowe.

Po przybyciu do Wielkiej Brytanii w latach 60. XX w. stworzył nowoczesny tabloid – mieszkankę obyczajowych sensacji, oburzenia moralnego i polityki. Najpierw przejął „News of the World”, a po nim „The Sun”. W międzyczasie do jego portfolio trafił jeszcze „The Times”.

Zaledwie dekadę później ruszył na podbój amerykańskiego rynku, zostając w 1985 r. obywatelem USA. W Ameryce nabył m.in. gazetę „New York Post”

i wszedł w biznes telewizyjny, przełamując uścisk trzech głównych stacji – CBS, NBC i ABC. Założony w 1996 r. kanał Fox News rozwścieczył liberalistów i od tego czasu stale zwiększa zyski. Od 2018 r. stacja jest najchętniej oglądaną siecią kablową w Ameryce. Po drodze Murdoch nabył wytwórnię filmową XX Century Fox, którą w 2019 r. częściowo odsprzedał Disneyowi. W 2007 r. spełnił swoje, jak twierdził „wieloletnie marzenie”, wydając 5 mld dol. na zakup Dow Jones & Company, dzięki czemu wszedł w posiadanie wydawanego przez tę firmę „The Wall Street Journal”. Wykorzystał wówczas wewnętrzne spory w rodzinie właścicieli Bancroftów, którzy byli zagrożeni w swojej własnej wersji „Sukcesji”.

Dziś jego News Corp oraz 21st Century Fox, która powstała na bazie tego, co nie zostało sprzedane Disneyowi (tzw. New Fox), zatrudniają ponad 53 tys. osób i są obecne na rynku południowoamerykańskim i azjatyckim. Można by rzec, że to imponująca historia sukcesu. Ale były też cienie.

MURDOCHDÄMMERUNG

W 2006 r. wybuchł skandal, gdy okazało się, że tabloid Murdocha „News of the World”, znany z publikacji sensacyjnych doniesień ze świata celebrytów, pozyskiwał informacje, włamując się do telefonów komórkowych tych ostatnich, a także rodzin ofiar głośnych morderstw, polityków, a nawet rodziny królewskiej. W konsekwencji syn Murdocha James zrezygnował z funkcji prezesa wykonawczego News Corp, a bojkot reklamodawców doprowadził do zamknięcia gazety 10 lipca 2011 r. – po 168 latach obecności na rynku.

Murdoch zarzekał się wówczas, że to bez znaczenia, że „News of the World” to zaledwie 1 proc. jego działalności. Ale media takie jak „The Economist” zaczęły wieszczyc jego upadek, nazywając go „jednym z ostatnich oligarchów” i wzywając go, by oddał swoje imperium komuś bardziej kompetentnemu. On jednak postanowił zachować kontrolę nad firmą. Fox News okazało się zresztą niesłychanie skutecznym narzędziem.

W październiku 2024 r. stacja ogłosiła, że przez 91 kwartałów z rzędu była najczęściej oglądanym kablowym kana-



łem informacyjnym. Posiadała wówczas już 70 proc. rynku newsów kablowych, co stanowi największy udział w jej historii. Jak to ujął fikcyjny patriarcha Logan Roy w „Sukcesji”: „Ludzie przychodzą do nas, bo nie sprzedajemy im żadnych cholernych krwawiących serc, Narodów Zjednoczonych, volvo i zmian płci”. Tyle że relacja prawdziwego Murdocha z jego synem, 51-letnim Jamesem, po aferze podsłuchowej znacznie się pogorszyła. Rodzina uciżyła skandal, wypłacając ofiarom wysokie odszkodowania. Jednak James coraz częściej wyrażał niezadowolone z linii politycznej mediów należących do ojca. Zaczął angażować się w technologiczne start-upy, wszedł nawet do rady nadzorczej Tesli, a także rozpoczął inwestycje w Indiach.

POLITYKA, GŁUPCZE!

W 2020 r. James opuścił zarząd News Corp. On i jego żona Kathryn wydali już wcześniej oświadczenia, w których krytykowali m.in. „zaprzeczanie zmianom klimatycznym” w australijskich podmiotach News Corp i potępili „kłamstwa niektórych mediów” na temat Joe Bidena i demokratów. Nie wymienili Fox News z nazwy, ale i tak wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ponadto w trakcie ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej za oceanem James Murdoch poparł Kamalę Harris, także finansowo. Nieraz wyrażał „wstyd” z powodu „promowania” przez Fox News Donalda Trumpa, choć w okresie prawyborów Murdoch ewidentnie stawiał na republikańskiego gubernatora Florydy Rona DeSantis.

James od dawna usiłował nakłonić swoje dwie starsze siostry – 66-letnią



Murdoch jest wart ponad 22 mld dol. To niebagatelna suma, której podział może podsycać rodzinny spór. Ale tu chodzi o coś więcej. O konserwatywny profil Fox News i reszty jego mediów

Prudence z pierwszego małżeństwa Murdocha z Patricią Booker i 56-letnią Elisabeth z drugiego małżeństwa miliardera z Anną Marią dePeyster – do tego, by gdy ojciec umrze, wspólnie zmienić „polityczne ukierunkowanie” rodzinnych mediów na bardziej liberalne. Obie siostry także mocno angażują się na rzecz ochrony klimatu.

Spór między Jamesem a jego ojcem stał się tak poważny, że obecnie nie utrzymują ze sobą kontaktów. Jak twierdzi „The Independent”, Elisabeth długo próbowała pośredniczyć między bratem a ojcem, bojąc się, że Rupert „umrze wściekły na nią, na nich wszystkich”, ale porzuciła te wysiłki, gdy okazało się, że Murdoch chce powierzyć schedę jej drugiemu bratu, 53-letniemu Lachlanowi. Po przejściu na emeryturę w ub.r. mianował Lachlana, który był już dyrektorem generalnym Fox Corporation, właściciela Fox New, na swojego jedyne go spadkobiercę w News Corp. Była to niemiła niespodzianka dla Elisabeth, która uważa, że starała się być dobrą córką i jednocześnie coraz bardziej skłóconą rodzinę.

Podobnie jak ojciec Lachlan ma konserwatywne poglądy i wraz z nim stał się przedmiotem procesu wytoczonego Fox News przez dwie firmy, które dostarczają w USA sprzęt i technologie do głosowania – Dominion i Smartmatic. Ta ostatnia

przekonywała w pozwie, że prawnicy byłego i przyszłego prezydenta wymyślili historię, w której firma została antybohaterem, a Fox News dołączył do spisku, by ją zdyskredytować. Smartmatic twierdziło też, że „wymyślona” historia o manipulowaniu wyniku wyborów doprowadziła do ataku na Kapitol w styczniu 2021 r. W skutek procesu Fox musiał zapłacić obu firmom setki milionów dolarów odszkodowania, a popularny prezenter Tucker Carlson musiał opuścić stację.

GORZKA BATALIA

Na tym tle Elisabeth, Prudence i James uważają, że Lachlan szkodzi rodzinnej korporacji, wystawiają na ryzyko strat i nie chcą zgodzić się na to, by nią kierował.

W zeszłym miesiącu spór oschedę trafił do sądu. Murdoch próbował bowiem zmienić warunki funkcjonowania funduszu powierniczego rodziny, który powstał w czasie jego rozvodu z drugą żoną w 1999 r. Jest on narzędnikiem, za pośrednictwem którego kontroluje on News Corp i Fox News, posiadając ok. 40 proc. udziałów z prawem głosu w każdej spółce. Po jego śmierci udziały zostałyby przekazane czwórce jego najstarszych dzieci – Prudence, Elisabeth, Lachlanowi i Jamesowi. Potencjalnie trójka spadkobierców mogłaby przegłosować czwartego, rozpoczynając bitwę o przyszłość firm, czego patriarcha chce uniknąć.

Poprawka zaproponowana przez seniora rodu ustawiłaby Lachlana w roli głównego spadkobiercy i zarządzającego News Corp. Rupert i Lachlan mieli nazwać swój plan „projekt harmonia”. Podczas posiedzenia funduszu powierniczego w listopadzie 2024 r. Rupert Murdoch miał powiedzieć, że „kocham swoje dzieci”, ale „firmy potrzebują wyraźnego lidera, a Lachlan nim jest”.

Jak donosi „Los Angeles Times”, sam zainteresowany wysyłał także SMS do rodzeństwa, zapewniając brata i siostry o swojej „miłości”. „Tu chodzi o tatę i o to, czego on chce. To nie powinno być ani kontrowersyjne, ani trudne” – miał napisać Lachlan. Dla jego rodzeństwa było jednak bardziej niż kontrowersyjne.

Według Elisabeth ojciec i brat „podjęli perfidną próbę wycięcia nas z funduszu powierniczego”. Edmund J. Gorman jr., sędzia sądu w Reno w Nowadzie, gdzie trafiła sprawa, zgodził się z nimi. Według niego „Lachlan Murdoch wraz z ojcem i swoimi poplecznikami działał w złej wierze”. Jest to pierwsza dotkliwa porażka Murdocha w tym sporze. Planuje on złożyć apelację, ale jest wątpliwe, że odniesie ona sukces.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

Tymczasem jego relacja z dziećmi jeszcze się pogorszyła. Według „Financial Times” Jamesa, Elisabeth i Prudence szczególnie boli fakt, że decyzja ojca złamała umowę z ich matką. „Anna mogła w chwili rozvodu wziąć połowę jego pieniędzy, ale stwierdziła, że zamiast tego woli, by powstał fundusz powierniczy, który będzie chronił czwórkę ich dzieci” – powiedziała gazecie jedna z osób bliskich walczącemu rodzeństwu. „Jest tam dużo złości. To nie jest szczęśliwa rodzina” – dodała.

Porzucenie kwestii przyszłości News Corp, a przede wszystkim stacji Fox News. Spekuluje się, że Murdoch może sprzedać swoje aktywa, aby uniknąć przekazania kontroli nad nimi dzieciom. Oczywiście przede wszystkim udziały w Fox News. Może on także próbować wykupić dzieci, ale jest mało prawdopodobne, by zgodziły się na takie rozwiązanie. Rozmowy na ten temat miały się już toczyć, ale kwoty, których zażądali potomkowie, miały być dla niego „zbyt wygórowane”.

Jeśli mediacja i droga sądowa nie przyniosą efektów, a procesy apelacyjne mogą trwać latami – jest to czas, którego Rupert nie ma – medialne imperium Murdochów, jedno z ostatnich takich rodzinnych imperiów, czeka chaos. Jak pisze „Financial Times”, sępy już ustawiają się w kolejce. Mathias Döpfner z koncernu Axel Springer zasygnalizował zainteresowanie zakupem „The Wall Street Journal”. Koncernowi grożą też poważne straty. Fox News odnosi sukces, bo jest prawicowe. Zmiana linii uczyniłaby stację niekonkurencyjną, wręcz zbędną wobec ogromnego lewicowo-liberalnego konglomeratu medialnego w USA.



Dobry człowiek na czele imperium

*Z polskiej perspektywy prezydentura
zmarłego 29 grudnia 2024 r.
Jimmy'ego Cartera to lata o prawdziwie
dziejowym znaczeniu*



JAN ROKITA

Kiedyś (już wiele lat temu) w czasie jakiejś niezbyt interesującej politycznej konferencji w stolicy Litwy wyszedłem ze Zbigniewem Brzezińskim na długi spacer po Wilnie, jeszcze nieodbudowanym po czasach sowieckich. Brzeziński nie znał tego miasta i zaproponował, bym go trochę oprowadził. W trakcie spacerowej pogawędki zagadnąłem byłego już wtedy doradcę prezydenta Jimmy'ego Cartera o jego ówczesnego szefa, z którym przez cztery lata pracował przecież dzień w dzień. Pamiętam, że twarz Brzezińskiego rozjaśniła się w uśmiechu, po czym powiedział: „Wie pan, to jest naprawdę bardzo dobry człowiek”.

Zapamiętałem tę charakterystykę, bo wydała mi się ona wówczas dziwna jako synteza osobowości przywódcy globalnego mocarstwa, i to w kluczowym, finałowym okresie zwycięskiej dla Ameryki (jak się wkrótce miało okazać) konfrontacji z sowieckim „imperium zła”. Wiele lat później zacząłem jednak doceniać zalety „dobrego człowieka” jako przywódcy politycznego. I stąd pewnie moja obecna sympatia do politycznej postaci Jimmy'ego Cartera.

Myślę, że symbolicznym momentem dla całej czteroletniej prezydentury Cartera (lata 1978-1981) jest sławetna mowa do narodu wygłoszona przezeń 15 lipca 1979 r., czyli mniej więcej w połowie kadencji. Podobno miała być poświęcona wytłumaczeniu Amerykanom kłopotów z tzw. drugim kryzysem energetycznym, który wybuchł na skutek islamskiej rewolucji w Iranie i gwałtownego zawirowania na rynku naftowym. Do dziś wszyscy, którzy uważają prezydenturę Cartera za jakieś nieporozumienie w dziejach USA, przypominają – skądinąd prawdziwe – obrazki długich kolejek

wielkich aut przed amerykańskimi stacjami benzynowymi i „szalejącą” (jak na warunki amerykańskiej gospodarki) inflację, sięgającą w trzecim roku rządów Cartera aż 15 proc.

Ale Carter, który nie był charyzmatycznym mówcą, w pewnej chwili odszedł od przygotowanego tekstu i zaczął mówić do swoich rodaków szczerze i z serca o tym, co jego zdaniem było prawdziwą chorobą Ameryki. W dzisiejszych realiach taki eksces nie mógłby się przydarzyć żadnemu demokratycznemu przywódcy, o ile ów nie chciałby zostać uznany za wariata.

Prezydent powiedział wtedy, że mimo swoich starań czuje, iż to on jest winien fatalnej kondycji Stanów Zjednoczonych, tyle tylko, że jest to także wina wspólna wszystkim Amerykanom. „W przeszłości byliśmy narodem dumnym ze swej ciężkiej pracy, silnych rodzin, zżytych społeczności i mocnej wiary w Boga” – mówił Carter. „Dziś jednak zbyt wielu spośród nas ma skłonność do samouwielbienia i kultu konsumpcji [...]”. A ostatnie lata pokazały nam, że gromadzenie dóbr materialnych nie może wypełnić pustki życia, które zostało pozbawione pewności siebie i poczucia celu”. Po czym zabrzmiała pointa w formie retorycznego pytania kierowanego do każdego Amerykanina: „Widzisz paraliż, stagnację i dryf? Ci się to nie podoba?”. I sam z rozbrajającą szczerością odpowiadał: „Mnie też!”.

BOSY „HOT”

W 2020 r., a więc cztery lata przed śmiercią Cartera, wydano jego biografię autorstwa dobrego dziennikarza Jonathana Altera pt. „His Very Best. Jimmy Carter, a life”. Alter zdołał jeszcze przeprowadzić długie rozmowy ze starym Carterem i członkami jego rodziny. Z tej książki można dowiedzieć się, gdzie tkwią korzenie tej przedziwnej jak na przywódcę imperium osobowości.

Carter wychował się na farmie w równinnej południowo-zachodniej Georgii koło miasteczka Plains

w rygorystycznej rodzinie baptystów, w której panowała silna ojcowska dyscyplina, mocne zasady religii i wielka oszczędność. Np. od marca do października chodził do szkoły boso, bo zdzieranie butów latem bez potrzeby było źle widziane przez oszczędnego ojca. Od dziecka pracował na farmie, pomagając licznej murzyńskiej służbie, bo to przecież południe Ameryki. Zresztą białych w ogóle tam nie było poza rodziną i jednym odległym sąsiadem. „Hot” (tak nazywał go ojciec) zajmował się więc świniami, krowami, kurczakami, a jak podrośł, także ba-

Tym, co bardziej zdumiewające, jest fakt, iż taki – zdawałoby się – naiwny przywódca wpłynął nie tylko na losy narodów okupowanych przez Sowiety, lecz także dokonał w polityce światowej innej rzeczy o wymiarze herkulesowym

wielką i orzeszkami ziemnymi (jako dorosły miał zostać ich plantatorem). Najbardziej nie lubił orki, co łatwo sobie wyobrazić; twarda czerwona glina pod ostrym słońcem Georgii – to musiała być nieprzyjemna robota.

Jedna opowieść dotycząca tamtego czasu jest warta przywołania. W domu były oczywiście kary fizyczne, a chłopcy podlegali ojcowskiej karze chłosty wykonywanej brzoskwinową witką. Blisko 100-letni Carter pamięta dokładnie, że pierwszy raz odebrał taką karę, gdy miał pięć lat, za to, że ukradł 2 pensy z tacy w kościele baptystów. Jego komentarz do tej historii mógłby budzić wrażenie próżności czy fałszu, gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego polityka. Ale Jimmy Carter jest szczery i wiarygodny, gdy

mówi Alterowi z uśmiechem: „To były ostatnie pieniądze, jakie kiedykolwiek ukradłem”.

W połowie lat 70. XX w. USA były krajem wstrząsanym ciągłymi aferami. Od wielkiej korupcji w Kongresie, gdzie sprzedawano ustawy za pieniądze (późniejsze śledztwo w sprawie ABSCAM), aż po niewyobrażalne dla zwykłych Amerykanów machinacje i przestępstwa służb specjalnych (ujawniane w tzw. Komisji Churcha). Ale na Cartera nigdy nie padł nawet cień jakichkolwiek podejrzeń. Podśluchy, łapówki, kochanki,

intrzygi, malwersacje – to był świat kompletnie mu obcy, choć zarazem tak typowy dla amerykańskiej polityki. I pewnie dlatego Carter nie był w stanie skutecznie zapanować nad tym wszystkim.

PRAWA CZŁOWIEKA I POLSKA

Gdy się to wszystko wie, łatwo pojąć, skąd za Cartera w amerykańskiej polityce wzięły się prawa człowieka, które miały odegrać tak istotną rolę w najnowszej historii Polski. A z polskiej perspektywy jego prezydentura to lata o prawdziwie dziejowym znaczeniu. Właśnie po raz pierwszy, po strajkach 1976 r. w Radomiu i Ursusie, w Polsce ukształtowała się

jawna opozycja antykomunistyczna, a pod koniec pierwszego roku rządów Cartera na papieża wybrano Karola Wojtyłę. Rozpoczęła się (jak dziś już wiemy) wyjątkowa era poufnej, by nie rzec – tajnej współpracy Białego Domu i Watykanu w sprawach polityki wschodniej, w czym kluczową rolę odegrał Amerykanin i Polak Zbigniew Brzezinski, jeden z kluczowych członków rządu Cartera.

Co więcej, wszystko działo się tuż po tzw. konferencji helsińskiej, na której Sowietci, nie rozumiejąc skutków swojej zgody, przystali na wpisanie praw człowieka do katalogu kluczowych zasad mających obowiązywać w nowej politycznej erze nazwanej epoką odprężenia. Więc polscy i nie tylko polscy antykomuniści dostali po

raz pierwszy uznawane przez świat narzędzie do piętnowania sowieckiego zniewolenia i represji, także na arenie międzynarodowej.

Wszystko to zaczynało się układać w podwaliny wolnościowego cudu, jaki już wkrótce, w sierpniu 1980 r., miał się wydarzyć w Polsce. Cudu, do którego oddany i prostolinijny baptysta z Białego Domu wraz ze swym doradcą ds. bezpieczeństwa dołożyli swoją niebłahą cegiełkę.

CAMP DAVID I 600 RAKIET

Tym, co bardziej zdumiewające, jest fakt, iż taki – zdawałoby się – naiwny przywódca wpłynął nie tylko na losy narodów okupowanych przez Sowietów, lecz także dokonał w światowej polityce innej rzeczy o wymiarze herkulesowym. Udało mu się bowiem wywrócić do góry nogami całą geopolitykę Bliskiego Wschodu, wyluskując najważniejsze i najsilniejsze militarne państwo arabskie z antyżydowskiego frontu i trwale wcielając je do grona lojalnych sojuszników Ameryki.

Traktat z Camp David z marca 1979 r., którego zawarcie było osobistym efektem talentów perswazyjnych Cartera, podpisali dwaj ludzie, którzy na zdrowy rozum nigdy nie mieli prawa tego zrobić: niegdyśjszy przywódca żydowskich terrorystów z Hagany Begin oraz komunizujący egipski oficer rewolucjonista Sadat. I od tamtego czasu wszystkie wysiłki Ameryki w ciągu ostatniego półwiecza próbują pójść dalej tym Carterowskim tropem, tyle tylko (jak widać choćby po fiasku starań dotyczących Arabii Saudyjskiej w czasach Trumpa i Bidena), że powtórzenie niezwykłego dzieła Cartera na Bliskim Wschodzie graniczy z niemożliwością.

Często przeocza się też fakt, iż to Carter podjął pierwszą kluczową decyzję oznaczającą powrót do odstraszenia Sowietów w Europie i rozpoczynającą na nowo wyścig zbrojeń, którego osłabiony ekonomicznie Związek Sowiecki miał nie wytrzymać.

Podczas szczytu na Gwadelupie w styczniu 1979 r. główni sojusznicy USA dali się przekonać, iż do równowagi militarnej niezbędna jest

dyslokacja w Europie niemal 600 nowoczesnych rakiet średniego zasięgu (tzw. podwójna decyzja NATO). A to dało asumpt do największej w historii fali antyamerykańskich manifestacji i rozruchów, w których zwłaszcza w Niemczech wzięły udział miliony ludzi. Ów charakterologicznie miękki i często wykazujący niezdecydowanie przywódca o mentalności raczej protestanckiego pastora niżli przywódcy mocarstwa uruchomił proces, którego twardym kontynuatorem stał się po wyborach 1980 r. jego prawicowy następca Ronald Reagan. Tyle tylko, że Reagan potrafił zrobić coś, co przekraczało polityczne zdolności Cartera: nadać polityce amerykańskiej pewność siebie i rozmach. A to oznaczało, że na Kremlu znów na serio uwierzono, iż w obronie Zachodu przywódca USA jest zdolny posłużyć się każdą bronią, także nuklearną. Podczas gdy dręczony moralnymi wątpliwościami baptysta w Białym Domu musiał wywoływać niejakie lekceważenie u wrogów Ameryki.

Na ocenę Cartera wpłynęły też skumulowane efekty zlej polityki prowadzonej przez USA w latach 70. Populistyczna polityka gospodarcza próbująca przeciwdziałać wielkiemu kryzysowi poprzez kontrolę płac i cen przyniosła dziwaczny ekonomicznie efekt „stagflacji”, czyli do inflacji dodała efekt stagnacji wzrostu. W tym samym czasie Ameryka zaczęła zbierać plony ideologicznej przebudowy systemu sprawiedliwości – masową przestępczość, korupcję policji, seryjne morderstwa i upadek miast, w których powstały murzyńskie dzielnice grozy. Carter nie był przywódcą potrafiącym walczyć z takimi plagami, a prawicowa wizja „law & order”, z natury rzeczy oparta na twardym prawie, ostrych sankcjach i brutalnej policji stała w sprzeczności z jego religijną wizją świata. Z biografii Altera jasno zresztą wynika, iż z pełnego rygorów domu rodzinnego Carter wyniósł uraz do wszelkich bardziej drastycznych metod wymuszania porządku.

Jego pech polegał jeszcze na tym, że gdy w kwietniu 1980 r. zdecydował się w końcu na odbicie siłą amerykańskich zakładników w Teheranie, akcja

komandosów z jednostki Delta Plus zakończyła się kompromitującym fiaskiem. Amerykanie jeszcze raz przypomnieli sobie niezwykle orędzie prezydenta z poprzedniego roku, gdy Carter z niebywałą otwartością dzielił się z nimi swoim poczuciem zepsucia Ameryki i niemożności poradzenia sobie z „paraliżem, stagnacją i dryfem”. Niestety lud zwykły pogardzał przywódcami, którzy mają czelność otwarcie mówić mu o jego zepsuciu, a na domiar złego w kaznodziejskim tonie nawoływać do moralnego i religijnego odrodzenia jako warunku naprawy polityki i państwa. Trudno się zatem dziwić, że pełen optymizmu i wiary w Amerykę Ronald Reagan odniósł w 1980 r. przygniatające zwycięstwo nad rozdartym i stropionym Carterem. Republikanin zdobył w wyborach 44 stany, demokrata ledwie 6.

POKOJOWY NOBEL

Przez następnych 40 lat Carter na emeryturze wyspecjalizował się w politycznych mediacjach w różnych częściach świata, co przyniosło mu nawet w 2002 r. Pokojową Nagrodę Nobla. Ale stworzona przezeń fundacja The Carter Center zrobiła rzeczy naprawdę istotne na innym całkiem, niepolitycznym polu.

W 1986 r. Carter rozpoczął walkę z jedną z najbardziej odrażających i niszczących mieszkańców Afryki chorób – pasożytem niciania gwinejskiego. Długie życie byłego prezydenta i nieustępliwość wysiłków jego fundacji sprawiły, że w ciągu czterech dekad nicianie został *de facto* wyeliminowany. W 1986 r., gdy Carter zaczynał swoją akcję, nicianie gwinejskie niszczył życie ok. 3,5 mln ludzi, w 2023 r. odnotowano zaledwie 14 przypadków zachorowań. Co ciekawe, eliminacja pasożyta nastąpiła bez wynalezienia szczepionki albo leku o charakterze panaceum, lecz poprzez propagowanie i masowe wprowadzanie standardów higieny. Kto wie, czy w długim życiu Jimmy'ego Cartera zniszczenie niciania gwinejskiego nie jest wyczynem równym pamiętnemu traktatowi z Camp David?

Trump kupuje świat

Już za chwilę, za chwileczkę, a najpóźniej do 20 stycznia 2029 r., czyli dnia, w którym Donald Trump przestanie być prezydentem, powierzchnia Stanów Zjednoczonych będzie liczyła 22 mln km². Pod tym względem USA będą największym krajem świata. O 4,9 mln km² większym niż Rosja. Tak przynajmniej roi sobie, czy też marzy, wielu Amerykanów. A wszystko przez to, że Trump zapowiedział, że Stany Zjednoczone kupią liczącą prawie 2,2 mln km² największą wyspę świata – Grenlandię i zaproponował Kanadzie, by została 51. stanem USA



DARIUSZ MATUSZAK

Wszystko to sprawy śmieszne, a nawet bardzo poważne, a już zwłaszcza kupno Grenlandii czy przejęcie kontroli nad Kanałem Panamskim, co na powyborczym wiecu w Arizonie obwieścił Trump.

ZACZEŁO SIĘ OD LUIZJANY

Handlowe podejście w budowaniu państwa jest dla Ameryki czymś zwyczajnym, a i sam Trump jako przedsiębiorca z branży nieruchomości kupno kawałka kraju traktuje jak nabycie działki czy placu. Trzeba pamiętać, że Stany Zjednoczone kupiły mniej więcej połowę swojej powierzchni. Najpierw była to Luizjana, którą za prezydentury Thomasa Jeffersona w 1803 r. sprzedała im wojująca z całą Europą Francja. To terytorium liczyło 2,14 mln km² i obejmowało nie tylko dzi-

siejszy stan Luizjana, lecz także ogromne terytoria na zachód od Missisipi – od Zatok Meksykańskiej po Montanę. Stany Zjednoczone kupiły wtedy Arkansas, Oklahomę, Missouri, Nebraskę, Kansas, Iowa, Dakotę Południową oraz porządne kawałki Teksasu, Nowego Meksyku, Kolorado, Wyoming, Montany, Minnesoty i Dakoty Północnej. 16 lat później Hiszpania sprzedała im kolejną działkę – liczącą 170 tys. km² Florydę.

W 1848 r. Ameryka dokupiła resztę Teksasu, Kolorado i Wyoming oraz całą Kalifornię, Nowadę, Utah, większość Arizony i Nowego Meksyku. Jednak trudno to uznać za klasyczną transakcję na rynku nieruchomości, bo sprzedający, czyli Meksyk, dostał co prawda 15 mln dol., ale po przegranej wojnie z USA miał rewolwer przystawiony do skroni. Za to resztki Arizony i Nowego Meksyku sprzedał w 1853 r. po dobroci.

Do kolejnej wielkiej transakcji doszło 14 lat później – wyńczona wojną krymską Rosja sprzedała USA Alaskę. Wyobrażają sobie państwo, jak współcześni mieszkańcy tych terenów błogosławią dzień podpisania umowy kupna (30 marca 1867 r.) oraz dziękują Bogu i amerykańskiemu negocjatorowi (polskiemu gen. Włodzimierzowi Krzyżanowskiemu), że nie żyją w błocie i odchodach Rosji? Za działkę o powierzchni 1,58 mln km², prawie tyle, ile ma stan

Alaska, Ameryka zapłaciła po 2 centy za akr, razem 7,2 mln dol., a na dzisiejsze – marne 150 mln dol.

APETYT NA GRENLANDIĘ

Kolejna transakcja pokazuje, jak dobry interes z Roskami zrobili Amerykanie. W 1917 r. za nędzne 350 km² zapłacili 25 mln dol., na dzisiejsze ok. 500 mln dol. Nieruchomość nazywała się Wyspy Dziewicze, a sprzedawała ją Dania. I to do niej zwraca się właśnie Donald Trump, by teraz sprzedała Ameryce Grenlandię. Pomysły, by ją kupić, pojawiły się już wtedy, gdy finalizowano sprawę Alaski. Negocjacje były bardzo zaawansowane, ale w końcu Ameryka doszła do wniosku, że nie potrzebuje kolejnych milionów kilometrów śniegu i lodu, więc do transakcji nie doszło. W 1910 r. był plan zamiany (jak mieszkań) Grenlandii za filipińskie wyspy Mindanao i Palawan, by Dania oddała je Niemcom w zamian za południową Jutlandię. W 1946 r., za prezydentury Harry'ego Trumana, USA znów były bliskie przejęcia Grenlandii. Już wtedy stacjonowały na niej amerykańskie wojska, które zapobiegły zajęciu wyspy przez Niemcy w czasie II wojny światowej.

Kiedy w 2019 r. Donald Trump powrócił do kwestii kupna Grenlandii, duńscy politycy zareagowali z oburzeniem, a niektórzy uznali propozycję jako ostateczny dowód na to, że zwariował. Premier Danii Mette Frederiksen oświadczyła, że Grenlandia „nie jest na sprzedaż i nie jest duńska, tylko należy do jej mieszkańców”. Była to prawdziwa i bardzo głupia wypowiedź. Skoro Grenlandia nie jest duńska, to Dania nie ma nic do gadania w sprawie tego, czy wyspa jest na sprzedaż, czy też nie. Jej status pozostaje taki, że jest podmiotem *sui generis* zawieszonym pomiędzy terytorium autonomicznym a suwerennym państwem. Rządzi nią teraz zdecydowanie niepodległościowa partia Inuit Ataqatigiit – Wspólnota Ludu.

Nie wdajemy się w rozważania o grenlandzkiej konstytucji i wzajemnych umowach, ale stan jest taki, że Grenlandia nie należy nawet do Unii, w 1985 r. wypisała się z EWG i nie zamierza do niej wrócić, a jeśli zechce jednostronnie ogłosić niepodległość, to Dania nie może z tym nic zrobić.

Wyspa jest jeszcze w jakimś stopniu częścią Królestwa Danii tylko dlatego, że daje się przekupić i dostaje z Kopenhagi ok. 700 mln euro rocznie, co stanowi mniej więcej jedną trzecią jej PKB. Pieniądze mogą więc wiele zmienić, a Ameryka ma ich znacznie więcej niż Dania.

Można powiedzieć, że propozycja Trumpa była wobec Danii wręcz wspałałomyślna. Może przecież kupić Grenlandię od Grenlandii. Leci na nią, spotyka się z premierem Múte'em Egede'em, który w 2021 r. zyskał w wyborach 3,3 tys. głosów i odniósł miażdżące zwycięstwo nad swym głównym rywalem Kimem Kielsenem z partii Siumut, i mówi mu: „Dzień dobry, jestem Trump i mam propozycję nie do

Można powiedzieć, że propozycja Trumpa była wobec Danii wręcz wspałałomyślna. Przecież może kupić Grenlandię od Grenlandii, bez oglądania się na Kopenhagę

odrzucenia. Zorganizujcie referendum w sprawie niepodległości i sprzedania się Ameryce, a ja zapłacę 1 mln dol. każdemu, kto zagłosuje za”. Kładzie na stole walizkę i oznajmia, że jest w niej 20 mld dol. Tyle, co na waciki, ale wystarczy. Potrzebuje 20 tys. głosów, bo Grenlandia liczy 56 tys. mieszkańców. A jak będzie miał gest, to dorzuci 36 mld dol. i każdy na wyspie będzie milionerem – nawet staruszek Eskimos alkoholik i nowo narodzone dziecko. Unia Europejska z Danią pokrzyzcza, co najwyżej obraża się na chwilę i tyle.

Samo zwierchnictwo Danii nad Grenlandią nie jest niepodważalne i zostało uznane przez wspólnotę międzynarodową ledwie 90 lat temu. Owszem, wikingowie mieszkali na niej w czasach globalnego ocieplenia, co opisali w swych sagach, ale ok. XV w. z powodu ochłodzenia ich osady zniknęły całkowicie. Później na południowych wybrzeżach wyspy pojawili się Norwegowie i Duńczycy i sprzeczekali się o władztwo nad Grenlandią, a po

wyprawie na jej północ na początku XX w. amerykański polarnik Robert Peary odkrył, że rzeczywiście jest wyspą i oznajmił, że właściwie należy do niego.

Po co jednak Ameryce 2,2 mln km² lodu, śniegu, rybne pęcherze i obgryzione szkielety wielorybów? Powody są trzy i wszystkie się łączą ze sobą. Chodzi o bezpieczeństwo, transport i jak zwykle Chiny, które ogłosiły się krajem antarktycznym. Na wyspie odkryto złoża gazu, ropy, diamentów, złota, uranu, żelaza i pierwiastków ziem rzadkich. Grenlandia nie ma ani kadr, ani technologii, by je wydobywać, więc w 2013 r. parlament podjął uchwałę, że za pieniądze może umożliwić ich eksploatację innym państwom, w tym przypadkiem Państwu Środka. Grenlandczycy nawet nie zapytali Kopenhagi, czy im wolno.

Gardłowa jest zwłaszcza kwestia uranu oraz metali ziem rzadkich – litu, wolframu czy kobaltu. Chiny kontrolują aż 60 proc. światowych zasobów tych surowców. Podniósł się ogromny szum – na Grenlandię latała amerykańska sekretarz stanu Hillary Clinton, unijny komisarz Antonio Tajani, który chciał przebić ofertę Chińczyków. W końcu do chińskich inwestycji nie doszło. W 2021 r. parlament zakazał wydobycia uranu, choć w Kuannersuit na

południu jest piąte co do wielkości złożo na świecie, ale Grenlandia wciąż straszy Kopenhagę, że sprzeda się Państwu Środka i żąda coraz więcej pieniędzy.

Druga fundamentalna sprawa to szlaki komunikacyjne i łańcuchy dostaw. Z Europy na Pacyfik – na zachodnie wybrzeże USA, do Japonii, Chin, Korei jest bliżej przez Arktykę niż Kanał Panamski czy Sueski. Żegluga odbywała by się wzdłuż Grenlandii i ktoś, byle nie Chińczycy, musi zbudować całą infrastrukturę, by to umożliwić. Choćby porty dla lodolamaczy.

CHIŃSKI KANAŁ AMERYKAŃSKI

Tu dochodzimy do kolejnego miejsca, na które swe pożądlive oko skierował Donald Trump, czyli do Kanału Panamskiego, który po 10 latach budowy, kosztem życia 6 tys. robotników w 1914 r. Amerykanie otworzyli dla świata. Skraca on żeglugę ze wschodniego wybrzeża USA na zachodnie aż o 12 tys. km.



Kanał Panamski

Wszystko było pięknie, statki spokojnie pływały przez amerykański kanał w Panamie, aż tu w ramach walki z imperializmem czy czym tam w 1977 r. prezydent Jimmy Carter sprzedał go Panamie za dolara z terminem wprowadzenia się na koniec 1999 r. Dokładnie wtedy po drugiej stronie Pacyfiku Chiny przejmowały Hongkong. Co ma Hongkong do Panamy? Ano wszystko – gdzie się Amerykanie nie obejrzą, tam Chińczycy. Co roku przez Kanał Panamski przepływa 10–12 tys. statków, z czego ponad 70 proc. to transport amerykański. Razem to ok 0,5 mld to wartości ok. 300 mld dol. Z tego 70 proc. to towary amerykańskie. Tymczasem niemal większość portów na kanale, mostów i tras nad nim i wokół, wejście i wyjście z obu stron (Pacyfiku i Atlantyku), kontrolują właśnie Chińczycy. Głównie poprzez firmy z Hongkongu. Amerykanom właściwie została umowa ochroniarza.

To Chiny, znów przez Hongkong, przymierzają się też do budowy alternatywnych szlaków – kanału przez Nikaragwę, kolei przez Honduras, a nawet Kolumbię. W 2007 r. Panama na rozkaz Chin zerwała stosunki dyplomatyczne z Tajwanem. Nie dość, że USA nie mają nic do powiedzenia w sprawie Kanału Panamskiego, to większość amerykańskich towarów transportują Chińczycy. Z floty 2 tys. statków handlowych Amerykanom zostało ledwie 80. Mają za to marynarkę wojenną, ale w razie otwartego konfliktu z Chinami Pekin ją zablokuje i sprawi,

że amerykańskie okręty będą płynąć z Atlantyku na Pacyfik przez przylądek Horn. Rejs jak carskiej floty pod dowództwem adm. Zinowija Rożestwenskigo w 1904–1905 r. z Morza Bałtyckiego na Morze Japońskie i ostatecznie na dno pod Cuszimą.

Jak Ameryka przejmie kontrolę nad Kanałem Panamskim? Może go kupi, a może tak jak w 1989 r., gdy przejęła kontrolę nad Panama City i swoim byłym agentem prezydentem Manuelem Noriega, który przerzucił się na handel narkotykami. 20 grudnia kraj najechało ponad 50 tys. żołnierzy. Nazywało się to operacją Just Cause – Słuszną Sprawą. Nikaraguańscy szybko złożyli broń, a Noriega najpierw schował się u kochanki, a potem w nuncjaturze papieskiej. Wykurzono go z niej 3 stycznia za pomocą piekielnej muzyki – Noriedze i watykańskim duchownym dzień i noc puszczano na pełny regulator zespół Van Halen. Amerykanie może by mu darowali handel narkotykami, ale nie sprzedawanie Kubie tajemnic amerykańskiego wywiadu i armii, do których miał szeroki dostęp jako ich główny poplecznik w Ameryce Środkowej. Noriega m.in. pomagał walczyć z komunistycznym reżimem Nikaragui, ale zdradził i zaczął kolaborację z Kubą, a tak naprawdę z Rosjanami.

Dzisiaj w Ameryce Środkowej Rosję zastąpiły Chiny, które nie dość, że kontrolują drugi najważniejszy szlak wodny na ziemi, to jeszcze przez Amerykę Środkową zalewają USA fentanylem, który może być le-

kiem, ale jest też zabójczym narkotykiem 100 razy silniejszym niż morfina.

MAGIA CHAOSU

Dla nielegalnych imigrantów, przemytu broni, narkotyków i ludzi południowy szlak jest oczywisty, ale w czasie prezydentury Joe Bidena zaczęła się też otwierać brama na północy, czyli granica z Kanadą. W liczbach bezwzględnych nie jest to jeszcze dużo, ale w ciągu czterech lat liczba ujawnionych nielegalnych przekroczeń wzrosła 30 razy i w 2024 r. sięgnęła 25 tys. To wygląda na kolejną wzbierającą falę, więc Donald Trump zagroził, że jeśli premier Kanady Justin Trudeau nie zrobi u siebie porządku, to wprowadzi 25-proc. cła na kanadyjskie towary. Ten zareagował jak zwykle, czyli jak łzawy pluszaczek, i oświadczył, że to doprowadzi kanadyjską gospodarkę do katastrofy. Trump negocjuje w swoim stylu. Najpierw publicznie skopał Trudeau, a jak ten zaczął błagać o litość i posłał swych ministrów, ten przestrzelił mu kolana, oświadczając, że w takim razie Kanada powinna zostać 51. stanem USA. W swej łaskawości prezydent elekt oznajmił, że Trudeau mógłby nawet zostać gubernatorem, ale zmienił zdanie i zaproponował, by tekę premiera przejściowo objął najwybitniejszy hokeista w historii – Wayne Gretzky, którego dziadek w 1917 r. przybył z Polski do Kanady.

Zanim mądrale oraz eksperci z gazet i telewizora zaczną szyderczo rechotać z szaleństw Trumpa, niech sobie wspomną własne lotne pomysły, by np. Rumunię, Bułgarię, Danię, Finlandię, a także Polskę i Niemcy oraz inne unijne kraje skleić w jedno państwo. Szybkiej dogadają się czerwony kark z Oklahomy z wieśniakiem z Manitoby niż bułgarski pastuch ze szwedzkim tęczowym wojownikiem. Przyłączenie Kanady do USA już popiera 13 proc. jej mieszkańców i właśnie rozpoczęła się dyskusja o tym, jak zacieśnić relacje.

Takie są pierwsze efekty akcji Trumpa – Wielkiego Maga Chaosu. Ledwie parę zdań na wiecu, a Dania już zwiększa wydatki na obronę, a chińskie MSZ śle protesty i słowa solidarności z dzielnym narodem znad Kanału Panamskiego. A Trump nawet jeszcze nie jest prezydentem. Po 20 stycznia na Amazonie można się spodziewać wielkiej wyprzedaży państw. 

W tym roku mija 80. rocznica zakończenia II wojny światowej, po której powstał projekt integracji europejskiej. To dobry moment, aby zastanowić się nad kondycją Unii Europejskiej, czyli nad tym, czy jej obecny stan odpowiada oczekiwaniom obywateli. Bo to dla nich, a nie dla elit skażonych modnymi ideologiami stworzono projekt zjednoczenia Europy



JAN PARYS

Nas, mieszkańców Europy, a zwłaszcza tych, którzy mieszkają między Odrą a Bugiem, interesuje także stan świadomości niemieckiej elity. Polska jest sąsiadem Niemiec, czyli największej gospodarki europejskiej. Nasze życie ekonomiczne zależy od jej stanu bardziej niż innych państw członkowskich UE. To, jakie pomysły na Unię ma urząd kanclerski w Berlinie, nie jest nam obojętne. Niemcy posiadają zbyt duży wpływ na sytuację w Europie, by ktokolwiek mógł lekceważyć to, co się u nich dzieje.

W końcu lutego 2025 r. w Niemczech odbędą się przyspieszone wybory parlamentarne. Prawie na pewno wkrótce potem urząd kanclerza obejmie przywódca CDU Friedrich Merz. Mamy prawo interesować się jego pomysłami na Europę. A to, jak sądzę, zależy od tego, jak widzi on stan Unii Europejskiej oraz jej pozycję w świecie. Ponieważ nie jestem pewien, czy urzędnicy w Berlinie dostarczają kanclerzowi rzetelnych informacji na ten temat, spróbuję przypomnieć parę najważniejszych faktów, by nakreślić sytuację Unii bez retuszu politycznej poprawności.

Proponuję zatem, by Friedrich Merz zanim obejmie fotel kanclerza, zastano-

Friedrich Merz i Europa

wił się nad tym, w jakim stanie znajduje się Unia, przez wiele lat poddawana wpływom niemieckich polityków. Żeby zwrócił uwagę, jaki jest dorobek rządów kanclerzy Merkel i Scholza dotyczący UE. Politycy w Berlinie muszą pamiętać o tym, że nie żyją w próżni i jeżeli chcą prowadzić skuteczną politykę, to powinni się liczyć z otoczeniem zewnętrznym, czyli z opiniami innych państw członkowskich.

DIAGNOZA

Z polskiego punktu widzenia sytuacja wygląda następująco. W ostatnich latach CDU i SPD doprowadziły Unię Europejską do sytuacji, którą, delikatnie mówiąc, można nazwać kryzysową. To nie żadna złośliwość pod adresem polityków z Berlina. Jest niezaprzeczalnym faktem, że w ostatnich latach decyzje w Brukseli

często były dyktowane przez niemieckich polityków. I dlatego to właśnie oni ponoszą odpowiedzialność za to, że UE pod względem potencjału gospodarczego i osiągnięć technologicznych została w tyle za USA i Chinami, co uodowodnił Mario Draghi w swym raporcie.

Na polu bezpieczeństwa kraje Unii Europejskiej także nie osiągają sukcesów. Wobec rosyjskiej potęgi nasz potencjał militarny jest zbyt mały, by samodzielnie, bez wsparcia USA, obronić Ukrainę, a co dopiero Europę. Ogromne koszty polityki klimatycznej powodują, że w krajach Unii

brakuje środków na sfinansowanie realnych potrzeb, np. by podnieść wydatki na zbrojenia.

Polityka otwartych drzwi wobec migrantów ekonomicznych doprowadziła do naruszenia poczucia bezpieczeństwa publicznego w wielu krajach.

Polityka resetu w relacjach z Rosją okazała się błędem. Ułatwiła ona Moskwie intensywne zbrojenia i skłoniła władze na Kremlu do prowadzenia polityki terytorialnego rewizjonizmu.

Nie jest tajemnicą, że od wielu lat Rosja prowadzi wobec Zachodu politykę konfrontacji. Jediną racjonalną odpowiedzią w tej sytuacji jest wzrost nakładów na zbrojenia. Dziś kraje Unii skarżą się, że nie mają środków, by zwiększać nakłady na obronę. Moim zdaniem nie jest to prawda – środki są. Trzeba tylko ograniczyć wydatki na programy ideologiczne, takie jak polityka klimatyczna czy polityka migracyjna. Po zredukowaniu ich kosztów bez problemu będzie można podnieść budżety wojskowe do 3 proc. PKB w każdym kraju europejskim.

W dziedzinie energetyki, która jest fundamentem produkcji przemysłowej, państwa Unii najpierw uzależniono od dostaw surowców energetycznych z Rosji, a następnie narzucono takie cele klimatyczne, która *de facto* oznaczają wyprowadzanie przemysłu z Europy.

W kwestiach migracji realizowano politykę otwartych drzwi, której podstawą było świadome pomylenie

uchodźców wojennych z migrantami ekonomicznymi. Zablokowano obronę granic zewnętrznych Unii. W rezultacie doszło do napływu wielu milionów migrantów, którzy nie pracują i nie asymilują się, tworząc natomiast bardzo wiele problemów społecznych. To z kolei w nieuchronny sposób skutkuje



Dziś Unia Europejska pod kierunkiem Ursuli von der Leyen przypomina starą damę wystrojoną w brylanty, która nie rozumie swej sytuacji i wobec tego nie ma żadnych perspektyw

narastaniem głębokiego niezadowolenia wśród mieszkańców Europy. Skutki takiej polityki otwartych drzwi trudno oceniać pozytywnie, trzeba jednak widzieć jej przyczyny.

Zamiast chronić swoje granice i pomagać migrantom w miejscu ich zamieszkania, Unia Europejska wybrała rozwiązanie pozornie humanitarne, które jest jednak szkodliwe dla jej dotychczasowych mieszkańców. Jednocześnie UE nie może spełnić oczekiwań migrantów, bo oni najczęściej zamierzają żyć w swoich gettach na koszt państw ich przyjmujących. Nie mają zamiaru ani pracować, ani dostosować się do panującego w Unii prawa i obyczajów.

Przyczyną wzrostu popularności Frontu Narodowego we Francji i AfD w Niemczech jest błędna polityka UE.

CZAS NA ZMIANY

Wszystkie te krytyczne uwagi nie oznaczają, że proponuję poexit czy demonstację Unii Europejskiej. Moje stanowisko można streścić krótko: Unia tak, ale wypaczenia, do których dochodzi w Brukseli, nie.

Z przedstawionych powyżej uwag krytycznych wynika, że polityka UE wymaga gruntownej przebudowy. Dziś bowiem pod kierunkiem Ursuli von der Leyen przypomina ona starą damę wystrojoną w brylanty, która nie rozumie swej sytuacji i wobec tego

nie ma żadnych perspektyw. Trudno uwierzyć, że pod przewodnictwem obecnej szefowej Komisji Europejskiej w UE dojdzie do realnej zmiany polityki. Z zapowiedzi von der Leyen wynika, że jej plan to większe tempo federalizacji Unii, dzięki czemu będziemy szybciej dochodzić do kolejnych kryzysów. Zresztą, jak mówi stare przysłowie, trudno oczekiwać, by ktoś, kto zepsuł zegarek, chciał i potrafił go naprawić. Unia potrzebuje nowej polityki, a przy obecnym kierownictwie nie dojdzie do jej zmiany.

Nie należy czekać na kolejne kryzysy Unii Europejskiej. Nie może być tak, że dopiero kolejna afra korupcyjna lub załamanie gospodarcze umożliwi zmiany personalne. Unia już dziś potrzebuje nowego, pragmatycznego kierownictwa, które odwróci dotychczasową bardzo zideologizowaną politykę, ale przede wszystkim zrezygnuje z dążeń do centralizacji procesu decyzyjnego. Obecnie UE traci bowiem swą pozycję w świecie, bo jest zaniechana scentralizowana. Komisja Europejska zbyt często zabiera kompetencje państwom członkowskim, zwłaszcza w sprawach gospodarczych. Bo to gospodarki poszczególnych państw są ograniczane przez setki dyrektyw i narzucanie norm sprzecznych z zasadami wolnego rynku.

Jeśli Friedrich Merz chce ratować Unię Europejską, czeka go wiele pracy.



Tak żyła Warszawa w 1945 r.

Pierwsze lata po II wojnie światowej to dla warszawiaków czas nie tylko niezwykle trudny, lecz także radosny. Wreszcie mogli wrócić do swojego miasta. Ale witały ich groby bliskich i bezkresne gruzowisko, bo Niemcy nie oszczędzali niczego. Zdani często wyłącznie na siebie musieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości. I dali radę



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Po kataklizmie II wojny światowej stolica Polski właściwie przestała istnieć. Zniszczono ok. 85 proc. zabudowy lewobrzeżnej Warszawy, a ilość gruzu szacowano na 20 mln m³. Najbardziej ucierpiały Stare Miasto i Muranów, które zostały zniszczone prawie w 100 proc. Na Starówce przetrwał tylko jeden nadający się do zamieszkania dom przy ul. Długiej, a teren dawnego getta był dosłownie zrównany z ziemią.

MIASTO RUIN

„Jadę wśród do cna wypalonych domów. Piękna. Wilcza. U wylotu bocznic zwały gruzów na parę metrów. Dalej perspektywy ruin, ruin, ruin. Na środku jezdni zwał gruzów. Wymijamy go łukiem. Przyjaciele-warszawianie! Zrozumcie! Nie ma nic. Nie ma nic. Nie ma tu Waszej matki, nie ma żadnego dozorczy. Tu jest cmentarzysko. Tu jest śmierć. To nie Marszałkowska, Wspólna, Nowogrodzka. To jest najstraszniejszy sen” – pisała o Warszawie na początku 1945 r. Janina Broniewska.

W katastrofalnym stanie były także Powiśle, Czerniaków, Wola i Ochota. Oprócz Pragi nieco lepiej zachowane budynki można było znaleźć na Żoliborzu i Mokotowie. Tam wyzierały ostańce, jak w okolicach Al. Ujazdowskich, które prze-

trwały dzięki temu, że były tzw. dzielnicą niemiecką. Miasta przypominało archipelag rozproszonych i słabo skomunikowanych ze sobą wysp. Większość ulic była w tak tragicznym stanie, że przejście przez nie przypominało wyprawę przez skalne urwiska. Warszawa była jednym wielkim grobowcem. Zniszczone podwórka i place zmieniły się w prowizoryczne cmentarze. Przez długi czas ekshumacje i konduktu pogrzebowe były codziennym elementem pejzażu powojennej stolicy.

Kilkuletnia zagłada miasta odbiła się także na faunie i florze. Poznikały nawet wróble i gołębie. Zadomowiły się za to wijące gniazda w piętrzących się rumowiskach kawków, pustulki i sokoły. Drzewa w zasadzie nie przetrwały kolejnych pożarów i spłonęły wraz z pobliskimi budynkami. Prawdziwą plagą stały się szczury.

TRUDNE POWROTY

W styczniu 1945 r. do Warszawy zaczęli wracać jej mieszkańcy. Pierwsze tygodnie i miesiące spędzali na ogół w ruinach bez prądu i bieżącej wody. Mimo to już w marcu w mieście mieszkało ok. 200 tys. ludzi. Warto odnotować, że w pierwszych miesiącach aż 66 proc. ludności stolicy stanowiły kobiety. Między 1946 a 1947 r. liczba mieszkańców Warszawy wynosiła ok. 500 tys. Stolica wróciła do przedwojennego stanu dopiero w 1970 r. Ludzie przyjeżdżali nie tylko do zniszczonych, lecz także ograbionych domów. I nie tylko przez Niemców. Pozostawione na długi czas majątki były łakomym kąskiem dla szabrowników, którzy kontynuowali swój złodziejski proceder mimo powrotu ludzi do miasta.

A inne problemy? Jednym z głównych niebezpieczeństw w tamtym czasie były pozostawione przez Niemców materiały wybuchowe – aż 45 t niewypalów, bomb lotniczych lub min. Pod śniegiem cały czas czaiła się śmierć. Zanim ludzie mogli bezpiecznie wrócić do ruin swoich domów, musiały być one rozbrojone przez saperów. Do dzisiaj na elewacjach niektórych zabytkowych już budynków zachowały się napisy „Dom rozminowany, min nie ma”, niektóre w języku rosyjskim.

Jedynym obszarem dawnej Warszawy, który na początku 1945 r. przypominał miasto, była położona na prawym brzegu Wisły Praga. Zamieszkiwała ją 100 tys. ludzi, czyli dwukrotnie mniej niż przed wojną. Na przełomie 1944 i 1945 r. zaczęła się tam instalować nowa komunistyczna administracja. W dawnej siedzibie Dyrekcji Kolejowej przy ul. Targowej rozlokowała się komunistyczna Krajowa Rada Narodowa. W listopadzie 1945 r. przed budynkiem ustawiono zresztą pierwszy powojenny pomnik – Braterstwa Broni, znany jako Czterech Śpiących.

Okoлицę szybko obsadziły inne instytucje kontrolowane przez nową władzę. Tymczasowy ratusz mieścił się w szkole przy ul. Otwockiej, a piwnice wielu polskich kamienic zmieniły się w katownię i więzienia NKWD lub UB. Mimo to Praga dla wielu była schronieniem i źródłem nadziei, że Warszawę da się odbudować.

„BOŻE ODBUDUJ STOLICĘ”

Dzięki solidnej żelbetonowej konstrukcji duże szanse na przetrwanie pożogi miały

modernistyczne budynki z lat 30. Jednym z nich była kamienica przy ul. Chocimskiej 33. Był to pierwszy wyremontowany po wojnie gmach lewobrzeżnej Warszawy. Od lutego 1945 r. mieściła się tam siedziba Biura Odbudowy Stolicy, które zajęło się zabezpieczaniem i inwentaryzowaniem ocalałej zabudowy. Szybko zaczęto życzeniowo rozszyfrowywać skrót BOS jako „Boże Odbuduj Stolicę”.

Tak atmosferę panującą w Biurze wspominał Stanisław Jankowski: „Ludzie pracujący w BOS to najszczęśliwsi warszawiacy tamtych lat. Zaczęli zgłaszać się na ulicę Chocimską 33 już na początku lutego 1945 r. Dostawali bochenek chleba, talerz gorącej zupy, talon na buty i możliwość projektowania najśmielszych marzeń »urbanistyki odbudowy«. [...] W pierwszym okresie pracy najważniejsze były dwa zadania: rysowanie podkładów pod plany i inwentaryzacja zniszczeń miasta. Podział pracy był prosty. Ci, którzy nie mieli jeszcze butów, rysowali podkłady, ci, którzy już buty mieli, robili inwentaryzację zniszczeń w terenie”.

Poza wpływem na odbudowę ukochanego miasta pracownicy biura mogli liczyć na realne przywileje. W połowie 1945 r. dostawali zakwaterowanie w pierwszych powojennych osiedlach, czyli w domkach fińskich, które powstały na Polu Mokotowskim przy ul. Szwoleżerów oraz na Jazdowie, gdzie zresztą stoją do dziś.

Równolegle do centralnych działań BOS mieszkańcy ruszyli do porządkowania i odbudowywania miasta na własną rękę. Jeśli decydowali się na powrót do Warszawy, przez długi czas musieli się godzić na życie w bardzo trudnych warunkach.

Tadeusz Lipszyc, który zajmował się usuwaniem wypalonych murów przedwojennych zabudowań w Spółdzielczym Przedsiębiorstwie Budowlanym, wspominał: „Znałem ludzi, którzy mieszkali na drugim piętrze, tylko klatki schodowej nie było – ale to drobiazg... Z kawałków desek pozbijali drabiny i zamieszkali tam z dziećmi. Parter był zrujnowany, a na górze było mieszkanie w jako takim stanie, wystarczyło tylko zamurować jedną ścianę zewnętrzną, bo inaczej, kto by się za daleko wychylił, to by spadł dwa piętra niżej. Musieli tu i ówdzie oszklificić ściany pozalepiać i tak mieszkali dwa lata”.

Bywały też warunki całkiem przyzwoite, chociaż z pewnymi mankamentami. Irena Rudowska zapamiętała jeden taki

lokal przy ul. Wilczej: „Najsmutniejszym miejscem w tym mieszkaniu była łazienka. Miała uszkodzony dach i były wielkie trudności z naprawieniem tych szkód. Najgorsze były momenty, kiedy padał deszcz i trzeba było z tej łazienki skorzystać. Największa dziura była nad miejscem, gdzie każdy z nas chce zawsze być sam i wtenczas trzeba było siedzieć w tym miejscu pod wielkim parasolem”.

ŻYCIE, CZYLI HANDEL

Maria Dąbrowska w opowiadaniu pt. „Pielgrzymka do Warszawy” napisanym po przyjeździe do stolicy w lutym 1945 r. wspominała: „Stoję długo ze łzami w oczach, myśli mam pogruchotane jak miasto, serce mam zmiażdżone. [...] Mijam jakiś dom, częściowo tylko nadpalony. Przed nim zatknęta w kupę gruzu i śniegu, na kiju osadzona kartka papieru z napisem: »Tu wydaje się gorąca zupa, kawę, zakąski«. Wewnątrz głośno kręca się ludzie [...]. Uśmiecham się. Nie, nie ma śmierci dla warszawiaków”.

Wraz z powrotem ludzi do stolicy zaczęły powstawać także lokale usługowe, a centrum Śródmieścia szybko stało się wielkim targowiskiem. Handel kwitł na Marszałkowskiej, Poznańskiej, Próżnej, Zielnej, Polnej, pl. Trzech Krzyży czy



w Al. Jerozolimskich. Wszędzie było sły-
chać donośne nawoływania handlarzy:
„Zapaly staniały”, „Złoto kupuję, dolary
sprzedaję”, „Papierosy, papierosy! Egip-
skie, węgierskie, swojaki”.

Punkty handlowe i lokale gastrono-
miczne często powstawały w naprawdę
zaskakujących miejscach. Jeden z nich,
oferujący ciepłą zupę, mieścił się na rogu
Marszałkowskiej i Skorupki w... wywró-
conym tramwaju. Pomysłowość ludzi
nie знаła granic. Pod koniec 1945 r. tylko
przy ul. Marszałkowskiej działało już
ok. 600 sklepów. Niektóre usługi świetnie
radziły sobie bez odpowiedniego lokalu,
co opisywał pełen podziwu Stanisław
Wiechecki: „Chcesz pan, dajmy na to,
manikure czy pedikure sobie zrobić, nie
potrzebujesz pan po sklepach się rozgła-
dać, budka na środku ulicy się znajduje,
w której tak panu ręce i nogi podszykują,
że najbliższa rodzina pana nie pozna”.

Zaczęło się także odradzać hotelarstwo.
Pierwszym przybytkiem z tej branży,
który wznowił działalność w 1945 r., był
uznawany za jeden z najbardziej repre-
zentacyjnych obiektów stolicy hotel Po-
lonia. Personel, wcześniej wywieziony
do obozu przejściowego w Pruszkowie,
wrócił do stolicy i zabezpieczył budynek,
dzięki czemu przetrwał on w stosunkowo
dobrym stanie. Przez kilka lat mieścili się
tam placówki dyplomatyczne, kwatero-
wali zagraniczni korespondenci, odby-
wały się huczne rauty. W zatłoczonym
hallu przesiadywali handlarze walutą,
bezrobotni muzycy szukający angażu do
orkiestr dancinowych i prostytutki nazy-
wane „polonistkami”. Oczywiście było też
pełno funkcjonariuszy bezpieki.



„TRAJLUSIE” I „PIĘTRUSIE”

W powojennych relacjach jednym z naj-
częściej pojawiających się wątków są dłu-
gie, pieszne wędrówki. Aby zdobyć wodę,
jedzenie, informacje czy załatwić formal-
ności w urzędzie, trzeba było pokonywać
duże dystanse w często niebezpiecznych
okolicach. Preludium do częstych marszów
miało miejsce już podczas drogi powrot-
nej do miasta. Pociągi dojeżdżały jedynie
do Dworca Zachodniego lub ul. Szczęś-
liwickiej na Ochocie. Od strony Pragi na
lewy brzeg Wisły można się było dostać
po lodzie. Wkrótce na rzecze stanęły mosty
pontonowe, które ze względu na duży ruch
w godzinach szczytu regularnie się korko-
wały. Zniszczony transport publiczny czę-
stowo zastępowały riksze, dorożki, wozy
i paki przeladowanych ciężarówek.

Pierwsze tramwaje pojawiły się na Pra-
dze. Lekarz Aleksander Pacho tak opisywał
reakcje ludzi na ich pojawienie się: „Ulicą
Żąbkowską w kierunku Targowej ciągnął
kondukt pogrzebowy. [...] Nagle z głębi
ulicy Żąbkowskiej [...] wynurzył się tram-
waj, żywy, czerwony tramwaj warszawski,
nieodzowny element odradzającego się
krajobrazu naszego miasta. Widok tram-
waju wywołał powszechny entuzjazm.
Przechodnie na chodnikach zatrzymywali
się, inni biegli w stronę wozu, wiwatując
i głośno klaszcząc. I o dziwo, kondukt ża-
łobny zatrzymał się, odprowadzający zmar-
łego odwrócili się ku tramwajowi i wreszcie
porwani ogólnym nastrojem także zaczęli
klaskać”. 15 września 1945 r. na lewym
brzegu Wisły pojawiły się dwie linie tram-
wajowe. Niedługo potem na ulice wyjechały
także moskiewskie trolejbusy, „trajlusie”,
i londyńskie double-deckery, „piętrusie”.

WARSZAWA OSKARŻA

Do centrum miasta wracało nie tylko
życie handlowe, lecz także kulturalne.
10 marca 1945 r. w dawnej pijalni czeko-
lady Plutos przy ul. Marszałkowskiej 119

otwarto „pierwszy artystyczny lokal
Warszawy”. Reklamowano go w prasie:
„Smaczna kuchnia, kawa mocca, codzien-
nie śpiewa Mieczysław Fogg”. Codziennie
przez ponad rok Fogg zaczynał występ od
„Piosenki o mojej Warszawie” napisanej
przez Alberta Harrisa na wieść o losach
powstania. „Działalność artystyczną w wy-
zwolonej stolicy zainaugurowałem, ma się
rozumieć, »Piosenką o mojej Warszawie«.
I znowu nie sposób się było oprzeć ściska-
jącemu gardło wzruszeniu. Śpiewałem
– i co tu ukrywać, przez łzy. Plakali także
moi goście stłoczeni w niewielkim, dusz-
nym pomieszczeniu wypełnionym mdłym
zapachem karbidu i dymem z papierosów”
– wspominał Mieczysław Fogg.

Pierwszym kinem w powojennej War-
szawie była Syrena przy ul. Inżynierskiej
na Pradze. Rozpoczęło ono swoją dzia-
łalność już 15 stycznia 1945 r. Od kwietnia
1945 r. przy ul. Marszałkowskiej działało
kino Polonia, a do końca roku udało się
otworzyć jeszcze dwa takie miejsca: At-
lantic w Śródmieściu i Tęczę na Żolibor-
zu. Oprócz tego przy Marszałkowskiej
powstał Teatr Mały, Scena Muzyczno-
-Operowa i pierwszy powojenny kabaret
– Klub Satyryków „Kukulka”.

3 maja 1945 r. wystawą pod tytułem „War-
szawa oskarża” rozpoczęło funkcjonowa-
nie Muzeum Narodowe. Pokazana została
zbrodnicza działalność Niemców oraz skala
zniszczeń stolicy. Wystawę obejrzał m.in.
gen. Dwight David Eisenhower, głowno-
dowodzący amerykańskich sił zbrojnych
w Europie w towarzystwie dyrektora mu-
zeum dr. Stanisława Lorentza i gen. Ma-
riana Spychalskiego. Drugą placówką mu-
zealną, którą udało się uruchomić jeszcze
w 1945 r., był pałac w Wilanowie.

Odbudowa Warszawy trwała wiele lat,
a skutki jej zniszczeń widać do dzisiaj.
Stolica na zawsze straciła swój przedwo-
jenny urok. Udało się jednak tchnąć nowe
życie w to, zdawało się wówczas, bezpo-
wrotnie zniszczone miasto. Wbrew nie-
mieckim planom.



K

ULTURY

W rekordowym polskim przeboju ub.r., czyli „Akademii Pana Kleksa” (2,9 mln widzów w kinach i streamingowa dystrybucja w ponad 190 krajach), Sebastian Stankiewicz zagrał z „pazurem i twistem”. Teraz do kin wchodzi druga część filmu – „Kleks i wynalazek Filipa Golarza”. – Oddałem tej roli kawał serca – mówi nam w rozmowie aktor

Magiczny guzik od losu

Fot. Next Film

Z Sebastianem Stankiewiczem,
aktorem i artystą kabaretowym,
rozmawia Jolanta
Gajda-Zadworna

Został pan księciem z bajki?

Sebastian Stankiewicz: Tak się złożyło. Nigdy nie myślałem, że będzie mi dane zagrać taką rolę.

Przewrotnie napisano.

I to jest w niej najlepsze. Jako dziecko oglądałem „Akademię Pana Kleksa” Krzysztofa Gradowskiego i byłem jej wielkim fanem. Kiedy dostałem propozycję zagrania Mateusza, zadzwoniłem do mamy i usłyszałem: „Pamiętasz, synku, to był twój ulubiony film z dzieciństwa”. Przypomniała mi też, że z piosenek najchętniej śpiewałem „Z poradnika młodego zielarza” z drugiej części „Pana Kleksa” z refrenem, który zna każdy: „Biegać, skakać, latać, pływać / W tańcu, w ruchu wypoczywać...”.

Wygląda to trochę na zapowiedź aktorskiego zadania, które dostał pan w nowej adaptacji książki Jana Brzechwy.

Jestem ogromnie wdzięczny scenarzystom i reżyserowi Maćkowi Kawulskiemu, że na nowo wymyślili tę postać.

I dali panu karkołomne zadanie, trudne chyba także fizycznie?

Zdradzę trochę filmowej kuchni: charakterystyka trwała cztery godziny, często zaczynałem dzień ok. godz. 2.00 lub 3.00 w nocy. Paznokcie zakończone szponami nosiłem też poza planem przez półtora miesiąca, może nawet dłużej. Musiałem się nauczyć z nimi żyć. Oddałem tej roli kawał serca. Przez wszystkie dni zdjęciowe miałem ten sam kostium i niesamowite buty – z pazurami. Dosłownie i w przenośni. Nie bez powodu powtarza się młodym adeptom aktorstwa, że rolę buduje się od butów. Buty Mateusza były bardzo wygodne. Przez całe 40 dni zdjęciowych.

Grał pan w nienaturalnej pozycji.

Jakby w permanentnym skurczeniu. Po jakimś czasie, jak już wychodziłem z roli, poczułem trochę kręgosłup. Ale



było warto, cieszę się, że dało się stworzyć tę postać tak totalnie.

Mateusz jest w połowie ptakiem, w połowie człowiekiem.

Sam do końca nie wie, kim jest. To też chciałem przemycić w roli – że raz jest bardziej jednym, za chwilę drugim, taką hybrydą, ale drzewi Akademii są otwarte dla wszystkich, więc również dla takich dziwnych stworów.

Na planie spotkało się znakomite towarzystwo. Ma pan dużo scen z Tomaszem Kotem.

Kręciliśmy dwie części filmu naraz [„Akademię Pana Kleksa” oraz „Kleks i wynalazek Filipa Golarza” – przyp. red.], więc spędziliśmy ze sobą naprawdę dużo czasu, zwłaszcza w drugiej części. Mieliśmy rozszerzoną relację, sporo czasu ekranowego spędziliśmy jako duet.

Co się działo na planie, czego nie zobaczymy na ekranie?

Było sporo improwizacji. Nie wiem do końca, które wejdą. To fajne, że gra się z kolegą, który jest otwarty, podrzuca pewne rzeczy. Wydaje mi się też, że mamy podobne poczucie humoru idące w kierunku absurdu.

Jak przyjął pan pierwszą część „Akademii”?

Ogromnie poruszyła mnie scena, w której Stanisław Brudny – wspaniały aktor, dziewięćdziesięcioparoletni, którego znam i bardzo cenię, grał wiele ról drugoplanowych, przychodził też na występy naszego kabaretu – wcielił się w Mateusza. Następuje przemiana bohatera ptaka w człowieka. Starego człowieka. W tej scenie pan Stanisław mówi jedno zdanie: „Myślałem, że mam przed sobą całe życie”. Pamiętam, że przy każdym ujęciu na planie





beków, i prześladowane przez służby ofiary, i zupełnie zwyczajne osoby.

W pana zawodowym życiu jest linia równoległa – kabaretowa. Co się w niej dzieje?

Od trzech lat (pod koniec listopada świętowaliśmy trzecie urodziny i wystartowaliśmy z nowym programem) jestem członkiem Teatryku Gędzba, autorskiego projektu współtwórców Kabaretu na Koniec Świata i serialu La-LaPoland. Można nas zobaczyć w Teatrze Scena Współczesna w Warszawie.

Kiedy spełni się pan aktorsko, to gdzie i jak się pan regeneruje?

zalegała totalna cisza, widać było, że ludzie są autentycznie poruszeni. To było przepiękne dopełnienie mojej postaci.

Czy w drugiej części – „Kleks i wynalazek Filipa Golarza” – jest scena, na którą pan czeka?

Tak, ale nie mogę zdradzić więcej.

Jak ważna jest dla pana rola szpaka Mateusza?

Pamiętam, jak przy pierwszej części trafiliśmy do zamku w Gołuchowie, gdzie były kręcone sceny z Akademii, była tam też komnata księcia Mateusza z pierwszej części i gdzie spotkałem się z Piotrem Fronczewskim. Pan Piotr mówił swoim charakterystycznym głosem: „Daję ci tę cudowną czapkę bogdychanów”. Pomyślałem wtedy: „No nie, to się naprawdę dzieje!”. Minęło tyle lat i trafiłem do Akademii pana Kleksa. Warto marzyć! Można powiedzieć, że dostałem od losu magiczny guzik: mogłem wziąć udział w tym filmie.

W 2019 r. na festiwalu w Gdyni odebrał pan nagrodę za drugoplanową rolę w filmie „Pan T.” z Pawłem Wilczakiem jako Leopoldem Tyrmandem. Daleko pan odszedł od dziennikarstwa ubeka.

To była świetnie napisana postać, bardzo ciekawa, bo też miała w swojej historii „twist”, czyli zmianę. I to nieoczywistą. Dziękuję Marcinowi Krzyształowiczowi za to, że dał mi tę rolę.



Jest pana sporo w drugim filmowym planie. Przypomnijmy, gdzie ostatnio.

Miałem epizod m.in. w „Kuleju” Xawerego Żuławskiego. Zagrałem Stasia Zalewskiego, masażystę kadry. Nie ma mnie dużo w tym filmie, ale bardzo się cieszę, że wziąłem w nim udział, ponieważ to niesamowita historia i znakomita obsada. Z „Papą” Stammem granym przez Andrzeja Chyrę spędziłem na planie sporo czasu. To wspaniale móc przyjrzeć się z bliska pracy wytrwałych aktorów, podpatrywać, uczyć się, cały czas się rozwijać.

Zauważył pan, że peerelowskie realia na ekranie panu służą?

Bardzo dobrze odnajduję się w latach 60., 70. czy 80. ub.w. Pamiętam jeszcze trochę z tamtego klimatu (jestem z rocznika 1978). I chyba też pasuję do tych czasów, bo udało mi się zagrać i es-

Cieszę się rodziną i bliskością natury. To niesamowite, jak własny skrawek zieleni – zwłaszcza zasiedlony całkiem niedawno – zmienia perspektywę. Wszyscy domownicy, także ci czworonożni – psy i koty – cieszą się większą przestrzenią. Fajnie jest też gdzieś wyjechać. Dwa lata temu wędrowałem po Tajlandii, wtedy jeszcze byłem sam, ale nie ma to jak powrót do własnego małego ogródka i bliskich osób.

Jakie ma pan plany, życzenia na nowy, 2025 r.?

Coraz częściej myślę, że trzeba się zatrzymać i cieszyć z tego, co mamy, a nie ciągle gonić za czymś nowym. Oczywiście posiadam marzenia zawodowe, role, które chciałbym zagrać, ludzi, z którymi chciałbym się spotkać na planie, podróże, które chciałbym odbyć. Ale doceniam to, w jakim miejscu jestem – zawodowo i prywatnie. I wiem, że niczego nie muszę.

Warszawska pamiątka po niderlandzkiej Atlantydzie

Niderlandzki szesnastowieczny malarz Marinus Reymerswale nie pozostawił po sobie wielu dzieł. Tymczasem najbardziej tajemniczy obraz doskonale zbliżający nas do sekretu niderlandzkiej Atlantydy znajduje się w Warszawie

Sład prowadzący do zatopionego miasta tkwi na dłoni pozornie prozaicznego poborcy podatków. Choć trop jest elementem z obrazu będącego kreacją artystyczną, to miasto zostało zatopione dosłownie: obwarowana murami twierdza z licznymi kościołami i kamienicami została pochłonięta przez fale Morza Północnego tak doszczętnie, że, ponad powierzchnią szarozielonych, zimnych wód nie pozostał żaden ślad. Nie biją zatopione dzwony, a morskie odmęty nie przepuszczają blasku miedzianych zwieńczeń baszt. Na brukowanych ulicach nie turkoczą wózki mleczarzy, a żony rybaków z tej portowej metropolii nie sprzedają już na śmierdzących tranem i morszczyzn straganach dorszy złowionych przez ich mężów. Miasto jednak istnieje – głęboko na morskim dnie, zalane szturmem wodnego żywiołu, zamieszkane obecnie jedynie przez słonowodne węgorze, ośmiornice i ławice śledzi. Miasto istnieje też w inny, zaskakujący sposób – w detalu z warszawskiego obrazu.

* * *

O autorze wiadomo bardzo niewiele. Zupełnie zatarły się informacje o jego życiu. Proces ten przemieszczał postacie, nazwiska i miejsca. [...] Szczątkowe materiały źródłowe przemawiają za tym, aby skoncentrować się na faktach bezspornie zaświadczyjących o życiu i twórczości Reymerswale'a – na jego dziełach. Jest tam wiele informacji, które bezpośrednio referują jego pasję, zdolności i wykształcenie, ale przede wszystkim szczegóły życia. Dla jego biografów, nielicznych zresztą, ważne jest, że po mistrzowsku odwzorowywał detale pism urzędowych. Na pulpitach przed bankierami z jego obrazów leżą dokumenty – sprawne oko odszyfruje teksty pisane fachowym językiem, po łacinie. Są to pisma procesowe, wykorzystywane w praktyce prawniczej, są też akta administracji miejskiej. Możemy pośród arkuszy



Typ obiektu – obraz
Autor – Marinus van Reymerswale
Data urodzenia i śmierci artysty
– ok. 1490 – ok. 1550
Tytuł – *Poborcy podatków*
Data powstania – pierwsza połowa XVI w.
Technika – olej, deska dębowa
Wymiary – 81,7 cm × 65,5 cm
Lokalizacja – Muzeum Narodowe w Warszawie

papierów znaleźć gminne rachunki dotyczące podatków, czynszów, opłat za prom czy daniny na rzecz hiszpańskiego króla Karola V, który sprawował władzę w Niderlandach. [...]

O czym może świadczyć taki ogrom detali? O tym, że Reymerswale musiał być urzędnikiem miejskim. Znał dobrze procedury i zakres obowiązków rady miejskiej. Dokładnie wiedział, jak wyglą-

dają dokumenty i pieczęcie. Posługiwał się bardzo sprawnie łaciną, co prowadzi do konkluzji, iż z pewnością odbył studia. Być może studiował prawo. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że był dobrze wykształcony.

Informacje odczytywane z akt namalowanych na obrazach naświetlają jeszcze jeden bardzo ważny aspekt życia i twórczości Reymerswale'a: wszystkie zapiski odsyłają do miasta Reimerswaal. I nawet jeśli mało co w życiorysie malarza jest pewne, to jego związek z tym miastem pozostaje faktem. Nazwisko artysty powstało w ten sposób, iż późniejsze obrazy podpisywał: „Reymerswale'a Marinus me fecit a...”, co można przetłumaczyć jako „Marinus stworzył mnie w roku..., w mieście Reymerswale”, ale można też połączyć po prostu imię z nazwą miasta. I tak powstała godność: Marinus z Reymerswale.

Reimerswaal to miasto w Zelandii, krainie leżącej na południowym zachodzie Niderlandów. Tereny te to wyrwane morzu i odgradzane tamami oraz groblami splachetki łąd: wyspy i ląchy. W 1500 r. Reimerswaal zostało uznane, po Middelburgu i Zierikzee, za trzecie najważniejsze miasto Zelandii. Middelburg i Zierikzee wciąż istnieją. Reimerswaal już nie. Jeszcze za życia malarza rozpoczął się proces unicestwiania średniowiecznego grodu.

Gdy malarz był młodym mężczyzną, miasto rozkwitało. Bogaciło się na handlu solą. Rzemieślnicy miejscy zajmowali się jej rafinacją. Przemysł solny był główną gałęzią gospodarki całej Zelandii. Zelandzki worek soli stanowił wówczas obowiązującą jednostkę miary. Zelandia była jednak najbardziej znana z uprawy marzany barwierskiej (*Rubia tinctorum*). Roślina, z której korzeni powstaje barwnik nadający tkaninom spektrum barw od brązu przez bordo, fiolet, czerwień aż po pomarańcz obecnie nie ma większego znaczenia handlowego. Inaczej sprawa wyglądała w późnym średniowieczu. Eksport barwnika po eksporcie soli stanowił główny przychód miasta.

Zatopiony gród, który przetrwał w malarstwie Marinusa Reymerswale'a, był więc prężnym ośrodkiem miejskim i nic przez setki lat nie zapowiadało jego upadku. Posiadał liczne umocnienia antypowodziowe, a także mury o charakterze obronnym okalające miasto. Był tam też oczywiście port – jeden z większych w regionie, przez który przechodziły ładunki czerwonego barwnika i soli. W rozwoju tkwił jednak załazek klęski. Początkiem końca miasta był przemysł solny. Wydobycie minerału wiązało się z dokonywaniem wykopów, a działalność ta powodowała powolne podnoszenie się poziomu wód zatoki Oosterschelde. Kiedy 5 listopada 1530 r. przyszedł ogromny sztorm, miasto zostało częściowo zniszczone przez powódź. Dzień ten zapisał się w annałach historii w najgorszy możliwy sposób. Choć Reimerswaal przetrwało, bardzo jednak zniszczone, to cały rejon został dosłownie zmyty z powierzchni ziemi. W kataklizmie nazwanym od dnia patrona „powodzią Sint-Felix” ucierpiał dziesiątki osad, wsi i miast. Liczba ofiar nie jest znana.

Dwa lata później Reimerswaal nawiedził kolejny sztorm. Wówczas woda odcięła miasto od łąd. W wyniku tego nastąpił kryzys gospodarczy. Prężny dotąd ośrodek zaczął podupadać. Natura jakby wyczula tę słabość i dodatkowo, konsekwentnie osłabiała poważnie nadwątloną moc miasta. Kolejne powodzie rozrywały wały i niszczyły antypowodziowe umocnienia. Wszystko to odbywało się za życia malarza, który miał wówczas około czterdziestu lat. W 1572 r., około dwie, trzy dekady po śmierci Marinusa Reymerswale'a, miasto już zupełnie opustoszało. Był to wynik połączenia sił żywiołu i wielkiej historii. W jednym z epizodów wojny osiemdziesięcioletniej władze miejskie opowiedziały się po stronie króla hiszpańskiego. Za karę miasto zostało spalone. Ludzie nie poddawali się jednak. Po trzech latach powrócili,

aby wskrzesić portową metropolię. Ich wysiłki nie poszły na marne, miasto znów zaistniało. Na chwilę tylko. W 1631 r. ostatecznie zniknęło pod powierzchnią wody.

Miasto, po którym nic nie zostało – chciałoby się rzec. Nic, ale to nic! Ostatnim akordem grzebiącym pamięć po Reimerswaal był rok 1940. Miejskie archiwa zatopionego miasta znalazły się, już w XVII wieku, w stolicy Zelandii Middelburgu. W drugim roku II wojny światowej duża część miasta została zniszczona na skutek hitlerowskich lub francuskich bombardowań. Pożary, które trawiły stare miasto, pochłonęły też archiwum Reimerswaal wraz ze wszystkimi dokumentami.

Tak więc katastrofa zacierająca ślady Reimerswaal miała miejsce co najmniej dwukrotnie – podczas szesnastowiecznych sztormów, które zatopiły miasto, i drugi raz podczas wojennych bombardowań niszczących archiwum – niezwykle skutecznie usuwając wszelkie dokumenty i przedmioty mogące opowiedzieć coś o mieście. W ten sposób obrazy Marinusa Reymerswale'a stały się nielicznymi ocalałymi archiwaliami.

* * *

Romantycznie można stwierdzić, że w Warszawie zachował się skarb z tej Atlantydy. I to nie byle jaki skarb. To pierścionek z herbem zatopionego miasta. Tkwi on na palcu wskazującym prawej dłoni starszego mężczyzny. I nawet bez pomocy lupy można rozpoznać na nim barwy i symbole herbowe Reimerswaal. Czas przyjrzeć się obrazowi!

Marinus Reymerswale, gdy już opracował motyw, lubił go wielokrotnie powtarzać w nieco tylko zmienionych wersjach. Poborców podatkowych namalował przynajmniej pięć razy. Cztery obrazy znajdują się w następujących muzeach: National Gallery w Londynie, paryskim Luwrze, rosyjskim Ermitażu i w Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych w Antwerpii. Warszawscy Poborcy – z jednej strony – powielają rozwiązania z pozostałych czterech obrazów, z drugiej – cechują się oryginalnością. [...] Tym, co chyba najbardziej przykuwa

Ten obraz jest czymś więcej niż sceną rodzajową. Stanowi albo efekt niezamierzonego opatrnościowego działania malarza, albo świadomą próbę zachowania pamięci o odchodzącym w niebyt na oczach artysty, mieście

uwagę do kolorowych scen rodzajowych Reymerswale'a, są nakrycia głowy. Malarz odział bohaterów swoich obrazów w garderobę z czasów Filipa Pięknego, która wyszła z bur-gundzkiej mody około 1460 r., a chaperony i czepce są ele-mentami stroju... damskiego. [...]]

Błędem byłoby jednak utknąć na kapeluszach. Pierwsza połowa szesnastego wieku to reformacja, a później kontrre-formacja. Obojętnie, czy Reymerswale był katolikiem, czy protestantem, czuł strach przed zbliżającym się Sądem Osta-tecznym. Czasy, w których żył, były epoką odnowy duchowej, pogłębienia wiary z Bogiem i refleksji nad złem, niosły powiew zmian. Malarstwo pomagało wskazywać i potępiać zło, a także afirmować dobro. Według Reymerswale'a uczciwa praca na rzecz swojej społeczności jest godna pochwały. Zasługującą na uznanie i szacunek postawę prezentuje starszy mężczyzna wykonujący zawód zaufania publicznego. To wysłannik ratusza do spraw podatków. Jest miejskim urzędnikiem i do-konuje, niczym biegły rewident, kontroli w księdze rachun-kowej, aby zgadzał się bilans. Jednocześnie ocenia uczciwość poborcy podatkowego. Jest mądry – rekwizyt pióra i księgi. Jest pracowity – widzimy go podczas pełnienia obowiązków. Ciekawostką są okulary na jego nosie (występują tylko w wersji petersburskiej i warszawskiej). Dzięki nim widzi więcej i dalej.

Młodsza postać – prywatny poborca, jest zły, co widać już na pierwszy rzut oka, gdyż jest brzydki. Niebawem, bo za niecałe sto lat, to estetyczno-etyczne combo wraz z barokiem zniknie z malarstwa europejskiego. Na początku szesnastego wieku wciąż obowiązywało. Atrybutem brzydkiego i niedo-brego poborcy są monety i mieśzek, który trzyma w lewej dłoni. Zawód, który wykonuje, to prywatna praktyka, miasto zleca mu brudną robotę. Jest niemal opryskiem, rozbój-nikiem i najprawdopodobniej nie potrafi okiełznać swojej natury – nie kontentuje się ustalonym wynagrodzeniem. Malarz poprzez postać poborcy piętnuje chciwość, niepo-hamowaną żądzę bogactwa i nieuczciwość. Poborca spoufała się z kontrolerem. Oparł rękę na jego ramieniu i strzyże do nas porozumiewawczo oczami. Co ma na sumieniu? Czy uda się odkryć szwindel? [...]]

* * *

Osobną kompozycję stanowią dłonie. Zbyt do-pracowane malarsko, aby je pominąć. Cztery doskonale zaprezentowane dłonie, z których każda opowiada swoją historię. Są pobruź-dzone, z widocznymi żyłami i zarysowanymi ścięgna-mi. Reymerswale nie zapomniał o takich szczegółach, jak zgrubiałe stawy, przybrudzone paznokcie i guzki reumato-idealne. Poborca cierpiał na reumatoidalne zapalenie stawów! W lewej dłoni trzyma bordową kłamrę saka na monety. Jest to miejsce na obrazie, które może skrywać istotę oszustwa. Czyż mężczyzna nie zgar-nia dyskretnie, na naszych oczach, prze-liczonych monet ze stołu z powrotem do swojego worka? Prawa dłoń poborcy zwisa z ramienia urzędnika. Wyciągnięty palec

wskazujący kieruje nasz wzrok na fragment w księdze rachun-kowej. Dla odwrócenia uwagi? Istnieje w malarstwie europejskim późniejszych epok taki typ ikonograficzny: złodziejaszek umiejętnie kradnie pieniądze z kieszeni klienta wróżki, który nie zauważa tego, gdyż zajęty jest efektami czytania z dłoni. Czy nie jest to zapowiedź tego typu tematów w malarstwie?

Lewa dłoń urzędnika miejskiego okolona bordowym futrzanym mankietem przelicza skrupulatnie i spokojnie miedziane monety. A prawa żmudnie wszystko zapisuje. Na wskazującym palcu jego prawej dłoni, tej, która dzierży pióro w metalowej obsadce, tkwi pierścień. Namalowany jest bar-dzo precyzyjnie. Jest to sygnet z herbem miasta. Widzimy więc tarczę i wszystkie jej elementy. Na żadnym innym obra-zie Marinusa Reymerswale'a ani jego naśladowców pierścień nie pojawia się. Jedynie obraz warszawski może się poszczycić taką pamiątką – dosłownym i wyraźnym odwołaniem do tradycji, wartości i historii nieistniejącego już Reimerswaa.

Utrzymany w ciepłej kolorystyce obraz z bordową domi-nantą jest czymś więcej niż sceną rodzajową. Stanowi albo efekt niezamierzonego opatrnościowego działania malarza, albo świadomą próbę zachowania pamięci o odchodzącym w niebyt na oczach artysty mieście. Wszystko zależy od daty powstania dzieła. A ta nie jest znana. Czy obraz powstał przed katastrofalnymi powodziami? Wtedy działania dokumentu-jące istnienie miasta byłyby w przypadkowy, lecz wizjoner-ski sposób bardzo cenne, dokumentując istnienie czegoś, co wkrótce i w sposób gwałtowny miało zniknąć.

Czy też obraz powstał po powodziach lub w trakcie zlej, kilku-letniej sztormowej passy? Czy malarz, widząc klęskę i upadek miasta, postanowił, z pełną świadomością doniosłości swojego czynu, ocalić je dla potomnych? Czy malując pierścień z miej-skim herbem, postępował jak Karol Estreicher, który 29 sierp-nia 1939 roku wywoził z Krakowa zapakowany w skrzynię ołtarz Wita Stwosza do kryjówek w sandomierskim seminarium? Czy ratował w ten sposób swoje miasto i jego kulturę od zagłady?

Najprawdopodobniej nie poznamy odpowiedzi na te py-tania. Na podstawie ustaleń opartych o datowania innych obrazów raczej wiadomo, że dzieło nie powstało pomiędzy

1533 a 1545 rokiem. Mało prawdopo-dobne, aby doszło do tego później. Na-ukowcy wskazują więc ostrożnie na lata 1515–1533. A jest to przedział czasu, który zawiera zarówno moment przed klęską sztormów, jak i lata, które nastąpiły po nich. Obojętnie, jakie jest rozwiązanie tej za-gadki, faktem pozostaje, że obraz z Mu-zeum Narodowego w Warszawie to dzieło niezwykle.

**Joanna Łenyk-Barszcz
i Przemysław Barszcz**

*Tekst jest fragmentem najnowszej książki
Joanny Łenyk-Barszcz i Przemysława
Barszcza pt. „Na tropie tajemnic dzieł sztuki”,
która ukazała się nakładem wydawnictwa
Zona Zero. To piąty tom bestsellerowej
serii omawiającej ukryte kody w dziełach
arcymistrzów malarstwa i rzeźby.*



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Chrzcziny” - tęsknota za ładem?

Wświęta TVP1 postanowiła przypomnieć jeden z moich ulubionych polskich filmów ostatnich czasów. Jestem pod urokiem „Chrzcin” Jakuba Skoczni – po raz pierwszy oglądałem go przed dwoma laty w prawie pustej kinowej sali. Napisałem wtedy, że jest nietypowy. Film, w którym tradycja jawi się jako coś niekoniecznie antypatycznego i nawet ksiądz jest postacią raczej dającą się lubić. Zdumienie ogarnia...

Nie przyciągnął masowej publiczności, polskie filmy rzadko mogą na nią liczyć, zwłaszcza tuż po pandemii. To familijny komediodramat (jednak nie czysta komedia), a zarazem film historyczny, bo rodzinną ceremonię w góralskiej miejscowości pomysłowo wpasowano w zdarzenia z 13 grudnia 1981 r.

Mógłbym się trochę czepiać. Bohaterowie mówią zbyt literacką polszczyzną, a powinni pewnie bardziej góralską – choć może to recepta na uniknięcie dodatkowych komplikacji. Mam też wątpliwości, czy w stosunku do tego, co pokazał nam rzeczywisty stan wojenny, sam finał nie jest odrobinę zbyt lightowy. Scenarzyści (Skoczeń i Iwo Kardał) przezornie nie mówią nam, co się stało z rodziną, która naruszyła rygor tamtego zamachu. Chyba ukradkiem wierzą, że dogada się ona z zomowcami – wszak milicja to też Polacy z ludu. Nie bardzo podzielam tę wiarę.

Ale to przede wszystkim wyprawa do Polski, której już prawie nie ma. Do kraju, w którym matka, wspaniale grana przez Katarzynę Figurę, próbuje utrzymać swoją rodzinę w garści. Ponad podziałami w jej łonie – oto jeden syn, gorliwy katolik, wyklina drugiego syna, PZPR-owca. Ale i ponad zewnętrznymi okolicznościami. Mamy stan wojenny, a w dniu chrzcin swojego nieślubnego wnuka Marianna robi wszystko, aby jej gromadka się o tym nie dowiedziała. Bo choć przez chwilę będą razem, bo się pogodzą.

Iniby to naturalne, że się wyemancypowaliśmy spod władzy katolickich matek. Już wtedy, w 1981 r., młodzi emancypują się na różne sposoby. Zarazem gdzieś spod spodu wyziera

pytanie, czy ta emancypacja nie wylała dziecka z kąpielą. Jak dolegliwa by nie była matka i babcia, ta jej władza to także więź.

Ówczesni młodzi też (jeszcze?) odczuwają tę więź. W finale pospółu stają do walki w obronie szczęścia siostry. Czy dziś by tak było? Nie wiem, pewnie różnie. W każdym razie samo postawienie sprawy to obecnie rzadkość w polskim kinie.

No i te smaczki. W finale partyjny brat okazuje się i solidarny, i tak naprawdę bliski religii. Choć dwaj starsi zawzięcie drą koty, to gdy zbyt hałasuje najmłodszy, Tolo, dostaje burę. „Jak ty się odzywasz do starszego brata” – pohukuje Wojtek w obronie Tadka, z którym dopiero co wojował. Czy to było lepsze? Gorsze? Nie wiem. Ale niosło jakiś ład, nawet jeśli po latach można sobie z niego dworować.

Istotnie to wspaniała rola Katarzyny Figury, która przeźnęła się z dawnej seksbomby polskiego kina w uosobioną zwyczajność. Ale świetni są też wszyscy pozostali. Owacje dla filmowych braci: Tomasza Schuchardta, Michała Żurawskiego i zwłaszcza dla Macieja Musiałowskiego jako wiecznego dużego chłopca Tola.



Mamy wspaniałe córki: Agatę Bykowską, Martę Chyczewską i Mariannę Gierszewską. Są mistrzowie drugiego planu: Jakub Wierczek jako przyszły zięć i Piotr Ligenza jako miejscowy fotograf. Jest Zbigniew Konopka w roli proboszcza i Tomasz Włosok jako jego krewniak, kleryk. Jak oni to robią, że w tym nieustającym, gorączkowym tempie przedziwnego dnia są po filmowemu przerysowani, a jednak zwyczajni?

Szkoda, że Skoczeń nakręcił swój pierwszy duży film w wieku 58 lat. Wcześniej były seriale, krótsze metraże. Tu kładka kariery artystycznej jest wąska. Za wąską!

Piotr Zaremba

Duchowy globalizm

Drzwi w kościołach gotyckich nie były umiejscowione idealnie na osi nawy. Ta delikatna asymetria brała się stąd, że w chwili śmierci głowa Jezusa opadła i patrzył on z krzyżu na wiernych z odrobinę przesuniętej perspektywy. Architektura posłusznie dostosowała się do niego. Stworzenie z miłością u stóp Stworzyciela.

Dziś często głoszone jest przekonanie, że wszystkie religie są jak różne ścieżki prowadzące na szczyt góry. Jednak nie ma twojej prawdy i mojej prawdy. Jest stworzenie i Stworzyciel. Intuicje religii dharmicznych – karma i reinkarnacja – są logiczną, ale błędną konsekwencją ich przedoświeceniowego subiektywizmu. Podobnie jest z pozostałymi religiami, szintoizmem, politeizmami czy wierzeniami spirytualnymi.

Formująca dziś ludzkość globalna popkultura opiera się na idei równoważności religii i synkrytyzmie duchowym. Na niewykonalnej próbie syntezy religii objawionej i religii dharmicznych oraz politeizmów. Tradycja tego synkrytyzmu sięga Swedenborga, później wpływowego Towarzystwa Teozoficznego, z którego idei powstały współczesne wierzenia New Age. A te są fundamentem współczesnej popkultury, źródłem jej antychrześcijańskiej istoty.

Jednym z przykładów takiego zwodniczego synkrytyzmu jest manipulacja pojęciem medytacji.

Medytacja może być najpiękniejszą drogą do Boga, o ile jest modlitwą, a nie techniką. Nie można się uczyć modlitwy od hinduistów czy buddystów, bo oni jako moniści nieuznający istnienia Stworzyciela osobnego od stworzenia nie mogą się modlić. Można się od nich uczyć jedynie technik, które chrześcijanom są niepotrzebne, ponieważ ci modlą się do kogoś, kogo nie da się do niczego zmusić żadną techniką. Mimo tej oczywistości do dziś wielu chrześcijan nie dokonało istotnego rozróżnienia. Błędem nagminnie powtarzanym od lat 60. ub.w. jest bowiem nierozróżnianie między medytacją chrześcijańską, czyli modlitwą, a medy-

tacją naturalistyczną, czyli techniką pochodzącą z religii takich jak buddyzm, sufizm czy hinduizm. Lista katolickich kapłanów, zwiedzionych pozornymi podobieństwami pomiędzy mistyką transcendentną a mistyką naturalistyczną jest bardzo długa.

Tak samo rozpowszechniona dziś na Zachodzie joga nie służy tylko do poznawania swego ciała i harmonizowania go z ludzkim duchem, lecz także jest techniką uruchamiającą procesy fizjologiczne, które służą religijnym celom hinduizmu. Ich bezpośrednim efektem – gdy ćwiczy się jogę konsekwentnie i z zaangażowaniem – są stany odmiennej, zawężonej, świadomo-

*Nieprawdą jest, że każdy
ma swoją prawdę. Prawda
rzadko leży pośrodku.
W kłamstwie nie ma ziarenka
prawdy. W grzechu nie ma
okruchu dobra. Nie można
być trochę w ciąży. Bóg jest
światłością, nie ma w nim
żadnej ciemności*

ści, czyli, upraszczając, stany fuzji z kosmosem prowadzące do euforii rozmycia się w „kosmicznej energii”. Jako osoba, która doświadczyła takiego „oświecenia”, nirwany, mogę stwierdzić, że droga hinduizmu i buddyzmu kończy się tam, gdzie zaczyna się droga chrześcijanina. Na granicy świata stworzonego, tam, gdzie pojawia się Stworzyciel, który sam przychodzi do pokornej modlitwy człowieka.

Joga oraz inne formy medytacji naturalistycznych prowadzą do subiektywnego doświadczenia świata. A ludziom bardzo trudno oderwać się od swego doświadczenia. Największy nowożytny wynalazek, współczesna nauka, powstała właśnie



ROBERT TEKIELI

w wyniku takiego odcięcia. Po chrześcijańskich wynalazkach, takich jak idea osoby, państwo mające realizować cele uniwersalne, a nie tylko interesy panujących, cywilizacja atlantycka dodała do swego judeo-grecko-rzymskiego skarbcza nowożytną naukę, bezwzględne narzędzie do poszukiwania prawdy. Wymyślony w Europie system poznawania rzeczywistości zmienił świat nawet bardziej niż wynalazek papierowych pieniędzy.

Wiele osób, którym emocje uniemożliwiają spokojne przyjrzenie się jakiemuś swemu przeżyciu, absolutyzuje je. By badanie naukowe stało się podstawą do uogólnień, musi być wielokrotnie powtórzone, a efekt tych niezależnych od siebie prób musi być statystycznie identyczny. To w dziedzinie nauk przyrodniczych. Nauki społeczne wypracowały mniej skuteczne mechanizmy weryfikacji, ale jeśli jakiś humanistyczny czy psychologiczny guru odmawia prawa społeczności naukowej do rzetelnej dyskusji nad swymi badaniami, racjonalnego przeanalizowania swej teorii, założeń i metod badawczych, stawia się poza przestrzeń współczesnej nauki. W wynalazki humanistycznych guru trzeba wierzyć. W działanie aspiryny i transformatora czy skuteczność terapii wierzyć nie trzeba.

Wschodnie teorie meridianów, energii chi, qi czy czakr i czakramów są oparte na subiektywnym doświadczeniu swego ciała. Później przeniesiono je na całą rzeczywistość, co wprowadziło cywilizację orientalne w ślepą uliczkę.

Odrzucenie oparcia systemu wiedzy na subiektywnym doświadczeniu sprawiło, że nasza cywilizacja wygrała nowożytny wyścig z cywilizacjami islamu, Chin, Indii, Japonii i wszystkimi pozostałymi.

Subiektywne doświadczanie świata to domena poetów. Lekarze, psychologowie, dietetycy, psychiatry, naukowcy muszą obiektywizować swe działania. I dzięki temu mogą tworzyć systemy neutralne, skuteczne i pożyteczne.

W rzeczywistości przyrody nie ma mojej prawdy i twojej prawdy. Również w sferze duchowej są drogi lepsze i mniej owocne.

Nie jest to dla chrześcijan powód do wynoszenia się. Wręcz przeciwnie. Komu więcej dano, od tego więcej będzie się wymagać.

Ale nieprawdą jest, że każdy ma swoją prawdę. Prawda rzadko leży pośrodku. W kłamstwie nie ma ziarnka prawdy. W grzechu nie ma okruszka dobra. Nie można być trochę w ciąży. Bóg jest światłością, nie ma w nim żadnej ciemności.

Krew Jezusa oczyszcza z każdego grzechu. Poświęcenie się dla bliźniego może zakryć wiele grzechów. Jezus wycierpiał mi szansę na miłosierdzie. Ale to, co zabiłem, nie żyje. Słyszę płacz i jęk tych, których skrzywdziłem. Na tym świecie często nie ma sprawiedliwości. Trzeba wyznaczyć swoje grzechy i liczyć na miłosierdzie. 

WOJNA

CYWILIZACJI



Warte Thriller science fiction toczący się w XXIII w. Układ Słoneczny został skolonizowany przez człowieka, gra toczy się pomiędzy Ziemią, zmilitaryzowanym Marsem a Pierścieniem planetoid zewnętrznych. Serial „*Ekspansja*” jest więcej niż przyzwoity, na sześć sezonów puszczona jest druga połowa pierwszego i może jeszcze poszczególne odcinki trzeciego i czwartego. Scenariusz nie jest do końca przewidywalny. Mamy też wkrętki pierwszej klasy, jak motyw z obcą cywilizacją. Nie będę jednak spoilerował. Aktorstwo też przyzwoite, o każdym z głównych bohaterów można napisać miłe słowo, jednak show kradnie Shohreh Aghdashloo, 72-letnia irańska aktorka grająca rolę przywódczyni Narodów Zjednoczonych, której kreacja jest naprawdę imponująca jak na serial telewizyjny. Równie dobrze wypada Wes Chatham w roli sympatycznego psychopaty, którego profil psychologiczny i deficyty pięknie prezentują się w konfrontacji z empatyczną i hiperhumanistyczną panią „pastor”. Mamy tu genialne sceny, jak parada trupów lewitujących w stanie nieważkości oraz świetne grepsy, jak ta dobra rada dla kobiety idącej do więzienia: „Jesz, srasz, śpisz. Bierzesz, co dają i nie dajesz niczego w zamian”. Z czystym sumieniem mogę polecić „Ekspansję” każdemu, kto szuka na sinoniebieskim ekranie odrobiny ekscytacji i rozrywki.

Może być Platformy streamingowe potrafią dać drugie życie nieco zwiertzałym produkcjom. Wiedom nie zawsze wychodzi to na dobre, jednak w przypadku „*Pamięci krwi*” rzecz nie wygląda beznadziejnie. Ale też nie kolorowo. Jean Reno odgrywa rolę płatnego zabójcy na emeryturze, jednak tę postać można nazwać jedynie karykaturą Leona Zawodowca. Thriller jest do bólu schematyczny, po kwadransie

wiadomo prawie wszystko. Zero napięcia, przeciętne do bólu aktorstwo, nudna intryga. Wznowienie filmu zostało bardzo dobrze przyjęte przez publiczność, dlatego otrzymało u mnie notę „Może być”, a nie „Dno dna i warstewka mułu”.

Warte Trochę horror, trochę thriller, dużo aniołów, demonów, przemocy i sarkazmu. „*Diablero*”

F.G. Haghenbecka był dla mnie miłym zaskoczeniem. Łowca potworów sprzedający upadłe anioły, strzygi i upiory do hodowli i nielegalnych walk przyciągających niejawnie elity naszego najlepszego ze światów. To punkt wyjścia, po drodze jest Afganistan i mroczne dzielnice Los Angeles, a specyficzny koloryt tej krótkiej powieści stanowi chyba jej najsilniejszą broń. Tak samo udana jest kreacja zapadających w pamięć głównych bohaterów, z tytułowym diablero, paranormalnym komandosem na czele. Akcja mknie jak chiński Maglev z Pekinu do Szanghaju, ponad 600 km/h. Książkę czyta się niewiele dłużej i się nie żałuje.



Niewarte Zdecydowanie odradzam niedawno opublikowany miniserial dokumentalny „*Z tej strony Zodiak*”. Traktuje on o sprawie wielokrotnego mordercy szukającego nastoletnich ofiar w okolicach San Francisco na przełomie lat 60. i 70., która nigdy nie została rozwiązana, a zyskała światowy rozgłos dzięki medialnemu sprytowi zabójcy i atmosferze dziwnej tajemnicy, jaką osiągnął dzięki szyfrowanym listom przesyłanym prasie. Serial nic nie wnosi do wiedzy o tamtych wydarzeniach, arbitralnie skupia się tylko na jednym z kilku podejrzanych i jest pełen niejasnych i nieudokumentowanych sugestii. „*Zodiak*” to popkulturowa ikona – piszę tak na skróty, choć klawiatura ugina się pod ciężarem tej słownej kalki odnoszącej się do skrajnie odrażającej rzeczywistości. Jeśli dziś ktoś podejmuje ten temat na nowo, nie mając żadnego pomysłu, to jest naciągaczem lub głupcem.

Ina koniec – już nawet nie wiem, z której z opisywanych przeze mnie popkulturowych produkcji – krótka definicja mentalności lewicowca/oświeceniowca: „Wiesz, jaki masz problem? Zawsze uważasz, że jak ktoś jest słabszy, to jest dobry”. Do przemyślenia. 

Robert Tekieli, Polskie Radio



Orzeł Szukalskiego

Jest szansa, że Piastowski Orzeł projektu Stanisława Szukalskiego powróci na fasadę gmachu przy pl. Sejmu Śląskiego, którego właścicielem jest dziś Sąd Apelacyjny w Katowicach. Taką informację przekazały media. Ale kiedy, gdzie i za ile? Starania o to są czynione od 15 lat. Planowany remont jest jeszcze w toku biurokratycznych procedur w Ministerstwie Sprawiedliwości, które pod nowym kierownictwem jakimś cudem nie zarzuciło pomysłu z czasów poprzedników. Wiosną władze wojewódzkie uzyskały zgodę spadkobierców na to, by odtworzyć Orła. Elewacja jest już inna i żeby ponownie umieścić na niej płaskorzeźbę, należy wszystko poddać gruntownej przebudowie. Jeśli miałyby wrócić w pierwotne miejsce, to nie byłaby wyeksponowana tak jak przed wojną, ponieważ tę część gmachu zastąpił pałac Grudniowy. Z kolei zlokalizowanie Orła na fasadzie od strony ul. Jagiellońskiej wymagałoby jej pomniejszenia o połowę.

Kompozycja modułowa Szukalskiego była bowiem monumentalna i precyzyjnie przemyślana. Wykuta z ważącego 35 t dolomitowego bloku wylaniała się na wysokości 2–3 piętra budynku i mieściła w centralnym polu ściany, w którym umieszczono piastowskiego orła w kolistej obręczy o średnicy niemal 5 m. W czterech narożach była dodatkowo zdobiona trójkątami powstałymi z układu trzech graniastych kostek. Płaskorzeźba odsłonięta w 1938 r. miała ważne znaczenie symboliczne. Wszystko za sprawą ówczesnego wojewody Michała Grażyńskiego, który postanowił wykorzystać geniusz Szukalskiego, by w tamtejszej przestrzeni umieścić wiele polskich akcentów o mocarstwowym monumentalizmie zabarwionym inklinacjami piastowskimi. Wraz z nim powstał też projekt 9-metrowego pomnika Bolesława Chrobrego oraz płaskorzeźby Ślązaczki i górnika, które miały zdobić fasadę Muzeum Śląskiego. Piastowski Orzeł jako jedyny ukończony przetrwał zaledwie rok, został zniszczony przez niemieckiego okupanta niedługo po zajęciu Katowic w 1939 r. Rzeźba króla Bolesława przepadła natomiast wraz z pracownią Szukalskiego w czasie bombardowania stolicy. Za kilka miesięcy będziemy obchodzić 1000-lecie koronacji Chrobrego. Oczywiście na odtworzeniu pomnika króla symbolizującego państwo-wość opartą o Śląsk, Odrę i Nysę nie ma szans. Kiedy jednak powróci Orzeł Szukalskiego?



Maciej Walaszczyk

Dla Stonesów już sam występ w Londynie musiał być pewnym wydarzeniem, w końcu to ich miasto i to tam rozpoczęła się trwająca już 60 lat kariera zespołu. W czerwcu 1999 r. wpadli do kameralnego klubu Shepherd's Bush Empire i zagrali koncert dla 1,8 tys. osób. Poprzedzał on dwa duże występy na Wembley.

Teraz wpadli na pomysł, by wydać to nagranie i pewnie odpowiednio zarobić, czego efektem jest płyta wraz z video najwyższej jakości. Ale trzeba przyznać, że nie wciskają tandety ani materiału odpadowego. Przeciwnie, koncert wpisuje się na historyczną listę albumów, takich jak koncert w Marquee z 1971 r., przypominany ostatnio set z klubu El Mocambo z 1977 r. czy występ w chicagowskim Checkerboard Lounge z 1981 r. z Muddym Waterssem. Wymienione nagrania są uważane za o wiele bardziej miarodajne niż te dokonane na ogromnych stadionach dla wielotysięcznych audytoriów. Bo w głębi serca The Rolling Stones pozostają zespołem klubowym, znakomicie brzmiącym wtedy, gdy publiczność stoi stłoczona pod sceną, a oni stoją stłoczeni na niej, w oparach papierosowego dymu. Tym razem zespołowi towarzyszą czteroosobowa sekcja dęta prowadzona przez legendę saksofonu

Luz i arogancja



Bobby'ego Keysa (to jego solo słychać „Brown Sugar” z 1971 r.), wokalne trio i wieloletni pianista Chuck Leavell. Zespół jest w kapitalnej formie, wszyscy są zrelaksowani i nieustannie utrzymują bezpośrednią relację z publicznością. Dzięki temu wyruszamy na daleką wycieczkę „Route 66” aż do ich debiutu z 1964 r. Oprócz klasyków zespół sięga po utwory z płyty „Voodoo Lounge” z 1994 r., a także praktycznie nigdy nie wykonywane na koncertach „Brand New Car” czy swingujące „Melody”. Grają też porywającą wersję „Saint of Me”, która rozbudza tłum do wspólnego śpiewania, albo zabójcze „Respectable” z 1978 r., ewidentnie noszące w sobie piętno punk-rockowej zadziorności. Do tego Richards przejmuje mikrofon w „You Got the Silver” i w „Before They Make Me Run”, a Sheryl Crow dołącza do Jaggera w „Honky Tonk Women”. Mamy też żelazne punkty programu, a więc zamykające płytę potrójne uderzenie: „Tumbling Dice”, „Brown Sugar” i „Jumpin’ Jack Flash”. Stonesi dobrze się bawią, grają z werwą i nutą nieodzownej arogancji, a 56-letni wówczas Jagger dowodzi, że opanował wszystkie tajniki rockowej wokalistyki. Dziś ma 81 lat, a wiosną koncerty w Europie.

The Rolling Stones, „Welcome to the Shepherd's Bush”, Universal Music 2024

Ćwiczenia z wyobraźni

Ta publikacja to kompendium wiedzy na temat europejskiego teatru ze szczególnym uwzględnieniem historii sceny polskiej. Znakomita gawęda pełna ironii i dowcipu

To drugi tom znakomitej historii europejskiego teatru prof. Józefa Kelery, emerytowanego już dziś krytyka i pedagoga, niegdyś współpracownika Jerzego Grotowskiego. Wydawnictwo rewelacyjne, niezwykle przejrzyste, w którym chronologię odmierzają zaznaczone hasłowo, wyodrębnione na marginesach wątki, a wszystko napisane w świetnym, pełnym ironii gawędziarskim stylu. To kontynuacja równie znakomitej części pierwszej, w której autor sięgał do najbardziej pierwotnych doświadczeń człowieka z jego nieodłącznym „instynktem teatralności”, a więc odtwarzania życia i przedstawiania, tak silnego w rytuałach i obrzędach teatru greckiego.

Tom drugi także zawiera ciekawostki sięgające zamierzchłej przeszłości – m.in. o staroruskim teatrze „skomorochów”, wędrownych lalkarzy, nad którym żadna rosyjska władza nie miała kontroli przez sześć wieków. Dlatego był on zaciekle zwalczany przez cerkiew, a w połowie XVII w. carskim ukazem zakazano występów niesfornych i niebezpiecznych włóczęgów. W końcu pod koniec XIX w. podczas trwającego 18 godzin spotkania reżysera i dramaturga Władimira Niemirowicza-Danczenki z aktorem Konstantinem Stanisławskim zrodził się słynny Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny, który potem podporządkują sobie bolszewicy, a Stalin będzie go odwiedzał w czasie specjalnie organizowanych nocnych prób. Tę ostatnią plotkę autor miał usłyszeć od Grotowskiego, a ten jeszcze w latach 50. XX w. od swego mistrza reżysera Jurija Zawadskiego, który poradził mu, by to w Polsce odnalazł swoją drogę artystyczną, a do Sowiec nigdy nie wracał. W latach 30. Stalin doprowadził do likwidacji wszelkich awangardowych grup, uznając, że rewolucja w sztuce wcale nie musi towarzyszyć rewolucji bolszewików. Osiągnięcia rosyjskiej awangardy wpłyną jednak na teatr w Europie.

Wydawnictwo przede wszystkim przedstawia dzieje teatru od tzw. wielkiej reformy końca XIX w. znaczonej odkrywaniem „prawdy w teatrze”, jaką wyznaczył mu naturalizm. Théâtre Libre, Freie Bühne grają Strindberga, Hauptmanna, Ibsena, a powstały wówczas angielski Independent Theater sztuki zacieklego

socjalisty G.B. Shawa zaciekle atakującego wiktoriańską obyczajowość i kapitalizm. W kolejnym wieku naturalizm zmonopolizuje wszystkie środki masowego przekazu i niemal wszelkie płaszczyzny kultury masowej, a jego poetyka utoruje drogę kolejnym przemianom – zarówno przeciwstawiającym się mu symbolistom, jak i teatrowi politycznemu Piscatora tworzącemu scenę otwartej komunistycznej propagandy. Pojawi się nowoczesna groteska sceniczna, nowoczesna choreografia, a obok tych wszystkich zjawisk kabaret jako zjawisko okołoteatralne uprawiające także satyrę polityczną. W polskich realiach są to przede wszystkim „Zielony Balonik” we Lwowie czy krakowska „Piwnica pod Baranami”.

Śledzimy również historie zmian scenograficznych przyspieszonych rewolucją sztucznego oświetlenia obnażającego tandetę udawanej, trójwymiarowej przestrzeni z powodzeniem funkcjonującej przez 300 lat. W przemiany wielkiej reformy wpisuje się przede wszystkim Stanisław Wyspiański, nie tylko piszący sztuki, lecz także projektujący scenografie i kostiumy do nich oraz podejmujący się pierwszej i przez lata wzorcowej inscenizacji mickiewiczowskich „Dziadów”. To teatr przez dziesięciolecia przesycony tradycją romantyczną, gdyż największe dramaty Słowackiego, Krasińskiego i Mickiewicza z wiadomych powodów zostały wystawione przy-

najmniej z 70-letnim poślizgiem, a potem doczekały się swych kolejnych interpretacji. Autor w ogóle bardzo dużo miejsca poświęca rozwojowi sceny teatralnej w Polsce z galerią wielkich twórców, takich jak Kotarbiński, Solski, Osterwa, Schiller, Zelwerowicz, Szyfman, Jaracz, Hübner, Swinarski, Jarocki, a w końcu Kantor czy Grzegorzewski. Zjawisko groteski i absurdu oznaczające całkowitą destrukcję tradycyjnego dramatu takie jak Witkacy pojawia się z opóźnieniem i jest raczej marginalne, choć to Witkiewicz jest prokiem totalitarnej apokalipsy. W końcu, jak przestrzega autor, teatr to w swych najświetniejszych pierwocinach „symboliczne obcowanie z okrucieństwem losu”. Gdy o tym zapomina, wpada w bagno. ➤



Józef Kelera, „Krótka historia teatru w Europie”, t. 2, Wydawnictwo UWR, Instytut im. Jerzego Grotowskiego, Wrocław 2023

JUSTYNA SIENIAWSKA

AKTORKA

Inspirujące perspektywy



imprezy. Podobnie jak goście, którzy je odwiedzają, dostrzegała, a także doceniała zmiany, jakie się dokonały i nadal dokonują w tych miejscowościach.

Zachwycił ją m.in. Ogrodzieniec, oczarował Wolin i zaskoczył (urokiem) Płock, który może się też pochwalić wspaniałą plażą. W Janowie Podlaskim poruszyła ją Aleja Zasłużonych Koni – wielkie głązy z tabliczkami przypominającymi m.in. Pianissimę czy Europę...

Z urodzenia jest szczecinianką, ale aktorstwo studiowała na drugim krańcu Polski, w Krakowie. O rodzinnym mieście mówi, że nie jest tak doceniane, jak mogłoby być, a bardzo dużo, ciekawie i dobrze się w nim

Serial „Na sygnale”, gdzie gra dr Górską, dał jej rozpoznawalność i sympatię widzów. W najnowszym sezonie widzimy, że góra z górą... może się nie zejść, ale dr Góra z dr Górską owszem. Na ekranie lekarska para szykuje się do wejścia w nowy, rodzinny etap, tymczasem poza telewizyjną stacją ratownictwa medycznego z Leśnej Góry aktorka znalazła dla siebie jeszcze jedno pole medialnego działania.

Jak podkreśla, w minionym roku inspirujące perspektywy otworzył przed nią program „Cities of Culture” emitowany na kanale TVP World i pokazujący zagranicznemu odbiorcy wydarzenia w Polsce, na które przyjeżdżają ludzie z całego świata. Została jego prowadzącą i rozpoczęła zajmujące podróże po kraju.

Pierwszym przystankiem było Opole podczas festiwalu polskiej piosenki. Potem z ekipą telewizyjną dotarła m.in. na jedno z największych juwenaliów organizowane w Olsztynie i zjazd hip-hopowców w Płocku. Trafiła do stadniny koni w Janowie Podlaskim i wyspę Wolin, gdzie od trzech dekad odbywa się Festiwal



Ogrodzieniec



Płock

Słowian i Wikingów. Nie pominęła jednego z najważniejszych wydarzeń rekonstrukcji historycznej w Polsce, czyli pokazów walk rycerskich oraz licznych turniejów (m.in. łuczniczego, tańców dawnych czy miecza długiego) odbywających się na zamku Ogrodzieniec. Nie ukrywa, że była zaskoczona liczbą i różnorodnością naprawdę wspaniałych zdarzeń, w których przyszło jej brać udział.

Przy okazji realizowania programu odkrywała odwiedzane rejony i miejsca. Fascynujące okazały się zwłaszcza mniejsze i większe miasteczka oglądane z różnych perspektyw, nie tylko poprzez odbywające się w nich głośne

dziecie. Choćby w czasie Dni Morza – zachwyca parada jachtów z całego świata. Jest tu też jedna z najnowocześniejszych, chwalonych za architektoniczny projekt siedzib filharmonii w Europie. I opera, przepięknie ulokowana w Zamku Książąt Pomorskich. A także Teatr Współczesny, znajdujący się w budynku Muzeum Narodowego na Wałach Chrobrego.

Kiedy chce odnaleźć zapomnianą z dzieciństwa atmosferę Szczecina, idzie do ulubionego parku Kasprowicza, jak przed laty siada na którejkolwiek ławeczce i znów czuje, że wszystko jest przed nią.

Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Zapomniany pasternak

ANNA MONICKA

W dawnych czasach, zanim Europejczycy poznali smak cukru pozyskiwanego z trzciny cukrowej, używano go jako słodzika. W starożytnej Grecji wytwarzano z niego lecznicze nalewki, maści, konfitury, podobno był częścią daniny, jaką Germanie płacili cesarzowi Tyberiuszowi. Jeszcze w XVIII w. to właśnie gotowany pasternak, a nie marchewkę czy ziemniaki, jadano na obiad, zwłaszcza na przedświatku. Później z pańskich stołów wygryzła go sprowadzona przez królową Bonę włoszczyzna i zaczęto nim karmić zwierzęta w gospodarstwach.

Do niedawna suszony i mielony korzeń łatwiej było wytropić w mieszkankach przypraw niż na straganach. Ale podobnie jak brukiew czy topinambur najwyraźniej odkrywamy go na nowo, skoro nawet na moim małym bazarku pojawiła się rolniczka z pełnymi skrzyniami tego warzywa. Wyglądało imponująco, jak olbrzymie pietruszki. Wzięłam kilka korzeni do pieczenia, a przy okazji parę osób zainteresowało się moimi zakupami i wywiązała się ciekawa rozmowa, jak je przyrządzać i z czym podawać.

Większość pań po prostu wsypywała pokrojony pasternak na żupę do smaku, ale jedna robiła z niego kotlety obtaczane w jajku i tartej bulce, inna purée pasujące i do schabowego, i do ryby, jeszcze ktoś miksował białą żupę krem czy tarł i mieszał z marchewką na surówkę. Sprzedawczyni dodała, że u niej w domu babcia robiła napary z korzenia i piła je, żeby przyspieszyć oczyszczanie nerek z kamieni. Na blogu lokalnyrolnik.pl znalazłam informację, że taki napar dobrze robi na porost włosów i pomaga zwalczać łupież. Krótko mówiąc, czas znów zaprzyjaźnić się z zapomnianym pasternakiem.

Moim zdaniem jest idealnym dodatkiem albo głównym składnikiem pieczonych na blasze warzyw wraz z marchwią, selerem, pietruszką, batatami, cebulą, kapustą, burakami. Mieszanek mogą być różne, ale zawsze dbam o to, by miały ładne kolory. Miksuję więc coś białego, pomarańczowego, żółtego, zielonego i czerwonego. Kroję warzywa w kawałki wielkości grubych frytek, nacieram oliwą z pachnącymi ziołami, polewam odrobiną sosu daktlowego, a pod koniec pieczenia zdejmuję folię i dodaję pokruszone orzechy i ser – fetę albo ostrzejszy, szopski. Wyśmienicie smakuje z ryżem. 

Fot. Shutterstock, Viati Papua New Guinea/David Kirkland



WILCZYM OKIEM

Raz w kula, zawsze w kula

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mimo rozrzucenia po różnych izolowanych przez dziesiątki tysięcy lat zakątkach świata, my, ludzie, mamy wiele wspólnych cech. Nie tylko stricte biologicznych. Niekiedy objawiają się one w zwyczajach pozornie pozostających na obrzeżach naszego życia. A jednak z zadziwiającym podobieństwem ujawniają się czy to nad Wisłą, czy na dalekich oceanicznych wyspach.

W „Argonautach zachodniego Pacyfiku” Bronisław Malinowski opisał rytuał kula funkcjonujący na wyspach w okolicach Nowej Gwinei. Polega na cyklicznym przekazywaniu sobie naszyjników z muszli. Aby go praktykować, wyspiarze przemierzają łodziami wielkie przestrzenie oceanu, nie tylko poświęcając czas i przywiązując wielką wagę do zapewnienia obiegu ozdobnych przedmiotów, lecz także narażając życie. Każdy, kto wyrusza kruchą łodzią w długą podróż przez ocean, musi się liczyć z jego stratą. Takie właśnie pytanie postawił Malinowski: dlaczego mężczyźni z wysp ryzykują życie, żeby przekazać kolejnej osobie naszyjnik vaygu, w dodatku często zbyt mały, żeby w ogóle go nosić?

Vaygu dzieli się na dwa rodzaje: soulava z czerwonych muszli przekazywane wzdłuż pierścienia wysp zgodnie z ruchem wskazówek zegara i mwali z muszli białych przekazywane w przeciwnym kierunku. Kula ma oczywiście więcej zasad, których należy przestrzegać. Kto, komu, na jak długo, co w zamian itp. Czy coś nam to przypomina?

Podobne zjawisko możemy zaobserwować także u nas, zwłaszcza w okresie świątecznym. Ile razy bez otwierania butelki drogiego alkoholu zmieniała właściciela? Każdy obdarowany – a musi być to osoba licząca się, ważna, w przypadku mocnego trunku mężczyzna, w przypadku wina kobieta – docenia dar, autentycznie cieszy się z niego i często odkłada na półkę, od razu z zamiarem przekazania go komuś, kogo sam uważa za osobę, której należy okazać szacunek. Ile razy wymieniamy się bombonierkami czy np. zupełnie niepraktycznymi przedmiotami (i niekoniecznie ładnymi, a już na pewno – nie ujmując nic Państwu Środka – chińskimi), figurkami aniołów domowego ciepła? I czy nie zdarza się, że po zatoczeniu koła podarunek wrócił do nas?

Kiedy zastanawiamy się, że nie wypada przyjąć w odwiedziny bez prezentu, czy tak wiele dzieli nas od wyspiarzy z Pacyfiku? Mimo rozległości kuli ziemskiej ludzki umysł często funkcjonuje bardzo podobnie. Może dzięki temu wcale nie tak trudno się dogadać? Jeżeli wykażemy się odrobiną dobrej woli. 

OGNIEM NA WPROST

Pozycja przetargowa



Andrzej Rafał Potocki

Krawaciarze”, tym razem we Lwowie, udekorowali w grudniu Grzegorza Gaudena (dziennikarza prasowego i radiowego, w latach 2004–2006 redaktora naczelnego dziennika „Rzeczpospolita”) wysokim ukraińskim odznaczeniem państwowym za odwagę intelektualną. Terminu „krawaciarze” używam jako synonimu politycznej indolencji charakteryzującej przeważającą część ukraińskich elit. Odznaczenie jest przyznawane od 25 lat przez pismo społeczno-literackie „I”. W 2019 r. Gauden opublikował książkę „Lwów – kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918”. Osobiście nic nie mam do tego, że Gauden został wyróżniony przez Ukraińców. Skoro uważają, że zasłużył, to niech ma. Problem polega jednak na czymś innym. Dlaczego Ukraińcy dostrzegają tylko zasługi ludzi stojących u nas w kraju po jednej stronie politycznego sporu? Tymczasem znacznie bardziej zasłużeń dla ukraińskiej sprawy są tacy publicyści, jak Marek Budzisz, który od początku wojny poświęcił dziesiątki fachowych opracowań i analiz, czy nie przymierzając Jakub Maciejewski, który zjadł na Ukrainie zęby, kilkakrotnie nadstawiając głowę na pierwszej linii frontu. O naszej rubryce nawet nie wspomnę. Powody mogą być dwa. Albo „krawaciarze” są tak zafascynowani UE, że nagradzają tylko ludzi towarzysko związanych z obecną ekipą rządzącą w Polsce, albo po prostu w ogóle nie czytają tego, co piszą autorzy z mediów wspierających obecną opozycję. Osobiście skłaniam się ku tej drugiej opcji. I tak „krawaciarze” pozostają „krawaciarzami”.

Warto wspomnieć o ukraińskich uderzeniach w ludzi stojących za moskiewskim potencjałem zbrojeniowym.

W Moskwie najpierw ktoś odpalił Michaiła Szackiego. Koleś był zastępcą szefa biura projektowego kombinatu Mars produkującego rakiety dla rosyjskiej armii. A sam Szacki modernizował rakiety Ch-59 i robił z nich Ch-69. Kilka dni później na łono Abrahama został posłany gen. Igor Kirillov, szef obrony chemicznej, radiologicznej i biologicznej, oskarżany o użycie chemicznych środków bojowych (m.in. pod Mariupolem i Sewerodoniekiem) przeciw ukraińskim żołnierzom. Materiał wybuchowy był umieszczony w hulajnodzie elektrycznej, a detonator korzystał z baterii jednosładu jako źródła zasilania. Odpalony zdalnie ładunek wybuchł, gdy generał wraz z asystentem wychodził z budynku. Rzekomego sprawcę szybko złapano. I nie zgadnienie, co się okazało. Że to obywatel Uzbekistanu, który wykonał robotę na zlecenie Ukraińców (SBU faktycznie przyznała się do zamachu). Uaktywniły się też ukraińskie grupy dywersyjne, które na odcinku zaporoskim wykonały wiele akcji przeciwko liniom kolejowym i magazynom rosyjskim. Miały miejsce klasyczne wysadzenia torów, jak nie przymierzając nasze partyzantkie „kolejówki” w czasie niemieckiej okupacji. Moskale gromadzi tam siły, bowiem ma to związek z przewidywanym kierunkiem ataku.

Przechodzimy na front i zaczynamy od Chersonia. Moskale mieli opanować i umocnić się na terenie ogródków działkowych przy południowym przyczółku mostu Antonowskiego. Według władz miasta kilka grup rozpoznawczo-dywersyjnych przeszło po moście na północny brzeg i próbowało atakować. Czy to przygotowanie do szturm na Chersoń, czy działania pozorowane, mające odwró-

cić uwagę od kierunku na Dnipro? Czas pokaże.

W samym Kurachowie trzyma się ostatnia ukraińska pozycja w elektrowni wodnej. Ogólnie Ukraińcy nie obsadzali miasta mocno, skupiając obronę na trzech kluczowych budynkach. Praktycznie cały rejon jest już stracony. Na południe od Słowianki natarcie przyhamowało, za to nabiera tempa koło Pokrowska, który konsekwentnie jest obchodzony od południa. Całkowite obejście miasta utrudniają rzeczki, zalewy i rozlewiska, a także linia wzgórz. Jednak Moskale nie będą się raczej skupiali na Pokrowsku. Chcą dojść do granicy obwodu donieckiego, żeby móc ogłosić zwycięstwo. Temu samemu będzie służył ewentualny atak na Chersoń i dalej na Odessę – opanowaniu terytorium Noworosji, żeby móc z twarzą wyjść z wojny.

Ewentualna „pozycja przetargowa”, czyli obwód kurski, dalej jest skutecznie bronią przez Tryzubów. Moskale wspierani przez Koreańczyków z Północy podjęli próbę przecięcia ukraińskiego terytorium w rejonie Machnówki na południe od Sudży, tak żeby doszedłszy do granicy z Ukrainą, odciąć zgrupowanie SZU od własnych sił. Atak się nie powiódł, za to hurtowo zmasakrowano Koreańczyków. Twarze ich poległych są palone przez Kacapów, żeby nie było śladu ich udziału w wojnie. Możemy sobie pomstować na „krawaciarzy” ze Lwowa czy Kijowa, ale musimy pamiętać, że nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy. Będziemy się klócić i nieraz staniemy przeciw sobie. Ale wolni!

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: **Berlin – koniec ścigania niemieckich zbrodniarzy wojennych**



Wycinki z przeszłości

O to typowa reklama z początku 1939 r. „Nowy eteryczny puder do twarzy” podobno był „spreparowany według najnowszego systemu, cieńszy i lżejszy niż kiedykolwiek”. Polski producent powoływał się na francuski wzorzec – puder Tokalon. Reklama zachwalała: „Jest tak cienki, że niewidoczny na skórze. Nadaje cudowną, gładką, matową cerę. Przy dziennym świetle świeżość, której ani wiatr, ani deszcz nie mogą zaszkodzić. Wieczorem zaś urok, nietknięty nawet przy poceniu się podczas tańca w dusznej sali. Chroni także skórę przed zbytnim wysuszeniem i szorstkością, zapobiega tworzeniu się zmarszczek”.

Uf! Słownictwo znajome, prawda? Bo choć zmieniają się specyfiki, obietnice cudów w reklamach są te same. A prawda jest taka, że najlepsze, co można zrobić dla cery, to naturalne mydło, świeże powietrze i zdrowa dieta.

(mk)



Z WOLEJA

Naj, naj, naj polskiego sportu A.D. 2024



Ryszard Czarnecki

Największe rozczarowanie: start Bialo-Czerwonych na letnich igrzyskach olimpijskich w Paryżu. Pod względem miejsca w klasyfikacji medalowej najgorszy w 100-letniej historii startów Polaków na IO, pod względem liczby medali najgorszy od 68 lat, czyli od igrzysk w Australii.

Największy sukces: czwarty w ogóle, a trzeci z rzędu triumf Igi Świątek w tenisowym turnieju Rolanda Garrosa, a także tytuł lidera w rankingu najlepszych tenisistek ATP, który Polka utrzymała przez większość roku.

Najdłuższa polska dominacja: piąty tytuł żużlowego mistrza świata dla Bartosza Zmarzlika. Szkoda, że nie jest to sport olimpijski. Co więcej, nie ma szans, aby speedway wszedł do programu igrzysk.

Najgorsza podtrzymana tradycja: mecze Polaków na piłkarskich mistrzostwach Europy 2024, gdzie było niemal tak, jak zawsze – mecz otwarcia, potem drugi o wszystko i trzeci o honor.

Najbardziej miła niespodzianka: historyczna, czyli pierwszy awans polskich futbolistek do przyszłorocznych finałów mistrzostw Starego Kontynentu.

Najbardziej „polska” konkurencja: na igrzyskach w Tokio był to rzut młotem mężczyzn i kobiet, gdzie zdobyliśmy dwa złote i dwa brązowe medale, a tym razem wspinaczka sportowa kobiet. Aleksandra Mirosław zdobyła olimpijskie złoto, a Aleksandra Kałucka brązowy medal.

Największy regres: trwająca już drugi sezon niemoc polskich skoczków narciarskich. Niegdyś normą były ich złote medale igrzysk i mistrzostw świata, a teraz jako przełomowe osiągnięcie wymienia się awans do pierwszej dziesiątki turnieju Pucharu Świata.

Największy hart ducha: tu kandydatów było naprawdę wielu, bo mamy dzielnych sportowców, ale ja wybrałem siostry Natalię i Aleksandrę Kałuckie, które mimo bardzo dużej wady wzroku są w ścisłej czołówce światowej swojej konkurencji – wspinaczki sportowej.

Największa szansa na przełamanie złej passy: występy polskich klubów piłkarskich w europejskich pucharach. Legia Warszawa i Jagiellonia Białystok inaczej niż nasza reprezentacja narodowa grały świetnie i dzięki ich wynikom jest szansa, że nie w kolejnym, ale jeszcze w następnym sezonie europucharów zagra pięć polskich drużyn, a nie cztery.

Największa żenada: wojna między ministrem sportu a prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W tym pojedynku, jakiego nasz sport jeszcze nie widział, wynik oscyluje koło remisu. Jednak największym przegranym jest niestety polski sport.



*Ileż utalentowanych osób
mogło dokonać wspaniałych
rzeczy dzięki warunkom
stwarzanym przez
wspólnotę, w której wyrastali*

Książkę przeczytałem z przyjemnością. I poczułem impuls, by o niej napisać. Może zresztą po z natury rzeczy krótkim felietonie przymierzę się do głębszej analizy.

W oryginale książka ma tytuł: „The Worlds I See: Curiosity, Exploration, and Discovery at the Dawn of AI”, a w wydaniu polskim: „Moje światy sztuczne i realne. Jak narodziła się AI najnowszej generacji”. W 2024 r. ukazała się w wydawnictwie „Prześwity”, a napisała ją Chinka Fei-Fei Li. Znalazłszy się jako uczennica w USA, kosztem wielkich wyrzeczeń własnych i swej rodziny zrobiła tam prawdziwą karierę akademicką. Istotnie przyczyniła się do rozwoju sztucznej inteligencji na polu widzenia komputerowego.

WSPAĆ SIĘ, BY SPAĆ Z WYSOKĄ?

Z tym wspinaniem nie chodzi mi tylko o Fei-Fei Li. Bardziej o całą ludzkość. Choć może jesteśmy dopiero na początku, to na drodze rozwoju techniczno-cywilizacyjnego zaszliśmy już wysoko. A mogliśmy to zrobić dzięki wcześniejszemu kulturowemu dorobkowi ludzkości, który jest wyrzucany za burtę. Do takiej myśli prowadzi mnie powiązanie trzech motywów: (1) opowieści Fei-Fei Li o jej naukowych osiągnięciach, (2) dedykacji, którą autorka opatrzyła swoją książkę oraz (3) mych

OD A DO ZYBERTOWICZA

Czego nie widzi utalentowana Fei-Fei Li?

własnych, trwających już jakieś 15 lat analiz wpływu rewolucji cyfrowej na społeczeństwo.

DEDYKACJA

Książkę otwiera dedykacja, która po kolei wylicza: rodziców autorki, amerykańską rodzinę Sabellów, jej męża Silvia oraz dzieci. Rodzice kosztem wielu wyrzeczeń przywieźli Fei-Fei Li, młodą, utalentowaną uczennicę, do demokratycznych Stanów Zjednoczonych, gdzie mogła rozwijać swoje talenty. Rodzina Sabellów, w tym nauczyciel matematyki ze szkoły średniej, otoczyła ją szczególnym wsparciem od pierwszych wyzwań w amerykańskiej szkole. Bez tego pewnie nie byłaby w stanie szybko się rozwijać w nie zawsze przyjaznym świecie amerykańskich instytucji edukacyjnych i akademickich. Jej mąż, także badacz, wiadomo, jak to mąż; w każdym razie przyczynił się do tego, że dedykację kończą słowa: „Dla moich dzieci, na zawsze najjaśniejszych światel w moim świecie”.

ANTYRODZINNY ROZWÓJ

Opowieść Fei-Fei Li o jej zmaganiach rodzinnych, emocjonalnych oraz intelektualnych to fascynująca lektura. Socjologa, który jestem, prowadzi jednak do dość przynębiającego wniosku. Autorka nie dostrzega bowiem, że rewolucja cyfrowa, w której bieg ona sama wniosła niebagatelny wkład, nie tylko istotnie nadwątlila amerykańską demokrację, degradując m.in. komunikację polityczną poprzez media społecznościowe, lecz także jeszcze bardziej przyspieszyła trwający już wcześniej rozkład więzi rodzinnych.

Przyczyniła się do dalszego osłabienia tej szczególnej siły ludzkich więzi, dzięki którym Fei-Fei mogła się przenieść z Chin do USA. Więzy, które legły u źródeł życzliwości państwa Sabellów, imigranckiej rodziny z Włoch, dla dziecka z dalekiej Azji. Wreszcie przyczynia się do upadku tej siły zobowiązań wobec przyszłości, jaką przynoszą dzieci. Kolejne ogniwo w sztafecie pokoleń. Zobowiązań, których uczyli nas dziadkowie i rodzice.

TKANKA WSPARCIA

Ileż utalentowanych osób mogło dokonać wspaniałych rzeczy dzięki wsparciu bliskich. Dzięki warunkom stwarzanym przez wspólnotę, w której wyrastali. Fei-Fei Li nie mogłaby rozwijać swoich pasji naukowych, gdyby nie splot zasobów: jej wrodzonego talentu, kulturowo promowanej pracowitości Chińczyków, bezinteresownego wsparcia ze strony „obcych” oraz sprawnie działających instytucji akademickich. W USA autorka zasłużenie otrzymała stypendium prestiżowego Princeton University.

Nie wiem, czy potrafię tu jasno, w zwartej formie pokazać paradoks całej tej sytuacji. Fei-Fei Li mogła podążać za swoją, jak sama mówi, Gwiazdą Polarą dzięki sile, którą dawała jej przede wszystkim matka. Nie zaszłaby tak daleko, gdyby nie troska, z którą nad jej pasją pochylał się nauczyciel oraz gdyby nie rzetelność amerykańskiego systemu wspomagania talentów.

Ale dziś to wszystko jest niszczone przez te same siły technologii, którą Fei-Fei Li pomogła rozwinąć swoją aktywnością badawczą.

Andrzej Zybertowicz

„Polska to jest wielka rzecz”

Wesprzyj
patriotyczne
media



Dane do wpłat:
Fratia Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Stanisław Wyspiański

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

